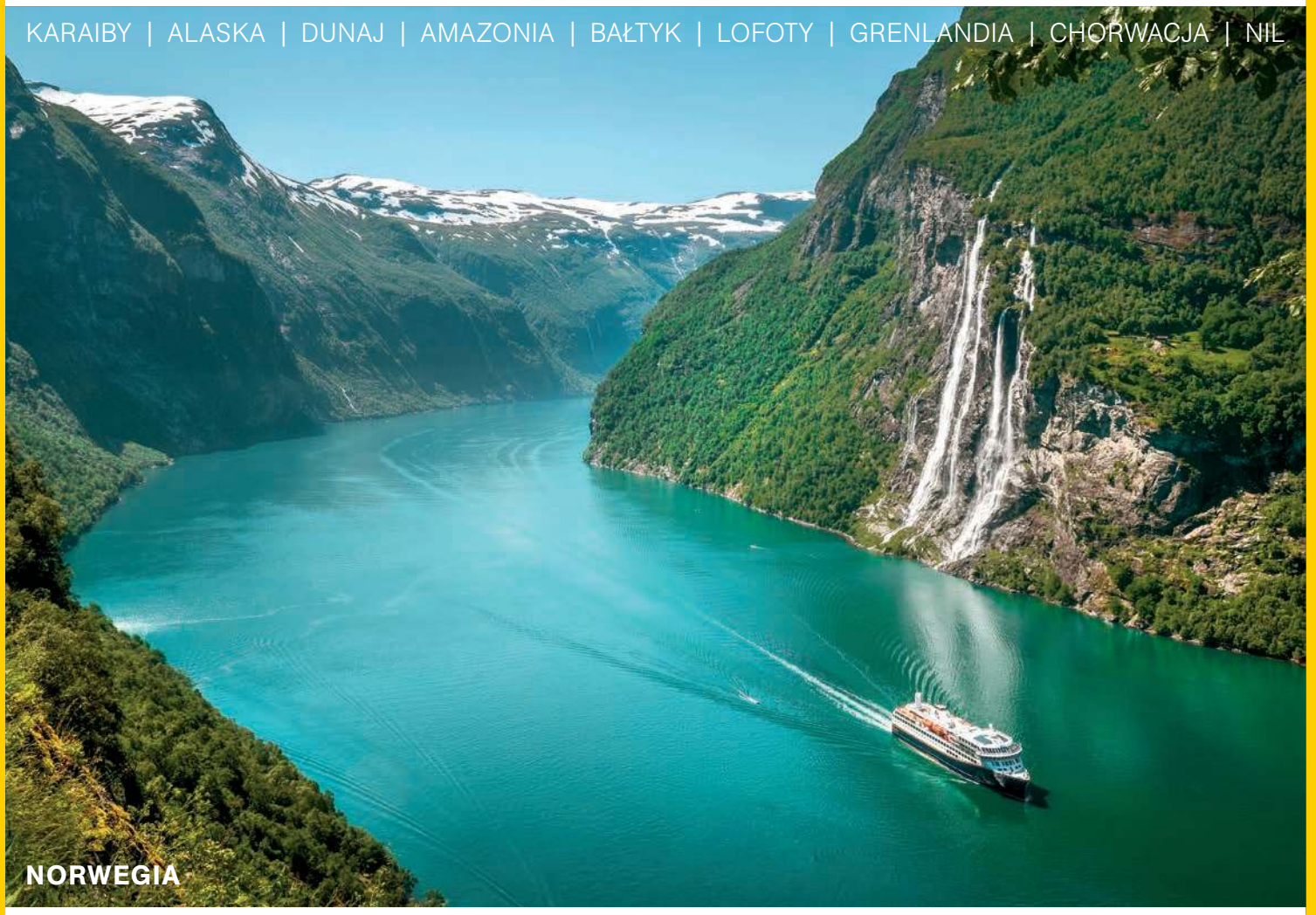
NATIONAL GEOGRAPHIC EXTRA | NR 02(31)/2026 | Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT)

INSPIRUJĄCY
PRZEWODNIK
DLA KAŻDEGO

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

23 REJSY MARZEŃ

KARAIBY | ALASKA | DUNAJ | AMAZONIA | BAŁTYK | LOFOTY | GRENLANDIA | CHORWACJA | NIL



ISSN 2450-1247
02
9 772450 124612







eprasa.pl f3fc2b0a1d

NORWEGIAN
CRUISE LINE®

WYRUSZ TAM, GDZIE WSPOMNIENIA TWORZĄ SIĘ SAME.

ALASKA · AZJA
AUSTRALIA · NOWA ZELANDIA
BAHAMY · BERMUDY
KANADA · NOWA ANGLIA
KARAIBY · EUROPA
HAWAJE · POŁUDNIOWY PACYFIK
KANAŁ PANAMSKI
AMERYKA POŁUDNIOWA
REJSY TRANSATLANTYCKIE

WYBIERZ SPOŚRÓD 22 STATKÓW, KTÓRE ZABIORĄ CIĘ DO PONAD 350 MIEJSC NA CAŁYM ŚWIECIE.


Nurkowanie, Karaiby



SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI:
rejsy4you.pl · rezerwacje@rejsy4you.pl · +48504950200


Santorini, Grecja

Podróż z NCL to coś więcej niż wakacje - to czas, który należy wyłącznie do Ciebie. Na otwartym morzu wszystko dzieje się naturalnie: chwile są spontaniczne, dni płyną lekko, a każdy moment możesz przeżyć dokładnie tak, jak chcesz. Gdy słońce ogrzewa Twoją skórę, a morska bryza przynosi ukojenie, ciało i umysł wreszcie się odprężają. Tu nie ma planów, których trzeba się trzymać. Jest tylko wolność. Wolność, by nic nie robić... albo robić wszystko. Śmiejesz się częściej. Uśmiechasz się szerzej. Oddychasz pełniej. Bo na morzu życie smakuje inaczej.

NCL
It's Different Out Here™

REJSY4YOU.PL
CRUISE & TRAVEL

©2026 NCL Corporation Ltd. Ships' Registry: Bahamas and USA. 3374901 02/26

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Noc na pokładzie statku ma w sobie coś z pierwotnego kołysania, które pamiętamy podświadomie. Uwielbiam ten miarowy, niemal hipnotyczny rytm, który wycisza nawet najgłośniejsze myśli, dając poczucie błogości, wprost nierealnego spokoju. Uwielbiam też ten moment, gdy wypływamy z portu, zostawiając malejący ląd za rufą. To zawsze zapowiedź wielkiej przygody, która pachnie solą i wiatrem. Nieważne, czy pokonujemy surowe, stalowe wody Północy, gdzie fiordy wyrastają prosto z morza jak mityczne olbrzymy, czy turkusowe laguny tropików, które wyglądają jak nierealny sen – każda mila morska smakuje inaczej. Woda zmienia perspektywę, sprawia, że świat staje się ogromny, a nasze codzienne troski – znikome. W moich wspomnieniach szczególne miejsce zajmuje zatoka Disko na Grenlandii i obraz dryfujących gór lodowych lśniących w zachodzącym słońcu niczym monumentalne rzeźby. To bez wątpienia jeden z najpiękniejszych



widoków świata. Zresztą cała linia brzegowa wschodniej części tej wyspy wydaje się nietknięta, czysta i surowa, pozbawiona niemal jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności. Na oceanie odnajdujemy też ten wyjątkowy rodzaj romantyzmu – spotkania z wielkimi ssakami czy momenty, kiedy nocne niebo zalewają pulsujące fale zorzy polarnej albo staje się ono tak gęste od gwiazd, że ma się ochotę je zrywać garściami. Rejsy marzeń, które opisujemy w autorskich reportażach w tym wydaniu specjalnym *Travelera*, wcale jednak nie muszą być dalekie ani egzotyczne. Woda jest naturalnym łącznikiem kultur, a Europa oferuje pod tym względem nieskończone możliwości: od rejsów jachtami po Bałtyku, przez żeglowanie wokół wysp chorwackich, wzdłuż wybrzeża iberyjskiego, po nieśpieszny rytm barek rzecznych we Francji. Nie czekajcie na idealny moment. Pora sprawdzić, jak smakuje własna mila morska.

Agnieszka Frenus

NA OKŁADCE:
Norwegia: Shutterstock,
Islandia: Adobe Stock,
Portugalia: Getty Images,
Wietnam: Adobe Stock

ARCHIWUM PRYWATNE, GETTY IMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d









SPIS TREŚCI

REJSY MARZEŃ

KARAIBY

10 **PORTORYKO, BAHAMY, ST. THOMAS**
Śladami piratów i Krzysztofa Kolumba

AMERYKA POŁUDNIOWA

18 **AMAZONIA** /BRAZYLIA
W krainie tukanów i wielkiej wody

AMERYKA PÓŁNOCNA

28 **ALASKA**/ AMERYKA PÓŁNOCNA
Lodowce, lasy deszczowe i dzikie zwierzęta

AZJA

38 **WIETNAM I KAMBODŻA**
Fascynujący rejs deltą Mekongu

48 **MALEDIWY**
Tańce z mantami, nocne spotkania z rekinami i rajskie plaże

AFRYKA

54 **EGIPT**
Wszystkie tajemnice Nilu

EUROPA

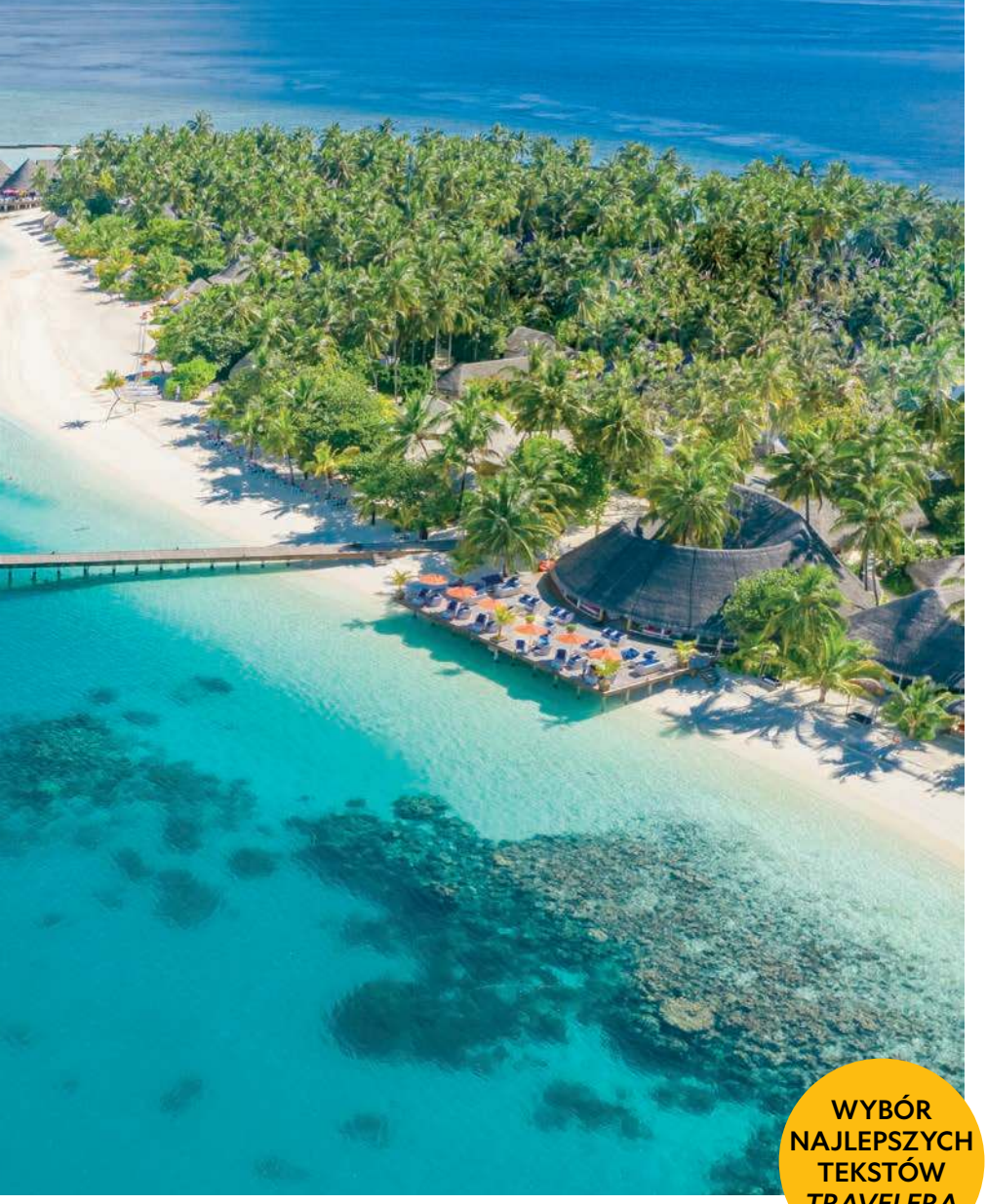
64 **ARCHIPELAG LOFOTÓW** /NORWEGIA
Fiordy, trolle i wiatr

72 **Z POLSKI DO DANII**
Cukierkowa architektura Kopenhagi, smaki lokalnych targów i spokój nad kanałami

78 **NORWEGIA POŁUDNIOWO-ZACHODNIA**
Krajobraz pełen skał, wysp i wodospadów

86 **POLSKA, NIEMCY, DANIA, SZWECJA**
Wakacje życia na Morzu Bałtyckim

eprasa.pl f3fc2b0a1d



WYBÓR NAJLEPSZYCH TEKSTÓW *TRAVELERA*

94 **ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI** /SZWECJA
Labirynt 30 tysięcy wysp

102 **FRANCJA**
Barką przez Langwedocję

108 **HISZPANIA, WŁOCHY, FRANCJA**
Rodzinny rejs po Morzu Śródziemnym

116 **HISZPANIA I PORTUGALIA**
Żeglarska przygoda wokół Półwyspu Iberyjskiego

124 **ISLANDIA**
Śpiew humbaków, mityczne potwory morskie i... faworki

132 **GRENLANDIA**
Góry lodowe wielkości katedr i zorze polarne

144 **HVAR, VIS, BIŠEVO** /CHORWACJA
Od rzymskich murów i weneckich twierdz po zapach lawendy i absolutną ciszę

154 **ARCHIPELAG WYSP SARONSKICH**/GRECJA
Trzy wyspy w jeden dzień: Hydra, Poros i Egina

166 **WĘGRY, AUSTRIA, NIEMCY**
Leniwe dni na Dunaju

172 **RUMUNIA**
Delta Dunaju to jedno z najdzikszych miejsc w Europie

SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES, ADOBE STOCK

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

ng@burdamedia.pl
www.national-geographic.pl

REDAKTOR NACZELNY **ŁUKASZ ZAŁUSKI**
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO/DYREKTOR ARTYSTYCZNA **AGNIESZKA FRANUS**
REDAKTOR PROWADZĄCY/SEKRETARZ REDAKCJI **MICHAŁ CESSANIS**
GRAFIK PROWADZĄCA **WIOLETTA WIŚNIEWSKA**
FOTOEDYTORZY **TERESA TULEJA, ROMAN TUROS**
GRAFIK **KRZYSZTOF STYPUŁKOWSKI**
KARTOGRAFKA **JOANNA KOPKA**
KOREKTOR **TOMASZ CHOLAŚ**

ZESPÓŁ:
REDAKTORKI **AGNIESZKA MICHALAK, DANUTA ŚMIERZCHALSKA**
REDAKTORZY ONLINE **MAGDALENA RUDZKA, SABINA ZIĘBA, JONASZ PRZYBYŁ, SZYMON ZDZIEBŁOWSKI**

WSPÓŁPRACOWNICY
DZIENNIKARZE **BARBARA ŻUKOWSKA, AGNIESZKA BIELECKA, BARTEK KAFTAN, JULIA ZABRODZKA, MICHAŁ GŁOMBIOWSKI, PAWEŁ KEMPA, KATARZYNA KACHEL, JOANNA LAMPARSKA, ZUZANNA O'BRIEN, WIKTORIA MICHAŁKIEWICZ, RADOSŁAW ŻYDONIK, JAKUB RYBICKI, PIOTR MILEWSKI, SERGIUSZ PINKWART, MAGDALENA RUDZKA**
FOTOGRAFOWIE **TOMASZ TOMASZEWSKI, MAREK ARCIMOWICZ, PAWEŁ MŁODKOWSKI, MIKOŁAJ NOWACKI, MARCIN DOBAS, ADAM BRZOZA**

PATRONATY MEDIALNE **patronaty-ng@burdamedia.pl**
REDAKCJA ONLINE **NG@BURDAMEDIA.PL**
REDAKTOR PROWADZĄCY **JAN STRADOWSKI**
STRONA INTERNETOWA **WWW.NATIONAL-GEOGRAPHIC.PL**

Wydawca czasopisma National Geographic Traveler ostrzega P.T. sprzedawców, że sprzedaż aktualnych i archiwalnych wydań magazynu po cenie innej niż wydrukowana na okładce jest działaniem na szkodę Wydawcy i grozi odpowiedzialnością sądową.

BurdaMedia Polska

WYDAWCA
BURDA MEDIA POLSKA SP. Z O.O., CZŁONEK IZBY WYDAWCÓW PRASY, UL. MARYNARSKA 15, 02-674 WARSZAWA, TEL. (22) 360 39 09, WWW.BURDAMEDIA.PL

LICENCJOBIORCA **NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY**

ZARZĄD
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **MACIEJ KLEPACKI**
CHIEF OPERATING OFFICER **TOMASZ JAŻDŻYŃSKI**

REKLAMA
BIURO.REKLAMY@BURDAMEDIA.PL
SALES DIRECTOR MULTIMEDIA LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA GURBAŁA**
LUXURY & PEOPLE TEAM LEADER **EWELINA DORDA**
ZESPÓŁ **DOMINIKA CHOJNOWSKA, ANNA URBANIAK**
KOORDYNATOR WYDANIA **EDYTA BRZEZICKA**

DZIAŁ MARKETINGU
DIRECTOR MARKETING LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA NOCUŃ-ZYGMUNTOWICZ**
BUSINESS ANALYST AND DEVELOPMENT MANAGER **EDYTA PIECYK**
BRAND MANAGER **WIKTORIA BUGAŁA**

PRODUKCJA
DYREKTOR PRODUKCJI **KRZYSZTOF KRASZEWSKI**

DYSTRYBUCJA
DYREKTOR DYSTRYBUCJI I PRENUMERATY **TOMASZ KAŁUŻA**

PRENUMERATA I SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA
CUSTOMER SERVICE COORDINATOR **MARIOLA BURDECKA**
BIURO OBSŁUGI KLIENTA, UL. MARYNARSKA 15, 02-674 WARSZAWA, INFOLINIA TEL: (22) 360 39 09 (PON.-PT. GODZ. 9.00-17.00), E-MAIL: BOK@BURDAMEDIA.PL,
NUMER RACHUNKU DO WPŁATY ZA PRENUMERATĘ: ING 04 1050 0086 1000 0090 3172 2706

Copyright © 2016 National Geographic Partners, LLC. All rights reserved. National Geographic Traveler: Registered Trademark ® Marca Registrada. National Geographic nie ponosi odpowiedzialności za materiały niezamówione.

NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **DR. JILL TIEFENTHALERI**
SENIOR MANAGEMENT PRESIDENT AND CHIEF OPERATING OFFICER **MICHAEL L. ULICA**
CHIEF DIVERSITY, EQUITY, & INCLUSION OFFICER **SHANNON P. BARTLETT**
CHIEF COMMUNICATIONS, MARKETING, & BRAND OFFICER **CRYSTAL BROWN**
CHIEF HUMAN RESOURCES OFFICER **MARA DELL**
CHIEF SCIENCE & INNOVATION OFFICER **IAN MILLER**

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER
EDITOR IN CHIEF **NATHAN LUMP**
EXECUTIVE MANAGING EDITOR **DAVID BRINDLEY**
EXECUTIVE CREATIVE DIRECTOR **PAUL MARTINEZ**
EXECUTIVE DIRECTOR, DIGITAL **ALISSA SWANGO**
EXECUTIVE DIRECTOR, MULTIPLATFORM CONTENT **MICHAEL TRIBBLE**

INTERNATIONAL EDITIONS
EDITORIAL DIRECTOR **AMY KOLCZAK**
EDITORIAL SPECIALIST **LEIGH MITNICK**

eprasa.pl f3fc2b0a1d



PORADNIK REJSOWICZA

Wiele osób waha się przed pierwszym rejsem, tymczasem to jedna z najwygodniejszych form podróżowania, pozwalająca w tydzień zobaczyć kilka krajów bez rozpakowywania walizek. Aleksandra Szymczyk, współwłaścicielka marki rejsy4you.pl i firmy Cruise&Travel, z 17-letnim doświadczeniem w turystyce rejsowej, podkreśla, że kluczem do udanych wakacji jest dopasowanie statku i trasy do stylu życia podróżnego.

Dlaczego warto wybrać rejs zamiast hotelu?

To jedyny sposób, by w krótkim czasie odwiedzić wiele miejsc, od starożytnych zabytków po malownicze plaże, mając pod ręką luksusowe zaplecze: baseny, spa i restauracje. Na pokładzie znajdziesz wszystko to, co w najlepszych kurortach, ale z codziennie nowym widokiem.

Jaki statek będzie dla mnie odpowiedni?

Dobry statek to taki, który pasuje do Twojego stylu podróżowania. Duże jednostki oferują ogromny wybór atrakcji, dlatego często wybierają je rodziny i osoby aktywne. Mniejsze statki gwarantują spokojniejszą atmosferę i bardziej indywidualne doświadczenie. Warto sprawdzić profil linii rejsowej: od popularnych i różnorodnych (np. AIDA Cruises, Costa Cruises, NCL) po linie premium (Silversea, Regent).

Gdzie i kiedy najlepiej popłynąć?

Pierwszy rejs najłatwiej zaplanować w Europie, zwłaszcza na trasach po Morzu Śródziemnym. Łatwo tam dolecieć i jest mnóstwo tras, często tygodniowych, które są idealne na pierwszy raz. Lato to szczyt sezonu, dlatego osoby szukające spokoju często wybierają urlop wiosną lub jesienią. Zimą najpewniejszym wyborem są Karaiby, Wyspy Kanaryjskie lub coraz bardziej popularna Azja. Na kolejne morskie podróże latem świetnie sprawdzają się chłodniejsze regiony jak Alaska lub Islandia.

Którą kabinę wybrać?

Na statkach dostępne są kabiny wewnętrzne (bez okna), z oknem, z balkonem oraz apartamenty. Wybór zależy od stylu podróżowania i budżetu. Kabina wewnętrzna jest najtańsza i wystarczy osobom aktywnym, które większość dnia spędzają na pokładzie i w portach. Kabina z balkonem to „prywatny azyl", idealny na trasach widokowych jak Fiordy Norweskie. Apartamenty dają z kolei najwyższy komfort i dodatkowe przywileje, jak opieka kamerdynera czy dostęp do ekskluzywnych stref na statku.

Co z chorobą morską?

Współczesne statki mają nowoczesne stabilizatory, które niemal całkowicie eliminują kołysanie, a trasy planuje się w okresach najlepszej pogody. Jeśli mimo to obawiasz się dyskomfortu, wybierz duży statek i kabinę w jego centralnej części oraz na niskim pokładzie – tam ruch jednostki jest najmniej odczuwalny.

ŻYCIE NA POKŁADZIE

Zastanów się, czego oczekujesz od rejsu i jak chcesz spędzać czas na pokładzie.

Oto kilka spraw, o których warto pamiętać:

Jak lubisz spędzać dzień? Wolisz relaks przy basenie, aktywne zajęcia fitness, warsztaty kulinarne czy spokojne strefy tylko dla dorosłych? Twoja odpowiedź pomoże wybrać statek i najlepiej dopasowaną trasę.

Cenisz elegancję czy swobodę? Na niektórych rejsach odbywają się wieczory galowe. Udział w nich nie jest obowiązkowy. Jeśli wolisz pełną swobodę, poszukaj armatorów, którzy stawiają na casual i komfort, np. AIDA Cruises czy NCL.

Chcesz mieć wszystko opłacone z góry? Sprawdź, którzy armatorzy mają w cenę wliczoną tzw. opłatę serwisową (service charge). Dzięki temu nie musisz się martwić o rozliczenia na pokładzie. Większość dodatkowo płatnych atrakcji również możesz zarezerwować przed rejsem – np. stolik w restauracji specjalistycznej, wycieczkę fakultatywną czy zabieg w spa. Zwłaszcza w szczycie sezonu może być trudniej o dostęp bez wcześniejszej rezerwacji, dlatego polecamy planować je z wyprzedzeniem. Możesz to zrobić za pośrednictwem agenta lub samodzielnie w swoim panelu klienta.

Porada eksperta:
Przy wyborze rejsu najważniejsze jest myślenie o wszystkich aspektach wakacji jednocześnie – od stylu dnia i rodzaju statku, przez kabinę, atrakcje na pokładzie, aż po trasę i armatora. W biurze rejsy4you.pl pomagamy klientom w rezerwacjach, dbając o komfort i bezstresowe wakacje, tak aby każdy dzień rejsu był dokładnie taki, jak sobie wymarzyli.

MP

eprasa.pl f3fc2b0a1d

TOPOWE DESTYNACJE:

Karaiby
Najpopularniejszym regionem rejsowym pozostają Karaiby. To rajskie plaże, turkusowa woda, rafy koralowe. Kiedy popłynąć: grudzień–kwiecień, pogoda jest przyjemna, a ryzyko huraganów najniższe. Kiedy rezerwować: nawet 12 miesięcy wcześniej, zwłaszcza jeśli zależy ci na kabinie rodzinnej lub z balkonem czy apartamencie.

Morze Śródziemne
Absolutny top wśród polskich rejsowiczów ze względu na dogodne połączenia lotnicze, stosunkowo bliską odległość i słoneczną pogodę. Tygodniowe rejsy oferują połączenie historii, kultury i plażowania. Kiedy popłynąć: maj–czerwiec i wrzesień–październik to idealne miesiące. Przyjemna temperatura i mniej tłumów. Wakacje (lipiec–sierpień) wybierają głównie rodziny z dziećmi. Kiedy rezerwować: ok. 6–9 miesięcy przed rejsem. Kabiny rodzinne w wakacje wyprzedają się nawet z rocznym wyprzedzeniem.

Fiordy Norwegii
Podróż przez fiordy to propozycja dla tych, którzy chcą połączyć komfort statku z bliskością nieskażonej natury. Kiedy popłynąć: czerwiec–sierpień – dłuższe dni, przyjemna temperatura i spektakularne pejzaże. Kiedy rezerwować: warto to zrobić rok wcześniej, zwłaszcza jeśli marzysz o kabinie z widokiem na fiordy lub kameralnym statku butikowym.

Wyspy Kanaryjskie
Łączą łagodny klimat przez cały rok, przepiękne plaże, wulkaniczne krajobrazy i bogatą ofertę atrakcji na lądzie i wodzie. Kiedy popłynąć: statki wycieczkowe pływają w sezonie od listopada do kwietnia. Kiedy rezerwować: najlepiej planować 6–9 miesięcy wcześniej, aby mieć większy wybór kabin i atrakcji na pokładzie.

Azja
Rejsy obejmują m.in. Tajlandię, Wietnam, Singapur czy Malezję. Kiedy popłynąć: najlepszy okres to listopad–marzec, gdy panuje sucha i przyjemna pogoda. Kiedy rezerwować: aby mieć wybór tras i kabin – nawet na rok do przodu.





REJSY TEMATYCZNE – WYBIERZ SWOJĄ PASJĘ
Nie każdy rejs musi być standardową trasą „port za portem". Wiele linii oferuje specjalne rejsy tematyczne, które pozwalają połączyć wakacje z własnymi zainteresowaniami. Możesz wziąć udział w rejsach kulinarnych, podczas których szefowie kuchni prowadzą warsztaty gotowania i degustacje lokalnych potraw. Dla miłośników muzyki dostępne są rejsy z koncertami na żywo lub specjalnymi gośćmi, a osoby aktywne mogą wybrać rejsy sportowe z zajęciami fitness, jogą czy wycieczkami rowerowymi.





PAKIETY ALL INCLUSIVE I DOPŁATY – CO WARTO WIEDZIEĆ
Na pokładzie statku możesz spotkać różne systemy cenowe. Niektóre linie oferują pakiety all inclusive, w których w cenę rejsu wliczone są posiłki, napoje i opłaty serwisowe, a za niektóre atrakcje, jak wycieczki fakultatywne czy spa, płaci się dodatkowo. Inni armatorzy stosują model częściowy, w którym podstawowe posiłki są wliczone, ale napoje i restauracje specjalistyczne są dodatkowo płatne. Sprawdź, co dokładnie jest wliczone w cenę rejsu – jedzenie, napoje, atrakcje i opłaty serwisowe – aby uniknąć niespodzianek.



BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM – UBEZPIECZENIE I SPRAWDZONY OPERATOR
Ubezpieczenie turystyczne obejmuje ochronę zdrowia, wypadki czy zgubiony bagaż. Warto zadbać o odpowiednie sumy polisy, zwłaszcza jeśli mówimy o rejsach poza Unią Europejską. Koszty leczenia za granicą mogą być ogromne. Przemyśl zakup ubezpieczenia od kosztów rezygnacji, które zabezpieczy cię w przypadku nieprzewidzianych zdarzeń. Sprawdzony touroperator gwarantuje, że oferta będzie zgodna z obietnicą – standard kabiny, atrakcje, transfery. Porada eksperta: Warto wybierać sprawdzonego touroperatora. Fachowa pomoc w biurze podróży pozwala szybko reagować w sytuacjach nagłych, np. zmiany trasy lub problemów z rezerwacją.
W Cruise&Travel / rejsy4you.pl dbamy o wysoką jakość obsługi, współpracując bezpośrednio z armatorami i reagując w imieniu klienta.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

WYBIERZ SIĘ W POD

ZAMÓW PRENUMERATĘ JUŻ DZIŚ!

ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER
z małym plecakiem
NG SATURN (czarny)

263 zł

Cena regularna 12 magazynów TRAVELER i małego plecaka **NG SATURN** (czarnego) poza prenumeratą wynosi **324 zł**



Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- mały plecak **NG SATURN** (czarny)
- **Darmową dostawę do domu**



ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER

165 zł

Cena regularna 12 magazynów NG TRAVELER poza prenumeratą wynosi **215,88 zł**

Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- **Darmową dostawę do domu**

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **kontakt@bok.burdamedia.pl**

eprasa.pl f3fc2b0a1d

RÓŻ Z TRAVELEREM

ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER
z plecakiem 1-komorowym
NG SOCIETY (antracyt)

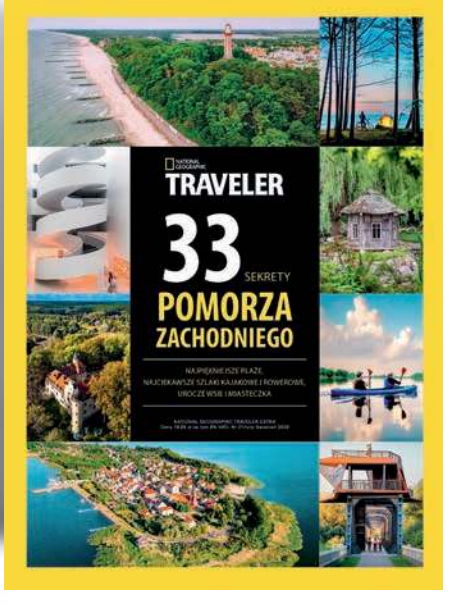
333 zł

Cena regularna pakietu 12 wydań Travelera i plecaka **NG SOCIETY** poza prenumeratą wynosi **424 zł**



Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- plecak 1-komorowy **NG SOCIETY** (antracytowy)
- **Darmową dostawę do domu**



ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU
TRAVELER EXTRA

65 zł

Cena regularna 4 wydań Travelera Extra poza prenumeratą wynosi **79,96 zł**

Otrzymujesz:

- **4 wydania** TRAVELERA EXTRA
- **Darmową dostawę do domu**

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **kontakt@bok.burdamedia.pl**

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
PORTORYKO, BAHAMY, ST. THOMAS



Latarnia na Paradise Island strzeże wejścia do portu w Nassau – jednego z najważniejszych centrów żeglugi wycieczkowej na Bahamach.

oprasa.pl/3fc2b0a1d



TEKST **ZUZANNA O'BRIEN**

LĄD NA HORYZONCIE

ILE KARAIBSKICH WYSP MOŻNA ZOBACZYĆ PRZEZ TYDZIEŃ? A ILE Z NICH DA SIĘ W TYM CZASIE GRUNTOWNIE ZWIEDZIĆ? WSIADŁAM NA REJSOWY STATEK I TO SPRAWDZIŁAM.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

Pływające miasto pruje turkusowe fale, a ja, siedząc na słonecznym tarasie, podziwiam tańce mew na wietrze albo delfinów w morskiej toni. Tak, delfiny komponują się z tym obrazkiem nawet lepiej. Wyobraziłam sobie wszystko: jest luty – w ojczyźnie trzaska mróz, a ja przewietrzam na słońcu letnie sukienki. Każdego ranka wysiadam ze statku w innym porcie, jem lunch na lokalnym bazarze, chłonę zapachy i atmosferę coraz to nowego kraju. Oglądam, ile się da; mogę powiedzieć, że byłam, znam. Trudno o lepszą opcję zwiedzania świata dla kogoś, kto ma mało czasu, a duży apetyt – myślałam, przeglądając folder reklamujący rejs. Trasa wyglądała świetnie: Miami–Portoryko–Bahamy–St. Thomas, czyli Amerykańskie Wyspy Dziewicze. I z powrotem na Florydę.

Z dolnego pokładu statku rozpościerał się widok na miasto w kolorach waniliowego kremu i lodów malinowych.



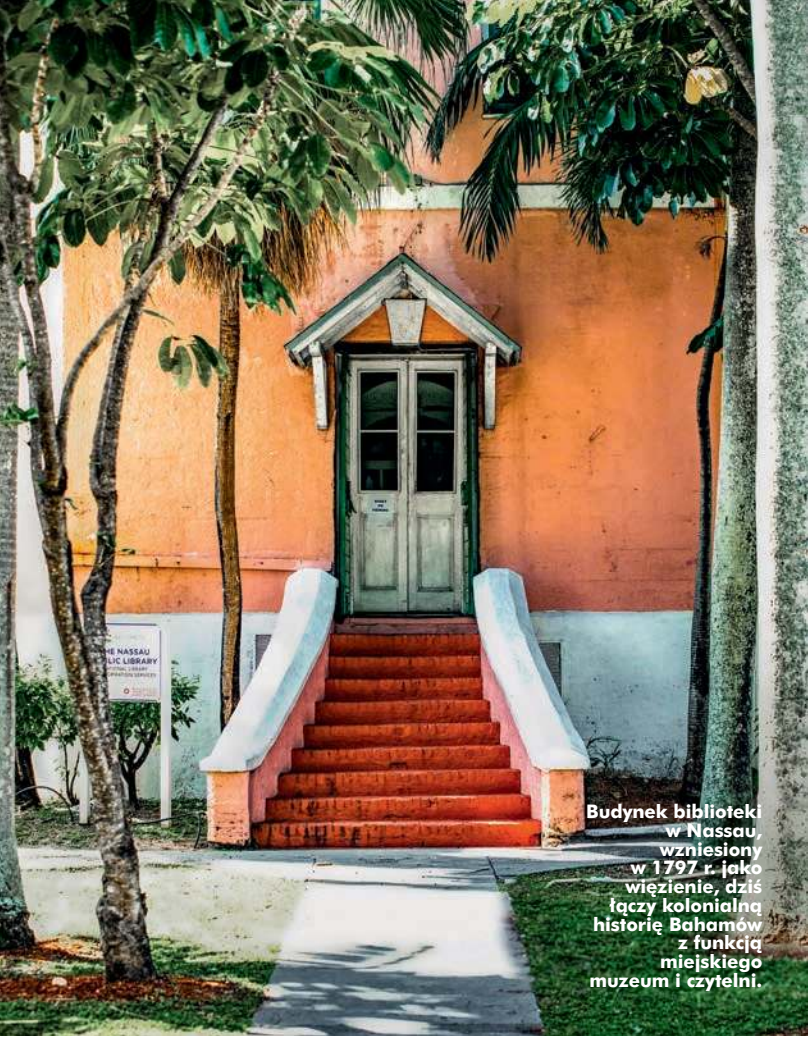
Płaszczka południowa (*Hypanus americanus*) to jeden z najczęściej spotykanych mieszkańców piaszczystych lagun Bahamów.

ARKA OBFITOŚCI

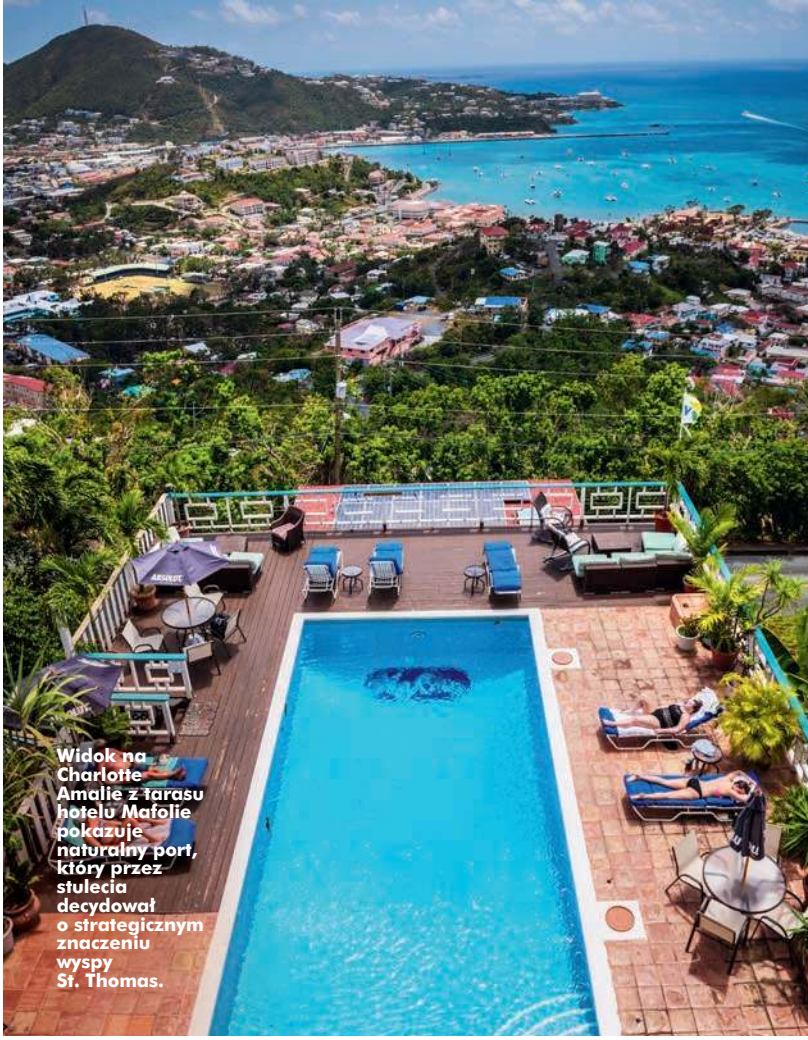
Niby to jeszcze nie Karaiby, ale na listę odwiedzanych wysp wciągnęłam też słynne Miami Beach. Po przylocie mam tu cały dzień, grzechem byłoby nie zobaczyć jak najwięcej. Nie doceniłam rozmiaru tej metropolii. Zdążyłam zaledwie przebiec się truchtem po Ocean Drive, rzucić okiem na architektoniczne cukierki luksusowej dzielnicy art déco i przejść się po plaży. Zmrok zapada tu wcześnie, a rano trzeba przecież dotrzeć na statek – gruntowne zwiedzanie Miami i wycieczkę na odległe Florida Keys trzeba więc odłożyć na kiedy indziej. „Następnym razem" – mruczałam zła, patrząc z hotelowego balkonu na nęcącą panoramę. Nie wiedziałam, że tę mantrę będę powtarzać przez całe wakacje. Statek – mój dom na następny tydzień – zaprojektowano tak, aby nikt nie mógł narzekać na nudę. Są tu baseny, spa, ścianka wspinaczkowa, biblioteka, pokój gier z playstation, kilka restauracji i barów, kasyno, klub nocny, ulica ze sklepami, siłownia, pokłady widokowe, teatr i lodowisko. A także czynny całą dobę bufet z kuchniami z całego świata – oczywiście all inclusive. Pomocni kaowcy udzielają instrukcji: pamiętaj o napiwkach, najlepiej wykup je z góry. Na kolację w sali bankietowej przyjdź w stroju wieczorowym; w szortach wstęp wzbroniony. Chętnych zapraszamy za dwie godziny na kurs składania ręczników w zwierzątka. O planowanych przedstawieniach, rozrywkach i ofertach dowiesz się z kanału telewizyjnego w swojej kabinie. Życzymy wspaniałego rejsu, a jutro rano dobijamy do San Juan w Portoryko. Zejście na ląd punktualnie o 10! W kolejce do wyjścia stałam jako jedna z pierwszych. Doba wystarczyła mi, żeby nacieszyć się absurdalnością jazdy na łyżwach na statku u brzegów Florydy, ludzką zupą na niewielkim basenie i obserwacją tego, ile są w stanie zjeść moi współpasażerowie. San Juan kusiło zza okien autokaru palmami, pastelowymi domkami i kioskami ze smażonymi rybami. Własny plan zwiedzania miasta mogłam jednak wyrzucić do kosza: nasz operator już zaplanował nam czas. Zwiedzanie XVIII-wiecznego Castillo de San Cristóbal, zbudowanego przez Hiszpanów nadmorskiego fortu, oferowało i widoki na stare miasto, i szybki kurs kolonialnej historii wyspy. – Wcielone do hiszpańskiej korony w 1493 r. przez Krzysztofa Kolumba... zdziesiątkowanie ludu Taino... handel niewolnikami... odpór przed zakusami Anglików... dziki interior... sprzedaż wyspy Stanom

SHUTTERSTOCK(4),GETTYIMAGES . POPRZEDNIE STRONY: GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Budynek biblioteki w Nassau, wzniesiony w 1797 r. jako więzienie, dziś łączy kolonialną historię Bahamów z funkcją miejskiego muzeum i czytelni.



Widok na Charlotte Amalie z tarasu hotelu Mafolie pokazuje naturalny port, który przez stulecia decydował o strategicznym znaczeniu wyspy St. Thomas.



Świeże kokosy sprzedawane są na ulicznych targach w Nassau. Woda kokosowa orzeźwia i uzupełnia mikroelementy.



Schody Królowej (Queen's Staircase), wykute ręcznie w wapiennej skale przez niewolników pod koniec XVIII w., prowadzą do fortu Fincastle na wyspie New Providence.



23 REJSY MARZEŃ
PORTORYKO, BAHAMY, ST. THOMAS

eprasa.pl/c/260a1d

XVI-wieczna twierdza San Felipe del Morro w stolicy Portoryko, San Juan, strzegła wejścia do zatoki jako jedna z najważniejszych fortyfikacji hiszpańskiego imperium na Karaibach.

GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

Surferzy popisują się na falach, a słońce powoli chowa się za odległą sylwetką hotelu Atlantis, który znam z filmu o Bondzie.



Sałatka z surowych owoców morza marynowanych w soku z limonki to najpopularniejszy smak Bahamów.

Zjednoczonym – dryfowała opowieść przewodnika. Dopiero w starej części stolicy udało mi się zerwać z opiekuńczej smyczy. Centralny plac kusił kafejkami, w których miejscowi nie liczyli czasu nad kawą lub szklaneczką rumu. Z wnętrza białej katedry św. Jana Chrzciciela (San Juan Bautista) bił kojący chłód. Zanim jednak wydostałam się z plątaniny wąskich uliczek poza mury starówki, musiałam biec z powrotem – wbito mi przecież do głowy, że statek nie zaczeka na spóźnialskich. Następnym razem przyjadę tu sama na znacznie dłużej – mruczałam rozczarowana, gdy Portoryko znikało za rufą pływającego kurortu. – Wieczorem zapraszamy na rewię na lodzie! – zachęcał przez megafon uśmiechnięty oficer do spraw rozrywki.

eprasa.pl/13fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
PORTORYKO, BAHAMY, ST. THOMAS



Na wyspach Exuma dzikie świnie stały się nieoczekiwaną ikoną Bahamów.



Osiągający ponad metr długości strzępiel to majestatyczny mieszkaniec raf koralowych na Karaibach.

PLAŻA ZE SNU BARBIE

„Nassau, stolicę Bahamów, zbudowano z marcepanu i pianki marshmallow" – układałam w głowie zdanie zmyślonego przewodnika. Po minięciu plaż i skrytych wśród palm wiosek na pobliskich wysepkach statek zawinął wreszcie do portu na New Providence. Zaparkował pomiędzy innymi morskimi drapaczami chmur. Z dolnego pokładu rozpościerał się widok na miasto w kolorach waniliowego kremu i lodów malinowych. W przećwiczonym poprzedniego dnia drylu pasażerowie opuścili jelita statku i zapełnili nabrzeże, na którym czekał na nich targ pełen pamiątek i sklepów wolnocłowych. Zachłyśnięta perspektywą wolności – tym razem nikt nie prowadzi nas za rączkę! – realizuję swój własny plan zwiedzenia miasta. Przeszłość Bahamów jest fascynująca: to była brytyjska kolonia, która na skutek zaniedbania na początku XVIII w. stała się „republiką piracką" – legenda głosi, że był to dom co najmniej tysiąca morskich rzezimieszków, m.in. słynnego Czarnobrodego. Dziś większość mieszkańców wysp to potomkowie afrykańskich niewolników, którym po abolicji Brytyjczycy pozwolili tu zamieszkać. Dzięki turystyce i statusowi raju podatkowego ten wyspiarski kraj jest obecnie trzecim najbogatszym państwem w obu Amerykach, zaraz po USA i Kanadzie. 70 proc. turystów przypływa tu na statkach rejsowych. Czyli tak jak ja. O szemranej przeszłości kraju mogę się dowiedzieć w Muzeum Piratów, ale budynek wygląda z zewnątrz jak reklama filmu *Piraci z Karaibów*. Wybieram Muzeum Dziedzictwa Bahamów, gdzie można zobaczyć nie tylko ponure artefakty związane z niewolnictwem, ale też rekonstrukcje wnętrz dawnych sklepów na Bay Street, przykurzone suknie żon kolonialnych plantatorów i stroje z lokalnego karnawału, Junkanoo. Nieopodal muzeum, tuż za rogiem, stoi optymistycznie różowy Government House, siedziba gubernatora generalnego, a przed nim biały jak lukier pomnik Kolumba. Nie wiadomo, dlaczego jego twórca ubrał żeglarza w togę. Jest jednak pora lunchu i głód nie pozwala mi roztrząsać tej sprawy zbyt długo. Na jednej z bocznych ulic trafiam na kafejkę z ocienionym tarasem i zdaję się na rekomendacje właściciela. Słusznie: frytki z konchy, placki kukurydziane z ryżem i fasolą i zimny sok z trzciny cukrowej to lokalne specjały, które nie zawodzą. Z sąsiedniej szkoły dochodzą dźwięki zespołu kotlarzy ćwiczących szlagiery kalipso. Wpadające w ucho melodie dzwonią mi w głowie przez całą drogę przez most na Paradise Island (Wyspę

SHUTTERSTOCK.ADOBESTOCK.GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Wycieczkowce cumujące w Nassau – dawnej republice piratów, a dziś największym porcie rejsowym regionu.

Rajską), gdzie resztę popołudnia spędzam na plaży Cabbage. Surferzy popisują się na falach, dzieci puszczają latawce, a słońce powoli chowa się za odległą sylwetką hotelu Atlantis, który znam z filmu o Bondzie. Następnego dnia popłynę na Eleutherę, gdzie jest koralowa, różowa plaża jak ze snu Barbie. Pewnie zobaczę ruiny plantacji Armbrister na wyspie Cat. Może uda się rzucić okiem na posiadłości hollywoodzkich gwiazd na Great Exumie. Upał i szum fal mnie zmogły, zasnęłam i znowu snuję plany na „następny raz". Po ciemku wracam przez ciche miasto na statek. W kasynie grupa rozbawionych pasażerów tworzy roztańczonego węża – ktoś rozbił bank w jednorękim bandycie.

RUMU MI NALEJ

Pełna doba na morzu upływa na kolejnych seansach przyglądania się współpasażerom, odgniatania ciała na leżaku i na szperaniu w pustej bibliotece. Rano znów jestem pierwsza do zejścia na ląd. Charlotte Amalie, stolica Amerykańskich Wysp Dziewiczych, lśni bielą domów wśród tropikalnej zieleni, turkusowe fale liżą keję, a z portowego centrum handlowego pachnie karmelem i rumem. St. Thomas i jej wyspiarskie siostry – St. Croix, St. John i Water Island – to terytorium Stanów Zjednoczonych, ale dopiero od lat 20. zeszłego wieku. Wcześniej, po podboju przez Europejczyków, należały do Holandii, Danii, a od czasu do czasu Brytyjczycy odbijali je z rąk Duńczyków tylko po to, żeby znów je oddać. Plantacje trzciny cukrowej uprawiali niewolnicy, a na St. Thomas odbywał się w XVII w. największy w tej części świata targ handlu ludźmi. Trudno uwierzyć, że ten zaciszny dziś, tropikalny raj ma tak ponure dziedzictwo.

Amerykanie przyjeżdżają tu na luksusowe wakacje, które spędzają na białych jak mąka plażach, werandach hoteli i bezcłowych zakupach oraz na uprawianiu sportów wodnych. Dołączam do wycieczki, która idealnie wpisuje się w ten trend: po kilku godzinach na plaży w Magens Bay ruszamy busem na drugi koniec wyspy, gdzie resztę popołudnia nurkujemy z łodzi. Ale gdy wieczór w portowej pijalni rumu właśnie zaczął nabierać kolorów, koktajle poszerzyły nam uśmiechy, a nogi wyrwały się do tańca, znów zawyła syrena statku. Tym razem na twarzach współpasażerów widać rozczarowanie, które mi towarzyszyło przez niemal cały rejs. Ta podróż była jak zwiedzanie fabryki cukierków, które oglądać można tylko przez szybę. Czasem pozwolono polizać, ale o najedzeniu się nie było mowy. Trzeba będzie przyjechać ponownie. Po większą porcję. ■

eprasa.pl f3fc2b0a1d



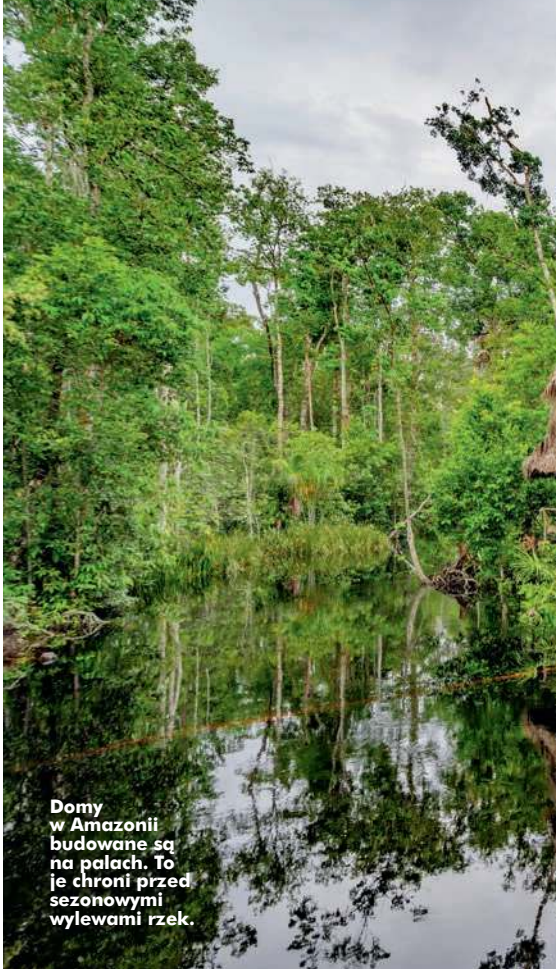
TEKST **MIROSŁAW WLEKŁY**

W KRAINIE TUKANÓW

PODRÓŻ PRZEZ AMAZONIĘ, NAJWIĘKSZĄ NA ŚWIECIE PUSZCZĘ, POZWALA ZWOLNIĆ. I ZDAĆ SOBIE SPRAWĘ, W JAKIM PĘDZIE ŻYJEMY NA CO DZIEŃ.



Labirynt kanałów i wysp tworzy rozlewiska największego systemu rzecznego świata w brazylijskiej Amazonii.



Domy w Amazonii budowane są na palach. To je chroni przed sezonowymi wylewami rzek.

Pagórkowatym szlakiem, ślizgając się na błocie, idziemy w głąb lasu. W końcu docieramy na miejsce, w którym jedynym udogodnieniem jest prosta konstrukcja z kilku pali. Na nią nałożono plandekę, a pod nią my rozwiesimy hamaki. Najpierw jednak, jeszcze przed zmrokiem, trzeba rozpalić ognisko. Wokół mnóstwo drewna, ale wszystko mokre, gnijące, zanurzone w błotnistej brei. Adelson, jeden z naszych przewodników, prowadzi nas dalej w las. Dziesięć, dwadzieścia minut, może pół godziny. Tną komary, buty przemakają. Z powrotem maszerujemy już obładowani gałęziami. – Szukałem molongó, bo ma cienką korę, pod którą zawsze kryje się suche, dobre na ognisko drewno – Adelson zdradza jedną z tajemnic selwy. Gatunek ten, o niezbyt grubych pniach, gęsto porasta brzegi rzek. Płomienie z tego drewna strzelają na stosie natychmiast po podpaleniu. W Amazonii mawia się, że tam, gdzie molongó, tam rybak zadowolony i strapiony jednocześnie. Szczęśliwy, bo w pobliżu zawsze pływają ryby tucunaré (w Polsce nazywane okoniopstrągiem albo bassem wielkogębowym). Gorzej, bo żyłka wędki często plącze się w gęstwinie. Tucunaré pieczemy na ruszcie zbudowanym z gałązek nad ogniskiem. Jak Tony Halik, którego w 1955 r., gdy podróżował po brazylijskiej selwie, symbolicznie przyjął do swojej społeczności lud Karajá. Jednym z decydujących dokonań, którym polski podróżnik wkupił się w ich łaski, było upolowanie tej ryby. Naszego okoniopstrąga jemy na obrusie z liści palm, za miski służą nam zwinięte liście bananowca, a łyżki wycięte są z trzciny. Po posiłku nie ma śmieci. W nocy przyroda szaleje. Z rzeki dochodzą odgłosy walki zwierząt. Owady dają koncert dźwięków o nieprawdopodobnej mocy. Z dala słychać nawoływanie małpy. Rano budzą nas skrzek, śpiew i krzyk tysięcy ptaków. Na drzewo ponad moim hamakiem wdrapał się skunks. Czuję zapach gotującej się nad ogniskiem kawy. Wypijemy ją z upieczonymi nad ogniem kromkami chleba. Moje najlepsze w tym roku śniadanie jem w towarzystwie pary orłów, która przysiadła na pobliskim drzewie, i stada sępów, które czeka na ochłapy tuż obok. Lepszych okoliczności nie mógłbym sobie wymarzyć. Jesteśmy w brazylijskiej Amazonii. Nad rzeką Mamori. Dotarliśmy tu z Manaus – największego miasta w tym największym na świecie lesie deszczowym.

Amazonka ma ponad 1,1 tys. dopływów. Panuje tu wilgotny klimat równikowy o wysokiej średniej sumie opadów.



Gujawy z targu w Manaus. Różowy miąższ tych owoców jest bogatym źródłem witaminy C i jada się go często na surowo.

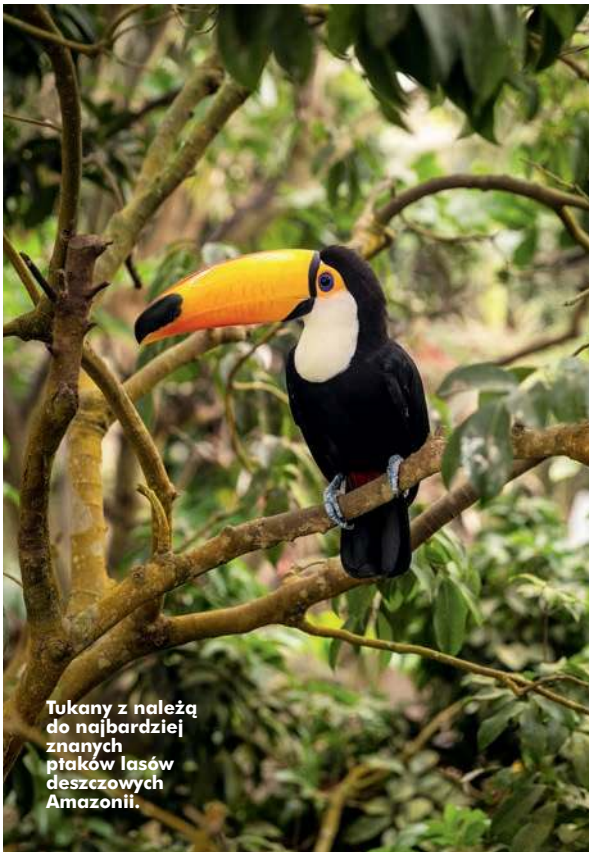
LENIWIEC I DRZEWO KAJMAN

Cały kolejny dzień upływa nam na podziwianiu amazońskiej fauny i flory. Najpierw niewielką łodzią płyniemy w głąb selwy na wędkowanie. Przynętą są resztki kurczaka, a celem – piranie. Większość z tych drapieżnych ryb jest tak sprytna, że porywa mięso z haczyka i ucieka. Jednak kilka udaje mi się złapać. Mocno przyrumienione na ruszcie smakują wybornie. Wcześniej jednak podziwiamy delfiny: co chwilę wyskakują nad powierzchnię wody, zazwyczaj w parach, z różnych stron łodzi, aż szyja boli od ciągłego skręcania głowy. A potem, już na lądzie, zaglądamy do nory tarantuli. – Samica jest większa od samca – opowiada Bennat, nasz drugi przewodnik, penetrując dziurę w ziemi długim patykiem. – Po

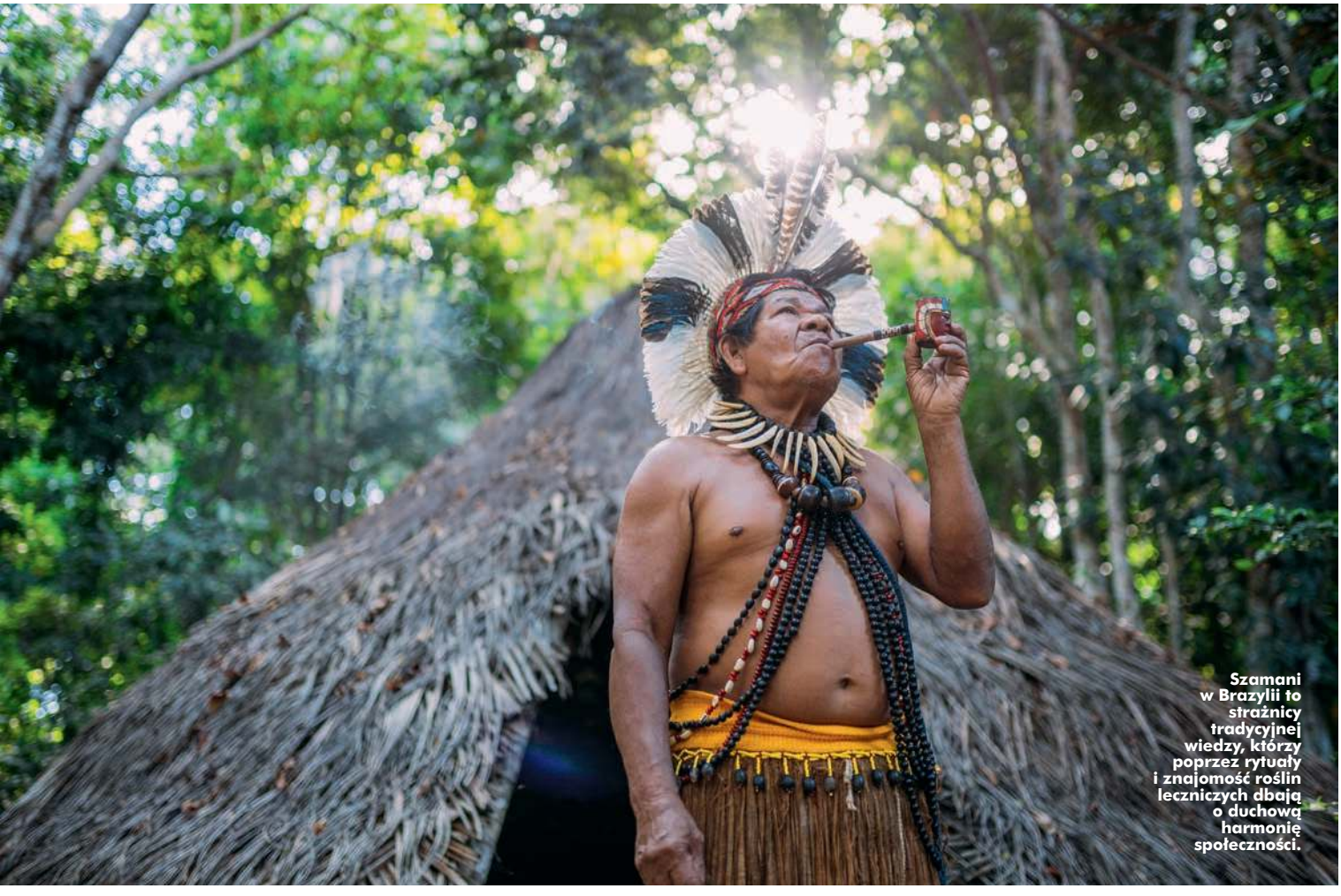
SHUTTERSTOCK(3), ADOBESTOCK, POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Tukany z należą do najbardziej znanych ptaków lasów deszczowych Amazonii.



Szamani w Brazylii to strażnicy tradycyjnej wiedzy, którzy poprzez rytuały i znajomość roślin leczniczych dbają o duchową harmonię społeczności.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
BRAZYLIA



U zbiegu Rio Negro i Solimões koło Manaus przez 6 km obok siebie płyną czarne i brunatne wody o różnej temperaturze i prędkości, zanim utworzą Amazonkę.

Po zatłoczonym targowisku wytchnienie przynosi Mangal das Garças. Ten park jest Amazonią w pigułce.



Arirania amazońska, największa wydra świata to jeden z drapieżników zamieszkujących dorzecze Amazonki.

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

zapłodnieniu go zjada. Bywa też, że zjada swoje dzieci. Na co dzień żywi się jednak żabami, mniejszymi ptakami – kiedy to mówi, z nory wychodzi włochaty pająk wielkości dziecięcej dłoni. Wypatrujemy leniwców. Jeden z nich siedzi wysoko na drzewie, niełatwo go dojrzeć. – Pod koniec pory deszczowej – ciągnie Bennat. – Kiedy drzewa w znacznej części znikną pod wodą, będzie można zobaczyć go w akcji. Potrafi skoczyć na inne drzewo albo płynąć. Nurkuje, wstrzymując oddech nawet do 40 min. A w wodzie porusza się jeszcze wolniej, niż chodzi. Bierze się to stąd, że większość energii traci na trawienie. Śpi do 20 godz. dziennie. I last but not least – nie traci energii na związki romantyczne. Po zapłodnieniu leniwce natychmiast się rozstają i żyją w samotności. Na obiad ponownie ryba – tym razem gigantyczna. Pirarucu! Największa ryba

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Korony drzew wilgotnego lasu równikowego Amazonii tworzą wielopiętrową strukturę jednego z najbardziej bioróżnorodnych ekosystemów świata.

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

Amazonii. Jej rozmiary dochodzą do dwóch, niegdyś nawet trzech metrów, a waga do 200 kg! Wędrujemy przez selwę, pośród wilgotnej, buzującej mieszanki zapachów: owoców i liści, gnijących gałęzi i odchodów małp. Bennat niespodziewanie się zatrzymuje, schyla i z małego pnia maczetą odłupuje kilkucentymetrowy skrawek. – Powąchaj – podaje. – To pau-rosa. Na jego punkcie oszalała Marilyn Monroe. W ręce trzymam jasnobrązowy skrawek palisandru, nazywanego też drzewem różanym. To jeden z najważniejszych sekretów Chanel N°5, najsłynniejszych perfum świata. Benatt prowadzi dalej. Uderza gałęzią w jego korzenie zwane sapompembas – tak wygląda komunikacja w selwie. Odgłos niesie się daleko w las. Trzy stuknięcia oznaczają wezwanie pomocy. Dwa – odpowiedź na to wołanie. Kolejne cuda amazońskiego drzewostanu: pau-brasil, od którego wywodzi się nazwa kraju; pau-jacaré („drzewo kajman") o charakterystycznym pniu przypominającym skórę aligatora; samaúma, puchowiec pięciopręcikowy, który stał się inspiracją dla Drzew-Domów w Avatarze. – Według wierzeń ludów amazońskich samaúma łączy niebo z ziemią – snuje opowieść Bennat. – Jest schronieniem dla wielu duchów selwy. Do tego absorbuje wodę. Mnóstwo wody. Jak gąbka. Oddając ją innym drzewom i krzewom w porze suchej. Jest wreszcie angelim-vermelho, najwyższe drzewo Amazonii. Rekordowe, odnalezione w 2022 r., miało wysokość 88 m!

PARYŻ TROPIKÓW

Po czterech dniach wracamy do Manaus, 2-milionowej metropolii w środku selwy. Z innych rejonów Brazylii dostać się tu można tylko samolotem, bo nie prowadzi do niego żadna przejezdna droga. Miasto wybudowano XVII w. jako demonstrację portugalskiej potęgi i dominacji. Wyglądało to mniej więcej tak jak w filmie Wernera Herzoga *Fitzcarraldo* (który wprawdzie dzieje się w peruwiańskim Iquitos, ale historia jest zaczerpnięta ewidentnie z brazylijskiej selwy). Jego bohater, nieudany biznesmen i wielki miłośnik muzyki operowej, po serii inwestycyjnych klęsk postanawia zrealizować swoje zwariowane marzenie i buduje gmach opery w samym środku deszczowego lasu. Jak mu wyszło? Można to zobaczyć i dziś. Ekstrawagancki Teatro Amazonas powstawał z drogich materiałów sprowadzanych z Europy. Wybudowano go na fali kauczukowego boomu, który rozpoczął się w 1870 r. Manaus, jako jedno z pierwszych miast w Brazylii, już pod koniec XIX w. było zelektryfikowane, oświetlone, wkrótce potem na tutejsze ulice ruszyły tramwaje. Nazywano je Paryżem tropików. Ze stolicy Francji

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Ary żyjące w Amazonii zjadają glinę neutralizującą toksyny z nasion i niedojrzałych owoców.

kauczukowe elity sprowadzały ubrania, biżuterię, kosmetyki, a niektórzy – by wyróżnić się jeszcze bardziej – wysyłali tam pranie. Boom szybko się skończył – kiedy wykradziono nasiona kauczukowca, założono jego plantacje w Azji, a potem wynaleziono kauczuk syntetyczny. Wytworny teatr w 1924 r. na wiele lat zamknięto, ale w 2001 r. władze miejskie przywróciły mu dawny blask i znów – przyjeżdżając do selwy – można się cieszyć teatrem czy operą w jego pozłacanych wnętrzach. Metropolia leży na lewym brzegu Rio Negro, która właśnie tutaj wpada do Amazonki. Z lotu ptaka wygląda to tak, jakby nad położone nad morzem miasto (bo wielka woda, nad którą leży Manaus, nie przypomina rzeki) nadciągały brunatne chmury. Albo jakby ciemną wodę mąciła plama oleistego wycieku. To encontro das aguas, „spotkanie wód", naturalne zjawisko występujące w różnych miejscach Amazonii. Tutaj jednak widać to chyba najlepiej. Granatowa Rio Negro i brunatna Amazonka przez wiele kilometrów płyną obok siebie, w ogóle się nie mieszając, tworząc, gdy spojrzeć z góry, dwie osobne, wijące się wśród zieleni selwy wstęgi. Z bliska efekt jest równie mocny, bo wyraźnie widać granicę obu rzek, których wody uparcie nie chcą się zmieszać. Osobliwość ta dzieje się za sprawą różnych temperatur tych wód, ich zasolenia, prędkości i rodzajów rozpuszczonych w nich osadów.

UPRAWIAĆ PRZYJAŹŃ

Zdrobniale brzmiąca nazwa wprowadza w błąd. Amazonka jest monstrualna, brunatna, w czasie deszczu wygląda złowrogo, ma silne prądy i już w okolicach, gdzie rozpoczynam podróż, miewa do 20 km szerokości. Jej głębokość dochodzi do 90 m. Już o świcie – choć barka odpływa dopiero za 3 godz. – jestem w porcie i rozwieszam na pokładzie swój hamak. Podróż trwa pięć dni, a najlepsze podczas takiego rejsu jest przyglądanie się ludziom, słuchanie ich. To świetne miejsce na fazer amizade [wym.: fazer amizadzi], jak mawiają Brazylijczycy. Dosłownie oznacza to: „uprawiać przyjaźń", czyli zawierać przyjaźnie. W tym sformułowaniu kryje się esencja ich narodowego charakteru. Na pokładzie, w tym specyficznym zamknięciu, przeżycia stają się intensywniejsze, więzy międzyludzkie mocniej się zacieśniają. Pogadać, prosić o pomoc, zaproponować poczęstunek lub go otrzymać – można od każdego. Po śniadaniu: nabożeństwo w rytmie samby tuż przy barowych głośnikach odprawia wiekowy pastor. W południe w tym samym miejscu starszy mężczyzna chwyta za tamburyn i inicjuje wspólne muzykowanie. Przy kilku stolikach w tym czasie trwa zacięta rywalizacja w domino. Podróżujący z nami członkowie ludu

eprasa.pl f3fc2b0a1d

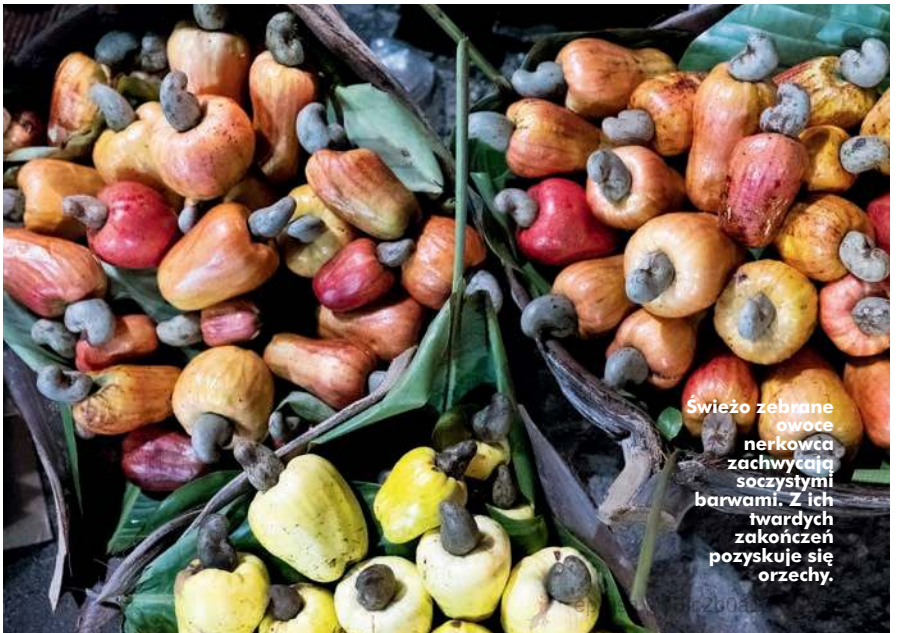
Arapiun tatuują chętnym policzki, przedramiona i łydki. Niebo jest pochmurne, wiatr rześki, daje chwilę wytchnienia od piekącego słońca, można więc posiedzieć na pokładzie. Z każdą godziną przybywa mi znajomych. Pytają o Polskę, zapraszają do swoich domów. W Óbidos kontrola i przeszukanie policji federalnej. Wchodzą w kominiarkach i z długą bronią. Tropią przemytników i handlarzy narkotykami. Ale są uprzejmi. Na koniec życzą wszystkim przyjemnej podróży. Po obiedzie: pogaduchy na dziobie statku. Maria Francisca, emerytka, od lat podróżuje między Manaus a wyspą Marajó, gdzie wyszła za mąż. Elder, hamak obok, jest sprzedawcą materacy ortopedycznych, który w swojej pracy często przemierza ogromne fragmenty Amazonii. Messias, hodowca drobiu, z żoną i trojgiem dzieci po sześciu latach w Manaus przeprowadzają się do rodzinnego Belém. Wiozą motocykl, lodówkę, stół. Po kolacji: zewsząd brzęczą filmiki z TikToka, reality show z YouTube'a; z sąsiedniego hamaka do późna w nocy dobiega w kółko ta sama piosenka religijna, a obok młody mężczyzna ogląda film dla dorosłych. Na głos. Nikt nie używa słuchawek.

SZEROKIE WODY

Następnego dnia o godz. 15 dopływamy do Santarém, największego miasta pomiędzy Manaus i Belém. Zatrzymujemy się tu do następnego dnia. Spaceruję promenadą, rzeka Tapajós wpada tu do Amazonki, a wody obu cieków ponownie tworzą dwukolorowe encontro das aguas. Temperatura przekracza 35 st. C i warto się schłodzić lodami lub sokiem z któregoś z amazońskich owoców. Sok wybieram z gravioli (flaszowca miękkociernistego), lody z bacuri (platonii insignis). Po zatłoczonym i hałaśliwym Manaus to miasto jest oazą spokoju. Od ulicznego artysty kupuję rzemyk z pazurem mrówkojada i kolczyki z piórami ary. Na kolację na brzegu rzeki zamawiam vatapá, czyli purée z krewetek, orzechów nerkowca, fasoli, mleka kokosowego i przypraw. Wszystko podane jest z porcją wodorostów. Nazajutrz w południe ruszamy dalej, a Amazonka znów zaczyna rosnąć. W okolicach Monte Alegre, mimo niskiego poziomu wody, z trudnością odnajduję na horyzoncie drugi brzeg. A potem – zaskoczenie, bo rzeka wydaje się coraz węższa. W rzeczywistości meandrujemy między rozrzuconymi na akwenie wyspami. Dzięki temu łatwiej przyjrzeć się życiu na ich brzegach. Widzimy skaczące do wody maluchy, ludzi wylegujących się na hamakach. Mijamy rzeczną stację benzynową o nazwie Dobry Jezus i drewniany supermarkecik Bóg – Moje Życie. Z głośnika nadal lecą piosenki o miłości.

SPRAWDŹ, ILE WAŻY!

Kiedy piątego dnia rejsu dopływamy do Belém, leje. Jesteśmy w jednym z najbardziej deszczowych miast świata. – Przez pół roku pada tu mocno, przez drugie pół mniej – wyjaśnia mi znajomy Enildo. Już na pierwszy rzut oka miasto, którego nazwa oznacza Betlejem, jest bardziej zielone niż nieco większe od niego i mocno zabetonowane Manaus. Łatwiej złapać tu oddech, nacieszyć oko. Na Praça da República, reprezentacyjnym placu porośniętym starymi drzewami, dumnie stoi neoklasycystyczny budynek Teatru Pokoju, kolejna ekstrawagancka pamiątka po erze kauczuku. Wokół, podobnie jak w Manaus, gąszcz zrujnowanych kolonialnych kamienic. Zaniedbane rzędy kolorowych zabudowań prowadzą mnie do najbardziej tętniącego życiem miejsca w tej metropolii. Ver-o-Peso znaczy „sprawdź, ile waży". Niegdyś była to placówka celna, w której ważono wwożone i wywożone z Amazonii towary. Dziś, tuż przy porcie rybackim, jest tu jarmark, na którym można kupić właśnie złowione w Amazonce giganty, egzotyczne owoce, świeże mięso, rękodzieło i atrybuty magicznych praktyk. Błękitny budynek hali targowej z otaczającymi go kolorowymi kamienicami szczególne wrażenie robi oglądany z rzeki. Po zatłoczonym targowisku wytchnienie przynosi Mangal das Garças, park urządzony na dawnych nieużytkach przy rzece. To Amazonia w pigułce: wokół przechadzają się flamingi, czaple i jaskrawoczerwone guary, na gałęzi usiadły dwie ary i tukan, na moście wyleguje się legwan. Ponad 100 km stąd Amazonka w końcu wpada do oceanu. I jest tu monstrualna. Setki tysięcy litrów wody, która przez ponad 6 tys. km płynęła z peruwiańskich Andów, z impetem wlewa się do Atlantyku.



Świeżo zebrane owoce nerkowca zachwycają soczystymi barwami. Z ich twardych zakończeń pozyskuje się orzechy.

ADOBESTOCK(2),SHUTTERSTOCK,GETTYIMAGES



Leniwiec niemal całe życie spędza wysoko w koronach drzew.



Rzeki Amazonii są głównym szlakiem komunikacyjnym dla mieszkańców osad.



Manaus nad Rio Negro to największe miasto brazylijskiej Amazonii i główny port regionu.

TEKST **MARZENA MRÓZ**

POTĘGA NATURY

LODOWCE, LASY DESZCZOWE I DZIKIE ZWIERZĘTA. WYRUSZYŁAM NA ALASKĘ, PODĄŻAJĄC LEGENDARNĄ DROGĄ MORSKĄ.

W lodowcowych zatokach południowo-wschodniej Alaski spływ kajakiem między dryfującymi górami lodowymi jest niezwykłym przeżyciem.

egmont.pl/fabryka





Greg wysiadł z dżipa pierwszy. Ale zanim to zrobił, wyjął ze schowka pistolet i przełożył go sobie za pasek spodni. Obserwowałam przez okno samochodu, jak na ugiętych nogach podchodzi do rwącej rzeki pełnej łososi. Szedł, nie wydając żadnego dźwięku, nie zostawiając po sobie śladów. Jak mi potem opowiedział, tropienia nauczył go dziadek, rdzenny mieszkaniec Alaski z plemienia Rekinów. Lasy w okolicach Icy Strait Point, portu na wyspie Chichagof, nie miały ani kiedyś dla dziadka, ani dziś dla wnuka żadnych tajemnic. Greg codziennie patroluje ten region leżący w samym sercu Tongass – największego lasu deszczowego strefy umiarkowanej na świecie. A ponieważ wie o tych terenach i ich mieszkańcach wszystko, zgodził się wyprawić ze mną na zobaczenie niedźwiedzi.

Alaska jest największym stanem USA, pięć razy większym od Polski, a także od Niemiec, Francji i Hiszpanii razem wziętych.



Krab jest bardzo cenionym daniem na Alasce, gdzie trafia na stoły prosto z wód Morza Beringa i Zatoki Alaskiej.

NA TROPIE ZWIERZĄT

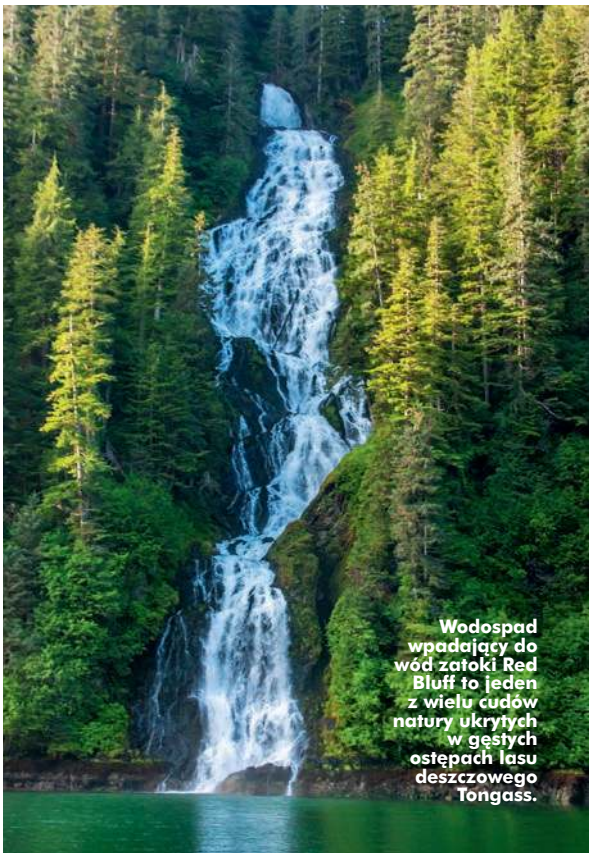
Na Alasce żyją niedźwiedzie brunatne, czarne i polarne. Wśród brunatnych są osobniki mieszkające na wybrzeżu, żyjące w głębi lądu grizzly i niedźwiedzie kodiackie. Wypatrywaliśmy niedźwiedzi żyjących u wybrzeży Archipelagu Aleksandra i szczęście najwyraźniej nam sprzyjało, bo już po niespełna godzinie jazdy samochodem i przedzierania się między świerkami sitkajskimi, jodłami alpejskimi, wysokimi trawami i krzewami arniki – zobaczyliśmy pierwszą tego dnia niedźwiedzicę. Na początku wydawało mi się, że beztrosko pluska się w rzece. Tymczasem – polowała na łososie. Podeszliśmy jak najbliżej wody, jednak byliśmy od niej bezpiecznie oddaleni, stojąc na skraju drogi na niewielkim wzniesieniu. Pląsające wśród ryb zwierzę nie widziało nas, za to my obserwowaliśmy każdy jego ruch. – To młoda samica, urodziła się tej wiosny – stwierdził Greg. – Ma dużo energii, a teraz wybrała się na lunch. Niedźwiedzie przychodzą tu łowić ryby, zwłaszcza w okresie tarła łososi, a więc w lipcu i sierpniu. Przyjechałaś w najlepszym możliwym czasie, żeby je spotkać. Czekaliśmy, aż zwierzę zje posiłek i syte oddali się, zniknie nam z oczu. Greg uruchomił wtedy dżipa i pojechaliśmy dalej przez gęsty las, korzystając z dawnej sieci utwardzonych przez drwali dróg. Po kilku kilometrach zatrzymaliśmy się, kiedy drogę przebiegł nam, a raczej przeszedł nieśpiesznie, ogromny łoś wyróżniający się szerokim, pokrytym sierścią porożem. – Te rogi są gigantyczne! – krzyknęłam spontanicznie. – Jak często zdarza ci się spotkać łosia? – zapytałam. Na Gregu jednak to spotkanie najwyraźniej nie zrobiło wielkiego wrażenia. Opowiedział mi, że na Alasce żyje ponad 200 tys. łosi i ponieważ nie są tu one gatunkiem zagrożonym, każdego roku odbywają się polowania, podczas których okoliczni mieszkańcy

SHUTTERSTOCK(4), POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Bielik jest symbolem Stanów Zjednoczonych. Na Alasce występuje jedna z największych w USA populacji tego ptaka.



Wodospad wpadający do wód zatoki Red Bluff to jeden z wielu cudów natury ukrytych w gęstych ostępach lasu deszczowego Tongass.



Ketchikan często jest nazywane Pierwszym Miastem Alaski. To właśnie tutaj przybijają pierwsze statki wycieczkowe płynące od strony Kanady.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
STANY ZJEDNOCZONE





Jęzor lodowca Mendenhall, opadający wprost do jeziora na obrzeżach Juneau, stanowi jeden z najbardziej fascynujących i namacalnych dowodów potęgi natury w rejonie stolicy Alaski.



Hydroplany cumujące na alpejskich jeziorach w pobliżu Misty Fjords National Monument są kluczowym środkiem transportu na Alasce.

zaopatrują się w świeże mięso. Tego dnia udało nam się zobaczyć również orła, gronostaja i gromadkę piżmaków. Przez lornetkę obserwowaliśmy też dorosłego rosomaka, którego Greg wypatrzył z daleka. Nie mogłam oderwać wzroku od jego masywnej sylwetki i gdyby nie jasne pasma po bokach brązowo-czarnego futra, pewnie pomyliłabym go z niedźwiedziem.

WEWNĘTRZNA PRZEŁĘCZ

Po pięciu godzinach tropienia zwierząt wróciliśmy do wsi Hoonah przez lasy i mokradła, zrywając z krzaków jagody, borówki i najsłodsze, jakie w życiu jadłam, maliny. Rozpoczynałam właśnie swoją alaską przygodę, do której przygotowywałam się przez kilka miesięcy. Wysiadłam ze statku, którym płynęłam dwa dni z Vancouver w Kanadzie, przez Inside Passage, aż do Icy Strait Point, który był moim pierwszym portem na Alasce. Inside Passage, nazywany Wewnętrzną Przełęczą, to ponad 1500-kilometrowy szlak morski biegnący wzdłuż wybrzeży kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej, aż do południowo-wschodniej Alaski. Trasa prowadzi przez wąskie cieśniny, fiordy, zatoki i między setkami wysp Archipelagu Aleksandra. Godzinami obserwowałam zmieniającą się scenerię, wynurzające się z wody orki, humbaki i delfiny. Inside Passage był i jest domem dla rdzennych ludów:

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

23 REJSY MARZEŃ
STANY ZJEDNOCZONE



Sezonowa wędrówka łososi w górę rzeki Brooks przyciąga do wodospadów w Parku Narodowym Katmai niedźwiedzie brunatne.



White Pass and Yukon Route to historyczna kolej wąskotorowa łącząca Skagway na Alasce z Jukonem w Kanadzie.

Tlingit, Haida, Tsimshian i Heiltsuk. Od setek lat ludzie używali tych tras do handlu i migracji, a James Cook opisywał ten region jako „niezwykle trudny do nawigacji, ale bajecznie piękny". Strait Point to prywatny port wycieczkowy, stworzony i zarządzany przez Huna Totem Corporation, której właścicielami są rdzenni mieszkańcy – głównie Tlingitowie. – I pomyśleć, że pierwszy statek z turystami przypłynął tu zaledwie 20 lat temu – pomyślałam, stawiając po raz pierwszy stopę na alaskiej ziemi.

POCIĄGIEM DO KLONDIKE

Kolejnym moim przystankiem na Alasce było miasteczko Skagway, które odegrało ważną rolę w historii gorączki złota Klondike w końcu XIX w. Wsiadłam tam do zabytkowego pociągu z drewnianymi ławkami zamiast siedzeń, który przez 3 godz. wznosił się aż do szczytu White Pass. Budowę kolei rozpoczęto w 1898 r., w samym środku gorączki złota, która przyciągnęła dziesiątki tysięcy poszukiwaczy fortuny do nieprzystępnych terenów Jukonu. Trzeba przyznać, że White Pass and Yukon Route to techniczne arcydzieło – linia została wykuta w skalistych zboczach gór, poprowadzona przez przełęcze, doliny i strome urwiska. W ciągu zaledwie 26 miesięcy udało się ukończyć 177 km torów, co w tamtych czasach graniczyło z cudem. Stałam na wąskiej platformie między wagonami i fotografowałam niezmierzone przestrzenie tego 49. stanu USA nazywanego przez Amerykanów The Last Frontier – Ostatnią Granicą. Kiedy pociąg wspinał się na wysokość ponad 800 m n.p.m., krajobraz zmieniał się co chwilę. Gęsty las ustępował miejsca karłowatym świerkom, kosodrzewinie i porośniętym mchem głazom. Na samej przełęczy White Pass klimat przypominał już tundrę. Zrobiło się też zimno i wietrznie. Choć było lato, fotografowałam łachy śniegu dobrze kontrastujące z dzikim, fascynującym dla mnie światem – niemal nietkniętym ludzką ręką. Greg powiedział mi, żebym podczas podróży pociągiem wypatrywała kanadyjskich rysi wyróżniających się wyjątkowo puszystą sierścią. Ale zamiast nich zobaczyłam jedynie świstaki, kozice i latające nad przełęczą kruki.

JEDYNE TAKIE MIEJSCE!

Alaska, która ma zaledwie 740 tys. mieszkańców, jest największym stanem USA, pięć razy większym od Polski, a także od Niemiec, Francji i Hiszpanii razem wziętych. To prawdziwy gigant, którego aż 90 proc. obszaru nie można eksplorować. Nie jest on bowiem dostępny dla ludzi. W całym stanie jest zaledwie 20 tys. km utwardzonych dróg, czyli tyle ile na Mazowszu. Do tego 100 tys. lodowców, 3 mln jezior, 3 tys. rzek, 30 pasm górskich i 70 wciąż aktywnych wulkanów. Trzęsienia ziemi są tu rejestrowane co 15 min. Motto stanu: „North to the Future" – „Przez Północ do przyszłości", odzwierciedla jego północne położenie, potencjał, wyjątkowość, ale i zagrożenia. Stan ten jest również nazywany Wielkim Krajem od aleuckiego słowa „Alakshak" i jest oddalony od Rosji o zaledwie 80 km. Dlaczego wybierając się na Alaskę, zdecydowałam się na podróż statkiem? Koniecznie chciałam dotrzeć do jej stolicy – Juneau, do której nie prowadzą żadne drogi i która nie posiada lotniska. Mieszkańcy i turyści muszą więc korzystać z promów, łodzi albo hydroplanów.

STOLICA WŚRÓD LODOWCÓW

Horyzont Juneau stanowią góry, lodowce i dzikie lasy. Miasto położone jest nad wodami Gastineau Channel, a jego atrakcje łączą dziką przyrodę i kulturę rdzennych ludów – z odrobiną współczesności. Mnie interesowała przede wszystkim bliskość lodowców i od razu po zejściu ze statku wsiadłam do hydroplanu, który przez godzinę był moim kolejnym środkiem lokomocji na Alasce. Kiedy wchodziłam do tego pojazdu na płozach, startującego i lądującego w wodzie, popołudniowe niebo płonęło kilkoma odcieniami chłodnego różu, a fale łagodnie lizały brzegi zatoki. Nasz pilot, Kevin, jeszcze przed startem obiecał, że zobaczymy krajobraz, którego nie zapomnimy do końca życia. A kiedy już oderwaliśmy się od ziemi, ujrzeliśmy wielkie surowe piękno. Hydroplan wznosił się nad lasami deszczowymi, żeby po chwili dotrzeć nad szeroki na kilka kilometrów lodowiec Taku wypływający bezpośrednio z Juneau Icefield i – jak poinformował nas Kevin – jeden z nielicznych, jeśli nie jedyny w tym regionie, który nie cofa się, a postępuje. Nie odrywając wzroku od okienka hydroplanu, rejestrowałam w pamięci szczeliny lodowcowe, spływające z gór wodospady i błękitne oczka topniejącej wody. Oświetlone przez słońce fragmenty brył lodu wydawały się intensywnie niebieskie, szczególnie w miejscach, gdzie lód jest gęsty i dobrze przepuszcza światło. – Norris Glacier jest wprawdzie mniejszy, ale zobaczcie, jaką ma

James Cook opisywał ten region jako niezwykle trudny do nawigacji, ale za to bajecznie piękny.



W Ketchikan jest największe na świecie skupisko autentycznych i odtworzonych totemów rdzennych mieszkańców Alaski.

SHUTTERSTOCK(4)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Rozległa delta rzeki lodowcowej w pobliżu miejscowości Haines tworzy z lotu ptaka splecioną z turkusowych strumieni i piaszczystych łach sieć koryt rzeźbiącą krajobraz południowo-wschodniej Alaski.

ciekawą strukturę – powiedział Kevin, obniżając jednocześnie wysokość, tak że zdawało się, jakbyśmy dotykali płozami jaśniejącego w słońcu morza bieli. Kolejnym zachwytem okazał się lodowiec Hole-in-the-Wall składający się ze spektakularnych kolumn. Dłuższą chwilę krążyliśmy też nad East Twin Glacier i West Twin Glacier – parą bliźniaków uwidaczniających kontrasty, jakie są możliwe na Alasce, kiedy cienie i ekspozycje stoków górskich dopełniają się o zachodzie słońca latem. Gdy po godzinnym locie wracaliśmy do Jouneau, zobaczyliśmy również lodowiec Mendenhall, do którego można dojść z miasta spacerem. Lot hydroplanem nad Juneau był dla mnie czymś więcej niż tylko okazją do zrobienia pięknych zdjęć i filmów. Był to przede wszystkim kontakt z potęgą natury, który uświadomił mi kruchość otaczającego nas świata. Widok ogromnych tafli lodu i jęzorów, którymi lodowiec się porusza, idealna cisza – poza dźwiękami silników i śmigieł – a także przestrzeń i surowość krajobrazu – Kevin miał rację, takiego krajobrazu się nie zapomina. Kiedy schodziłam na ląd w Ketchikan, ostatnim przystanku mojej alaskiej podróży, wiedziałam, że w tym miasteczku przyda się płaszcz przeciwdeszczowy. Nie pada tu bowiem tylko przez 16 dni w roku. Zauważyłam również, że wszyscy mieszkańcy chodzą w takich samych butach – beżowych kaloszach. Kupiłam sobie identyczne, zresztą innych w sklepie nie było.

TOTEMY W DESZCZU

Brodząc w płynącej po ulicach wodzie, doszłam do przystanku autobusowego. Cel mojej wyprawy – Totem Bight State Historical Park – był bowiem oddalony o 16 km od miasteczka. Znajduje się tam kilkanaście odrestaurowanych totemów oraz replika tradycyjnego domu wspólnotowego. Totemy pełniły funkcję symboliczną i społeczną – upamiętniały ważne osoby, wydarzenia, rodowody klanów: Tlingitów, Haida i Tsimshian, oraz przekazywały opowieści z lokalnej mitologii. Każdy jest unikalny, a jego znaczenie zostało zakodowane w postaciach zwierząt, duchów i ludzi przedstawionych w charakterystycznym stylu. Orzeł, kruk, niedźwiedź czy wilk mają konkretne znaczenie i są związane z duchowością i tożsamością klanową. Przez kilka godzin chodziłam wokół kolorowych pali ustawionych setki lat temu w deszczowym lesie. Ich uroda i tajemnica zachęciły mnie do odwiedzenia Saxman Native Village – wioski, gdzie działa jeden z warsztatów rzeźbiarskich. Zobaczyłam współczesnych mistrzów przy pracy, a także jedną z największych kolekcji totemów na Alasce. Kiedy już przeszłam Creek Street – dawną dzielnicę czerwonych latarni, a dziś promenadę nad wodą z galeriami i muzeami, przysiadłam w małej restauracji. Ponieważ miasteczko jest znane jako „łososiowa stolica świata", zamówiłam tę samą rybę, jaką zajadała się moja niedźwiedzica spotkana w Icy Strait Point. Delikatne świeże mięso miało niepowtarzalny smak i konsystencję. Tego można doświadczyć tylko na Alasce. ■

GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Niewielki statek przepływający u stóp lodowca Margerie w Parku Narodowym Glacier Bay doskonale oddaje monumentalną skalę ściany błękitnego lodu.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST AGNIESZKA FRANUS

W KRAINIE DZIEWIĘCIU SMOKÓW

OD WIETNAMSKICH KANAŁÓW PO KAMBODŻAŃSKIE ŚWIĄTYNIE – REJS STATKIEM DELTĄ MEKONGU, JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ FASCYNUJĄCYCH TRAS RZECZNYCH NA ŚWIECIE.



Sztuczne kanały w delcie Mekongu tworzą sieć o długości tysięcy kilometrów. Nawadniają pola ryżowe, osuszają, służą do transportu towarów.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Motorowery to podstawa logistyki w delcie. Przewozi się na nich nawet żywy inwentarz.





Delta Mekongu jest największym producentem owoców w Wietnamie, a sady owocowe ciągną się wzdłuż niemal każdego kanału.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Zbiór lilii wodnych. Służą nie tylko do ozdoby, ale też w lokalnej kuchni. Dodawane są do zup lub serwowane jako sałatka.

Mekong budzi się do życia wraz z pierwszymi promieniami słońca, które skrzą się na jego powierzchni niczym brokat. Z pierwszym światłem budzą się też ludzie, a nad rzeką roznosi się warkot silników małych zwinnych sampanów. To tutaj podstawowy środek transportu – każda rodzina ma co najmniej jedną taką łódź, którą podróżuje do pracy, szkoły czy na targ. Między sampanami majestatycznie poruszają się większe jednostki wyładowane po brzegi zbożem, ryżem lub innymi towarami. Na dziobach mają wielkie wyraziste oczy. Ich malowaniu towarzyszy uroczysta ceremonia, podczas której mieszkańcy delty nadają tym łodziom „osobowość", traktując je jak istoty chroniące ich przed złymi duchami i potworami czającymi się w mętnych wodach. Rybacy wierzą, że dzięki tym oczom ominą zdradzieckie prądy i mielizny, a także z łatwością namierzą ławice ryb, co zapewni im obfitość. Wiele z tych łodzi służy także jako domy – na niektórych dostrzec można suszące się pranie, w innych ktoś gotuje. Ich mieszkańcy witają mnie z uśmiechem i machają, gdy przepływamy obok.

ŻYCIE NA WODZIE

Delta Mekongu, zwana przez Wietnamczyków Matką Wszystkich Rzek lub Rzeką Dziewięciu Smoków, to prawdziwa kraina obfitości. Według legendy jej dziewięć odnóg to smocze ciała, które wypełzły z gór, aby strzec tego miejsca. Rzeka i jej niezliczone kanały są krwiobiegiem regionu, dyktując rytm dnia dla ponad 25 mln mieszkańców. Dzięki żyznym osadom niesionym przez Mekong ziemia wydaje plony nawet trzy razy w roku. Dlatego otacza ją mozaika soczyście zielonych pól ryżowych, gajów mangowych i ogrodów pełnych tropikalnych owoców i kwiatów. Zachwycam się bujnością roślin, które kolonizują każdy wolny skrawek lądu, natura tutaj nie zna pustki. Domy w miasteczkach i wioskach, często zbudowane z drewna, liści palmowych czy bambusa, stoją na palach, chroniąc mieszkańców przed sezonowymi wylewami. W każdym z nich jest ołtarz poświęcony przodkom, żeby ich duchy mogły czuwać nad pomyślnością i bezpieczeństwem rodziny. Codziennie też składa się im ofiary z jedzenia i pali kadzidła. Hodowla ryb, w tym pangi, tilapii czy krewetek, odbywa się na rzecznych farmach, co można poznać po towarzyszącym im specyficznym ostrym zapachu. Moją uwagę przykuwają też wielopiętrowe, pozbawione okien budynki wyglądające niczym bunkry. Okazuje się, że są to domy dla salanganów, niewielkich ptaszków z rodziny jerzykowatych. Z ich gniazd robi się słynną zupę, jeden z najdroższych i najbardziej luksusowych przysmaków w Azji. W naturze budują one gniazda w trudno dostępnych miejscach – na skalnych ścianach jaskiń, stąd pozyskiwanie ich bywa bardzo niebezpieczne. Mieszkańcy

Ziemia w delcie Mekongu jest tak żyzna, że rolnicy zbierają tu plony nawet trzy razy w roku.



Łódź transportowa na dziobie ma namalowane oczy, które według lokalnych wierzeń mają chronić załogę przed niebezpieczeństwami.

delty stworzyli więc sprytne rozwiązanie i wabią salangany do specjalnie wybudowanych domów, imitując ich dźwięki. Gniazda składają się z zaschniętej śliny, która pod wpływem powietrza twardnieje i jest jadalna, a przy tym bardzo bogata w białko oraz mikroelementy, takie jak wapń, potas i magnez. Nic dziwnego, że cena za kilogram może sięgać nawet 40 tys. zł, a ich spożywanie w tej części świata to symbol statusu społecznego.

ŚLADAMI KOCHANKA

Płynąc w górę Mekongu, zatrzymaliśmy się w Cái Bè, gdzie znajduje się chyba najładniejsza katedra w całej delcie. Jej strzelista sylwetka góruje nad lokalną zabudową. To miasto rękodzielników, więc tutaj uczyłam się robić papier ryżowy, wylewając ciasto i rozsmarowując je na rozgrzanym blacie, które potem suszy się na bambusowych stelażach. Pamiętam, że było okropnie gorąco

GETTY IMAGES (3), ADOBESTOCK; POPRZEDNIE STRONY: ADOBESTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



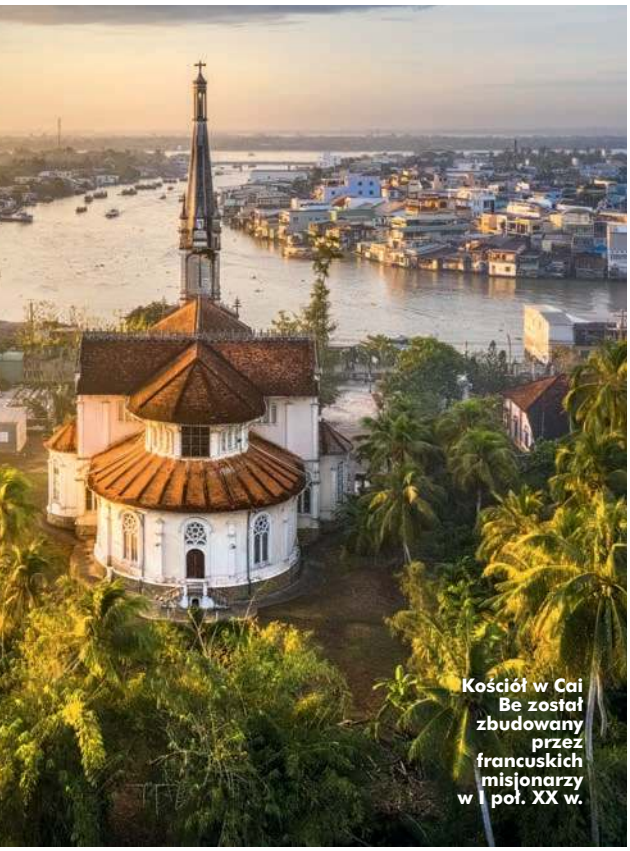
Las Melaleuca (Tra Su), położony w prowincji An Giang, niedaleko granicy z Kambodżą. Składa się głównie z drzew z rodziny mirtowatych (*Melaleuca*), które potrafią przetrwać w wodzie przez wiele miesięcy w roku.

Copyright © Wydawnictwo Pascal Sp. z o.o. 2019 | Wydawnictwo Pascal Sp. z o.o. | ul. Bardowskiego 2, 61-555 Poznań | tel. 61 847 62 96 | www.pascal.pl | Wydanie 1 | ISBN 978-83-8195-



SHUTTERSTOCK

i podziwiałam panią, która w takich warunkach produkuje nawet tysiąc arkuszy dziennie. Potem były warsztaty z robienia cukierków z mleka kokosowego, prażenia ryżu, a nawet pędzenia wódki ryżowej. I rejs na pobliską wyspę Tan Phong, która przypomina rajski ogród, gdzie u jednego z gospodarzy zajadałam się durianami, mangostanami, jackfruitami i rambutanami, popijając pyszną zieloną herbatę. Kolejnego dnia zwiedzałam Sa Đéc ze słynnym pływającym targiem, choć dziś większość handlu odbywa się tu już na lądzie. Okazał się on chaotyczną symfonią straganów oferujących wszystko, co uprawia się i hoduje w okolicy: od owoców i warzyw po wszelkie stworzenia – w wielkich misach napowietrzanych pompkami pływały jeszcze żywe ryby, krewetki, kraby, żółwie, a w klatkach wiły się węże i tkwiły poupychane kurczaki. Sprzedawcy, głównie kobiety w tradycyjnych stożkowych kapeluszach, z uśmiechem zachęcali do zakupów. Tam też przez wąskie alejki przeciskali się, trąbiąc i krzycząc, kierowcy na skuterach obładowanych po sufit towarami. Na jednym takim pojeździe potrafiła się zmieścić cała rodzina, zakupy na miesiąc i jeszcze kilkanaście klatek np. z kaczkami. W Sa Đéc zwiedzałam również zabytkowy chiński dom (dziś muzeum), który był świadkiem jednej z najsłynniejszych historii miłosnych XX w. Zakazany romans wybuchł między zamożnym dojrzałym Chińczykiem i zubożałą 15-letnią Europejką, czyli Marguerite Duras i Huynh Thuy Le. Opisany w powieści *Kochanek* przez Marguerite i sfilmowany przez Jeana-Jacques'a Annauda w 1992 r. to poza wątkiem romantycznym nostalgiczny obraz świata, który przeminął – co ciekawe, mimo międzynarodowego sukcesu jego wyświetlanie jest wciąż w Wietnamie zakazane. Ale Sa Đéc to przede wszystkim stolica kwiatów, na jej obrzeżach zaczynają się ogromne wielobarwne pola, na których uprawia się setki gatunków



Kościół w Cai Be został zbudowany przez francuskich misjonarzy w I poł. XX w.



Ulice Phnom Penh są zdominowane przez skutery, tuk-tuki i motocykle, które są tu głównym środkiem transportu.



Barwne targowiska wypełnione produktami z delty znajdziemy w każdym nadrzecznym mieście.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



roślin, od chryzantem, lotosów po orchidee i róże. Dla Wietnamczyków kwiaty są symbolem życia, przemijania i odrodzenia i ważnym elementem obrzędów. Składane są w świątyniach jako dar dla przodków i bogów, a ich różnorodność stanowi metaforę bogactwa i harmonii natury. Następny dzień związany był z Châu Đoc, gdzie obok wietnamskich domów i pagód pojawiają się świątynie buddyzmu therawada, typowe dla kultury khmerskiej, z kunsztownie zdobionymi strzelistymi dachami. Znak, że zbliżyliśmy się do granicy z Kambodżą. Stąd już autobusem wyruszyliśmy do lasu Tra Su, sanktuarium ptaków, gdzie żyje ich ponad 70 gatunków, a wśród nich kormorany, zimorodki czy czaple. Jego atrakcją są tworzące tunele drzewa kajeputowe mistrzowsko radzące sobie w podmokłym ternie. Malowniczy labirynt wodnych kanałów zwiedza się łodziami. A ponieważ ich powierzchnię pokrywa gęsty kożuch rzęsy wodnej, stąd wrażenie, jakbyśmy sunęli przez szmaragdową łąkę wsłuchani w symfonię ptasich śpiewów.

ADOBESTOCK, GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE

TU I TERAZ

Mekong, jedna z najpotężniejszych rzek Azji, płynie majestatycznie przez 4350 km i sześć krajów. W porze monsunowej, gdy deszcze są najbardziej obfite, a dzieje się to właśnie teraz, jego woda nabiera barwy kawy z mlekiem i rozlewa się niczym spokojne morze. Odkąd wsiadłam na statek wycieczkowy Scenic Spirit, którym wyruszyłam w 9-dniowy rejs z położonego w odległości 60 km od Ho Chi Minh portu My Tho do Kambodży – z każdym dniem ta rzeka fascynuje mnie coraz bardziej. Czas dzielę między statek i organizowane dla jego pasażerów codziennie wycieczki z przewodnikiem, które zaczynają się zaraz po śniadaniu lub obiedzie. Po powrocie na pokład można odpocząć przy basenie lub na górnym pokładzie przypominającym rajską plażę z palmami. Od czasu do czasu biorę też udział w porannych zajęciach jogi lub tai-chi, licznych warsztatach: od wiązania karmy, czyli khmerskiej chusty, która ma prawie sto zastosowań, po kursy robienia drinków lub gotowania regionalnych potraw. Codziennie też nasi przewodnicy opowiadają o miejscach, do których następnego dnia się udamy, lokalnych tradycjach, wierzeniach, geopolityce. A wieczorami oglądam występy artystów, pokazy tańców czy ceremonialnych strojów, po czym przenoszę się do baru, by porozmawiać z innymi pasażerami. Ale najbardziej uwielbiam te chwile, gdy wracam do mojej kajuty. Otwieram wtedy okno, siadam w ciszy i wsłuchując się w szum rzeki i dźwięki cykad, oczekuję na zachód słońca, który każdego dnia jest inny, i na moment, kiedy gwiazdy tańczą nade mną, a ja nie myślę już o niczym innym poza tym, co się dzieje dookoła.

KALEJDOSKOP WRAŻEŃ

Dopłynęliśmy do Phnom Penh. Wieczorem nadbrzeżny bulwar

W delcie to sklep przychodzi do ciebie. Specjalne łodzie pełnią funkcję piekarni, drogerii, a nawet punktu naprawy sprzętu AGD.



Rejsy po Mekongu odbywają się na statkach wycieczkowych takich jak Scenic Spirit. Taka podróż pozwala lepiej poznać życie mieszkańców delty.

Sisowath Quay dosłownie pęka w szwach. To zupełnie inny świat niż ten, którego wcześniej doświadczałam – pełen chaosu, zapachów, kolorów i kształtów. Wszystko tu krzyczy, kusi, migocze, pędzi, a jednocześnie, choć nic do siebie nie pasuje, tworzy hipnotyzującą mozaikę i wciąga niczym wir. Wysokie wieżowce zderzają się z niską zabudową, szerokie fasady z wąskimi, a kolonialne kamienice sąsiadują z nowoczesnymi apartamentowcami. Są tu tanie restauracje ze stolikami na zewnątrz i butiki z elegancką odzieżą, salony masażu za 15 dol za godz. przeplatają się z barami z muzyką na żywo. Porywa mnie rytm tego miasta,

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Kobiety wykonują nón lá, tradycyjny wietnamski kapelusz stożkowaty. Robi się go z wysuszonych liści palmy, które są rozpięte na bambusowym stelażu.



Pałac Królewski w Phnom Penh, stolicy Kambodży, to kompleks budynków służący jako rezydencja królów Kambodży od momentu jego wybudowania w 1866 r.



Ten chiński dom w mieście Sa Đéc był tłem słynnego romansu *Kochanek* francuskiej pisarki Marguerite Duras.

jednocześnie szybki i wolny. Włóczę się, zamawiając jedną mrożoną kawę po drugiej, i przyglądając się ludziom w nieustannym ruchu, docieram na nocny targ Phsar Reatrey, który oferuje kolejną porcję wrażeń i zakupowych okazji od jedwabnych apaszek po statuetki Buddy. Wcześniej zwiedziliśmy pałac królewski, oficjalną rezydencję króla Kambodży. To olśniewający zespół budynków wzniesiony w połowie XIX w., z dachami lśniącymi od ornamentów i smukłymi wieżyczkami. Największe wrażenie zrobiły na mnie sala tronowa zwieńczona 59-metrową wieżą i Srebrna Pagoda z podłogą wyłożoną ponad 5 tys. srebrnych płytek. Jej wnętrze kryje bezcenne skarby, w tym naturalnej wielkości posąg Buddy wykonany ze złota i ozdobiony setkami diamentów. Wracam na statek tylko dlatego, że będą dziś dla nas tańczyć apsary, mityczne boskie istoty, uosobienie idealnego piękna, które mogły zesłać szczęście lub zgubę. Znane mi były dotąd z reliefów zdobiących wiele khmerskich świątyń. Podziwiam ich piękne kostiumy i ruchy – powolne, wystudiowane pełne elegancji i harmonii. Dawniej występowały jedynie przed królami, dziś ich pokazy przenoszą nas do tamtych czasów.

BEZ BŁOTA NIE MA LOTOSU

Kolejnego dnia moja podróż gwałtownie zmienia ton za sprawą wizyty na Polach Śmierci Choeung Ek i w muzeum ludobójstwa Tuol Sleng (S-21). W Kambodży trudno uciec od tego tematu, choć nie czuć bezdennego smutku i współczucia do narodu poddanego tak ciężkiej próbie, jaką były rządy Pol Pota i Czerwonych Khmerów. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak można poradzić sobie z taką traumą. I wtedy przypomniała mi się jedna z najgłębszych nauk wietnamskiego mistrza buddyzmu, zgłoszonego do Pokojowej Nagrody Nobla Thích Nhat Hanh, który mówił, że „bez błota nie ma lotosu". Głosił on, że szczęście nie polega na życiu w świecie pozbawionym bólu, ale na umiejętności przetransformowania tego bólu w zrozumienie i współczucie. To, co się wydarzyło w Phnom Penh, jest błotem, gęstym, mrocznym czasem w historii ludzkości, ale to właśnie tutaj, w takim miejscu, można tak naprawdę poczuć, jak cenny jest pokój, i zapragnąć celebrować każdą chwilę życia.

JAK ZOSTAĆ MNICHEM

Phnom Penh położone jest u zbiegu aż trzech rzek; Mekongu, Bassac i Tonle Sap. Właśnie płyniemy tą ostatnią, by dotrzeć do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów kompleksu świątynnego Udong, dawnej stolicy Kambodży. Z tego okresu pozostała tu Królewska Nekropolia z charakterystycznymi stupami, budowlami w kształcie dzwonów, w których spoczywają prochy khmerskich królów i członków ich rodzin. Udong to jednak nie tylko zabytki, a przede wszystkim żywe centrum buddyzmu. Na jego terenie można spotkać ubranych

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Most bambusowy w Kâmpóng Cham w Kambodży. Do jego budowy zużywa się ok. 50 tys. tyczek bambusowych.

w pomarańczowe szaty mnichów i spowite w biel mniszki. Jedna z nich, 76-letnia kobieta, trafiła tutaj, ponieważ za reżimu Czerwonych Khmerów straciła wszystkich bliskich zdolnych się nią opiekować na starość (w Kambodży na dzieciach spoczywa ciężar utrzymania rodziców i dziadków). W Udong znalazła schronienie i szczęście oraz – jak twierdzi – nadzieję, że kolejne wcielenie będzie lepsze od obecnego. W Kambodży, gdzie klasztorów jest ponad 5 tys., na nauki przyjmuje się chłopców już od wieku 6 lat. Dzięki temu mogą oni poprawić swój los i zdobyć edukację za darmo. Jednym z nich jest 12-letni nowicjusz, z którym udaje nam się porozmawiać w kolejnym kompleksie świątynnym Wat Hanchey. Chłopiec pochodzi z ubogiej wielodzietnej rodziny i wspomina, że w domu musiał się zajmować zwierzętami, przez co nie miał czasu na naukę. Teraz ma ambitne marzenie – w dorosłym życiu chce zostać przewodnikiem i oprowadzać turystów po Kambodży. Nie wszyscy adepci buddyjskich klasztorów pozostają mnichami – część z nich wraca do swoich rodzin, aby pracować dla społeczeństwa. Nagle odgłos dzwonków wzywa mnichów na posiłek, ci, którzy go ominą, będą głodni, ponieważ w klasztorach spożywa się posiłki dwa razy dziennie. To surowa zasada, która ma kształtować charakter – ten, kto nie poradzi sobie z głodem, nie poradzi też sobie z innymi wyzwaniami na tej ścieżce.

MAŁY ANGKOR

W Wat Hanchey cała nasza grupa otrzymuje błogosławieństwo. Siedzimy boso w świątyni, pouczeni przez przewodnika składamy dłonie w geście sampeah i trzykrotnie się kłaniamy. Teraz mnich intonuje starożytne sutry, następnie wodą święconą z kwiatami jaśminu skrapia nasze głowy i wiąże na nadgarstkach czerwone nitki z intencją ochrony i pomyślności. Jaśmin pachnie tak intensywnie, że czuję go jeszcze, gdy pokonuje ok. 300 schodów w dół do mojego statku, mijając pielgrzymów, którzy z kolei odbywają tę drogę w odwrotną stronę z własnymi intencjami. Wieczorem docieramy do Kâmpóng Cham, centrum uprawy kauczuku i miasta słynnego bambusowego mostu budowanego co roku w porze suchej przez mieszkańców, a niszczonego przez monsun. To najdłuższa tego typu konstrukcja świata, ale że poziom wody jest zbyt wysoki, nie mam szans go zobaczyć, pozostaje mi się więc zadowolić fotografiami. Stąd udajemy się do ruin Wat Nokor Bachey, kompleksu świątyń wzniesionego w XI w., za czasów króla Surjawarmana II odpowiedzialnego także za budowę Angkor Wat. Podobieństwo stylów jest uderzające, nie dziwi mnie więc, że nazwano go Małym Angkorem. To przedsmak tego, co mnie czeka już wkrótce. Opuszczamy bowiem statek i przesiadamy się do autobusu, który zawiezie nas do Siem Reap, bramy do Angkoru. I przez cztery kolejne dni zwiedzać będę jedne z najwspanialszych ruin świata. ■

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK, ADOBESTOCK (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Widok z lotu ptaka na wyspę Thulhagiri ukazuje charakterystyczny dla Malediwów układ luksusowych domków na wodzie, otoczonych błękitną laguną i rafą koralową.

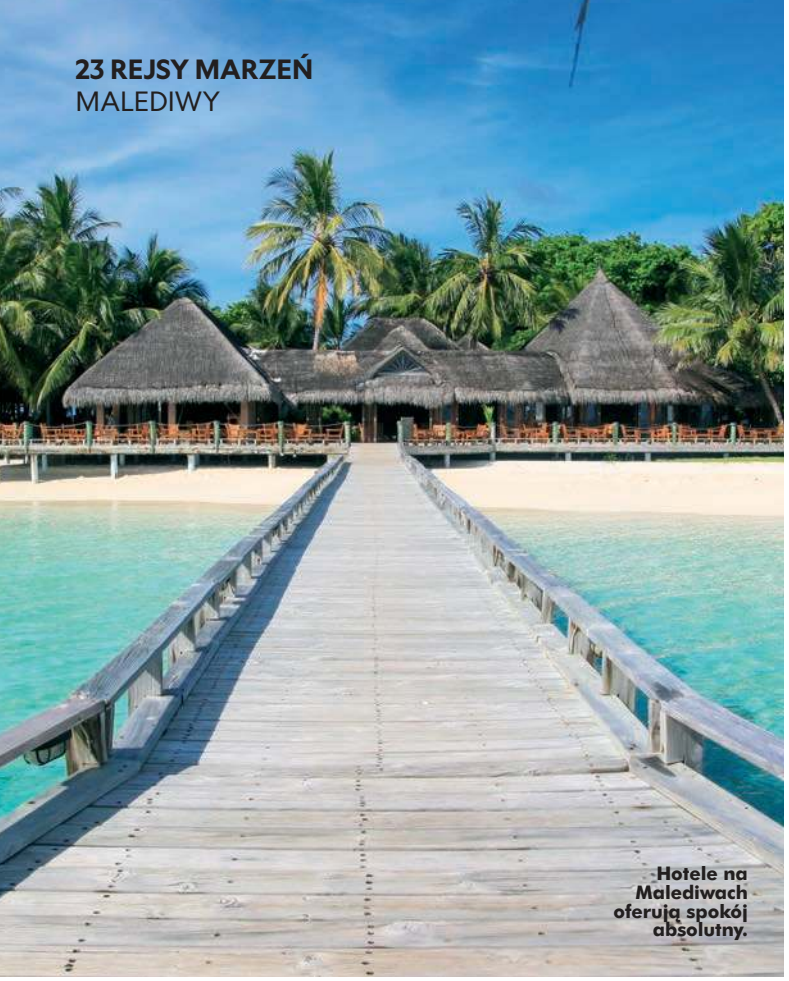


TEKST **PIOTR TRYBALSKI**

NA ŚRODKU OCEANU

MALEDIWY ZACHWYCAJĄ I NAD WODĄ, I POD WODĄ.

23 REJSY MARZEŃ
MALEDIWY



Hotele na Malediwach oferują spokój absolutny.



W wielu ośrodkach goście mogą skorzystać z zabiegów spa.



Lokalny targ w Malé zachwyca feerią barw i zapachów owoców oraz warzyw, które każdego dnia trafiają tu prosto z okolicznych wysp.

Gdy samolot obniżył lot, wszyscy jak jeden mąż, z twarzami wymalowanymi zachwytem, przywarli do okien. Turkusowo-niebieskie okręgi atoli ciągnęły się jeden za drugim. Po kilku minutach zachwyt zmienił się w obawę i nieme pytanie: czy samolot zdoła wylądować na tym skrawku lądu? Wylądował, a chwilę później staliśmy na nabrzeżu i po kolei wsiadaliśmy na promy, białe speedboaty i niewielkie motorówki. Lotnisko leży kilka minut łodzią od Male. Tym razem Manhattan Oceanu Indyjskiego – jak nazywa się 150-tysięczną stolicę Malediwów – zostawiłem za sobą. Biało-niebieska łódź wiozła mnie wprost na macierzystą jednostkę. Gdy już do niej dotarłem, z górnego pokładu łodzi wpatrywałem się w lśniące w zachodzącym słońcu, wyrastające wprost z wody szklane wieżowce stolicy.

NA TRZY SPOSOBY

Z premedytacją wybrałem pływający hotel. W przeciwieństwie do tych na lądzie, ulokowanych na 80 wyspach z ok. 200 zamieszkanych, łodzie dają szansę, by w krótkim czasie poznać spory kawałek kraju. I zanurkować w najlepszych miejscówkach, zmieniając codziennie miejsce cumowania. Poza tym w każdej chwili mogłem zejść z pokładu, urwać się na cały dzień, pospacerować długim molem pomiędzy małymi domkami z dachami pokrytymi palmowymi liśćmi czy za dodatkową opłatą popływać w prywatnej lagunie z przezroczystą wodą. To dwie możliwości wypoczynku. Trzecia, budżetowa, oznacza pobyt na którejś z lokalnych wysp w jednym z backpackerskich hotelików. Pieniądze o wiele mniejsze, a krajobraz, kolor i temperatura wody wciąż tak samo nieprzyzwoicie cudowne. Moja łódź, prócz towarzyszącej nam mniejszej siostry – dhoni, pływającej bazy nurkowej – miała wszystko, co potrzeba: kucharzy ze Sri Lanki, kajuty z ogromnymi oknami i bar. Barman, wywijając szejkerem, zrobił mi powitalnego drinka, tłumacząc, że w tym muzułmańskim kraju łodzie i luksusowe resorty to jedyne miejsca, gdzie nie obowiązuje prohibicja. Do tego pokład spa z bieżnią, siłownią i gabinetami masażu. Podczas kolacji przy stoliku siedziałem z parą z Australii – on, pół Polak, pół Macedończyk. Ona z włoskimi korzeniami. Byli w podróży poślubnej. – W Australii Malediwy mają renomę raju na ziemi – zwierzał się Alex. Rozmawiając, zajadaliśmy sushi, które prócz czterech innych potraw wypełniało kartę dań tego wieczoru.

PODWODNE WIDOWISKO

Podczas porannej odprawy nurków dziewczyna z Jamajki pokazywała mapę, tłumacząc, że Malediwy buduje podwójny łańcuch 26 atoli koralowych, na które składa się prawie 1200 wysp, i w ogóle sama nazwa atol wywodzi się z lokalnego języka divehi. Kraj ma przy tym niespełna 300 km² lądów zasiedlonych przez 393 tys. osób. Po nurkowaniu w Egipcie, bajecznych rafach koralowych i obłędnych wrakach miałem przekonanie, że Malediwy nurkowo mnie nie zaskoczą. Do czasu, gdy Jamajka zapowiedziała „dzień mant", a na białej tablicy przy zejściu do łodzi pojawił się dopisek Moofushi Rock. Z mocno bijącym sercem zszedłem pod wodę i po krawędzi rafy zanurkowałem na jakieś 20 m, by po chwili zawisnąć tuż nad ogromnymi koralowymi głazami. W grupie czekaliśmy, aż coś się wydarzy. Zdążyły się pojawić dwie ogromne ławice żółtych snapperów (znanych też jako lucjan żółty), gdy nagle wielki cień powoli przesunął się nad nami. A za nim kolejny. Manty nadpłynęły

Moja ciekawość przezwyciężyła strach. Pierwsze spotkanie z rekinem wielorybim pamięta się do końca życia.



Śniadanie serwowane w basenie? Takie atrakcje czekają na wynajmujących luksusowe wille na Malediwach.

niespodziewanie. Wachlując szerokimi płetwami, z rozczapierzonymi pyskami filtrowały wodę w poszukiwaniu planktonu. Nic sobie nie robiły z naszego towarzystwa. Nadpływały bardzo blisko, prawie nas muskając, by nagle zmienić kierunek. I tak w kółko. Mimo że niegroźne, rozpiętością płetw sięgającą nawet 5 m budziły obawę. Oglądałem je urzeczony. Potem zaproszono nas na poprawiny: tym razem nurkowaliśmy tylko z ABC – maską, rurką i płetwami – w niewielkiej lagunie. Znów pojawiły się manty i oddawały się zabiegom spa, które fundowały im niewielkie rybki – symbiotyczni opiekunowie oczyszczający skórę. Obserwowaliśmy je z góry, podziwiając

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Kolorowe sklepiki przy głównej ulicy handlowej na wyspie Maafushi.

gracją i monstrualne kształty mant. Kilka dni później w okolicach morskiego obszaru chronionego na południowym atolu Ari na łodzi wybuchło zamieszanie. Simbe, podobny jak dwie krople wody do filmowego Jacka Sparrowa, z długimi dredami i mnóstwem bransoletek na nadgarstkach, na co dzień spokojny nurek, nie ukrywał podniecenia. – Są, są! – krzyczał – są rekiny wielorybie! Na dodatek całkiem niedaleko łódki. Wielkie, długie na 10 m, z nieco płaskimi głowami i zwężającymi się tułowiami. Nakrapiane białymi plamkami. Pływały kilka metrów pod lustrem spokojnego morza, a my nad nimi. Moja ciekawość przezwyciężyła strach. Podpływałem tak blisko, jak się dało, próbując nasycić wzrok. Pierwszy raz z rekinem wielorybim pamięta się do końca życia. Podobnie jak z wąsatymi rekinami pielęgniarzami, z którymi nurkowałem nocą na Alimatha House Reef w atolu Vaavu. Przy świetle latarek klęczeliśmy na piaszczystym dnie, a olbrzymy śmigały pomiędzy nami. Malediwy, mimo że uznawane są za najbardziej luksusowe miejsce plażowego wypoczynku i topowe nurkowisko z białym piaskiem i krajobrazami zgodnymi z tym, co pokazuje się w folderach biur podróży – nie mają szczęścia. W latach 60. XX w. pojawili się tu eksperci z Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju. Przygotowali raport i nie dali wyspom szans. Brak prądu, sieć transportowa oparta na ślamazarnych łodziach dhoni, ogromne rozproszenie wysp i brak infrastruktury – w tym elektryczności – nie pozostawiały złudzeń: turystyka tutaj się nie uda.

ZNIKAJĄCE WYSPY

Jednak od tamtego czasu minęło ponad 50 lat. A kraj zmieniał się od stworzonej rękami i finansami zapaleńców z Włoch hipisowskiej miejscówki, w której wszystko było wolno, do morskiego raju, gdzie każda, nawet najmniejsza inwestycja wymaga całego korowodu starań i pozwoleń. A inwestuje się z rozmachem – od luksusowych nadmorskich hoteli po podwodne restauracje i hotele. I niby wszystko jest cudownie, bo w końcu kraj co roku odwiedza ponad milion turystów. Ale perspektywy są raczej katastroficzne. Zmiany klimatu i co za tym idzie, wyższy o 50–60 cm poziom wszechoceanu mogą sprawić, że wyspy, których najwyższe „wzniesienie" ma ok. 2,5 m, znikną zalane. Rząd próbuje ratować sytuację. Niektóre wyspy są podsypywane, rozważane jest także przeniesienie mieszkańców w inne miejsce, np. do Australii czy na Sri Lankę lub do Indii. To, co może zostać z Malediwów, zobaczyłem, gdy po kilkunastu godzinach ulewy nasza łódź przybiła do zamieszkanej wyspy Maafushi. Z daleka witały nas wysokie pochylone palmy i wielka plaża. Widok był bajkowy. Na miejscu okazało się, że woda na lądzie miejscami sięga kolan i na dodatek nie ma gdzie spłynąć. Blisko tysiąc wysp na Malediwach jest niezamieszkanych. Na wielu z nich można swobodnie piknikować, a słynna Sexy Beach – niewielka łacha bieluśkiego piasku – jest ulubionym miejscem fotograficznych plenerów nowożeńców. Na koniec wyjazdu, po południu, wylądowaliśmy na jednej z nich. Motorówka przywiozła nam parasole, maty do leżenia, lodówki z jedzeniem, wodą i piwem, deski do pływania i akcesoria do snorklingu. Wyspa była niewielka. Na jednym końcu gniazdowały rybitwy wielkodziobe, wydzierając się wniebogłosy na każdego, kto chciał się zbliżyć. W środku wyrastało kilka plam, a na drugim końcu wyspa tworzyła niewielką kosę piasku i naturalny basen z krystaliczną ciepłą wodą. O zachodzie słońca rozpoczęła się kolacja na plaży i pożegnanie z turkusowym rajem. ■

> Łódź, prócz pływającej bazy nurkowej, miała wszystko, co potrzeba: kucharzy ze Sri Lanki, kajuty z ogromnymi oknami i bar.

GETTY IMAGES, ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Malé, stolica Malediwów, niemal w całości wypełnia powierzchnię wyspy o tej samej nazwie.



Spotkanie z rekinem wąsatym oraz ławicami kolorowych ryb to jedno z najbardziej ekscytujących doświadczeń podczas nurkowania.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

TAJEMNICE NILU

CZTERY DNI NA POKŁADZIE WYCIECZKOWCA POZWOLIŁO MI ZOBACZYĆ CAŁKIEM INNY EGIPT.



Położony w pobliżu pierwszej katarakty (progu rzecznego) Nilu Asuan uważany jest za południową bramę do Egiptu.



Kobieta w tradycyjnym stroju serwuje aromatyczną herbatę w jednej z nubijskich osad.





Domy w Asuanie wyróżniają się geometrycznymi zdobieniami i grubymi murami chroniącymi przed upałem.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Pokład widokowy statku wycieczkowego płynącego w stronę Kom Ombo pozwala podróżnym podziwiać zmieniający się krajobraz.

Wybrałem się na czterodniowy rejs drewnianym statkiem napędzanym przez trójkątne żagle zawieszone na dwóch masztach.



Klasyczny zestaw meze, składający się z kremowego humusu, chrupiących falafeli i świeżo upieczonej pity, to kwintesencja smaków znad Nilu.

Opierając się o szezlong, patrzę na ptaki. Czaple purpurowe z długimi, zdobnymi w pasy szyjami brodzą po płyciznach Nilu. Biało-czarne rybaczki srokate, o sylwetkach podobnych do naszych zimorodków, wypatrują z gałęzi zdobyczy. Ibisy o długich, wygiętych w łuk dziobach tuptają w trawie. Próbuję spojrzeć na nie okiem starożytnych Egipcjan. Sprowadzić ich sylwetki do hieroglifów – kaczki, ibisy, sokoły, sępy, sowy i wiele innych gatunków przez setki lat wykuwane były w kamieniach lub rysowane na papirusowych kartach. Wraz z setkami innych graficznych wzorów tworzyły język, dzięki któremu faraonowie i ich świta sprawowali kontrolę nad ludem, prowadzili księgowe zapisy i tworzyli plany, budując jedną z najbardziej ikonicznych cywilizacji świata. Sposób zapisu tego języka brał się z obserwacji otoczenia. Nad brzegiem Nilu ibisy przechadzały się już tysiące lat temu.

PŁYWAJĄCE ZŁOTO

By je zobaczyć, ale też poznać jedną z najważniejszych rzek starożytnego świata, wybrałem się na czterodniowy rejs drewnianym statkiem napędzanym przed trójkątne żagle zawieszone na dwóch solidnych masztach na dziobie i rufie. Nieco uogólniając, są dwie opcje rejsów turystycznych po Nilu: możesz wsiąść na kilkupiętrowy statek przypominający pływający blok mieszkalny (lub hotel), który zabiera na pokład kilkaset osób, lub zdecydować się na tradycyjne żaglowce dahabija. Ich nazwa pochodzi od arabskiego określenia na „złoto" odnoszącego się do królewskiego pochodzenia tego typu łodzi. Dziś przewożą one nie faraonów, lecz turystów, ich podstawowy projekt niewiele się jednak zmienił od tysiącleci. Dahabija to wybór droższy, ale zapewniający kameralność – mój statek może zabrać 12 osób, dla których przygotowano sześć podwójnych kajut z prywatnymi łazienkami. Mniejsze rozmiary i większa zwrotność żaglowca gwarantują nam swobodę w planowaniu rejsu. Płyniemy co prawda na tym samym odcinku co duże statki – startując w Esnie i kończąc w Asuanie (można też podążać w przeciwnym kierunku) – jednak nasza załoga bez trudu może skierować łódź do małych przystani, zacumować w zaułkach rzeki lub zaimprowizować pikniki na nabrzeżu. Wi-fi okazuje się iluzoryczne, zasięg telefonu sukcesywnie zanika, a o telewizorze na pokładzie na szczęście nikt nie pomyślał. Szybko się więc okazuje, że czas rejsu najlepiej spędzić, czytając, popijając herbatę, testując kolejne posiłki i przede wszystkim obserwując otoczenie. Gigantyczne trzciny, szerokie korony

ADOBESTOCK(3),GETTY IMAGES ; POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d

papirusów, sterczące w niebo palmy. Za nimi rozległe pola arbuzów i melonów, wreszcie osiołki stąpające po zakurzonych drogach. Co jakiś czas wpływamy w plamy unoszącego się nad wodą dźwięku – śpiewnych wezwań do modlitwy dochodzących z minaretów w wioskach pełnych niskich domów. Nawet posiłki, oznajmiane przez członka załogi miedzianym dzwonkiem, serwowane są na pokładzie. Przegryzając jagnięcinę, kaczkę, okonia nilowego czy gulasz pełen warzyw, możemy więc nadal patrzeć na to, co się dzieje za burtami żaglówki.

BÓG KROKODYL

– Czas wyjść na ląd – Mahmoud, jeden z członków załogi, przerywa moje ornitologiczne kontemplacje. Statek zmienia kurs, żagle opadają z masztów, furkocząc, i dobijamy do nabrzeża niedaleko miasteczka Kom Ombo. Stoi tu starożytna świątynia Ptolemeuszów, która okazuje się dziś niemal opustoszała. Większość zabytków w Egipcie przyciąga tłumy, tę samotność przyjmuję więc jako kolejny podarunek losu. Mahmoud omiata skały laserowym wskaźnikiem, ujawniając podstawowe informacje historyczne, i po chwili zostawia nas, byśmy mogli pokręcić się po okolicy. Dla dwóch triad bóstw wzniesiono



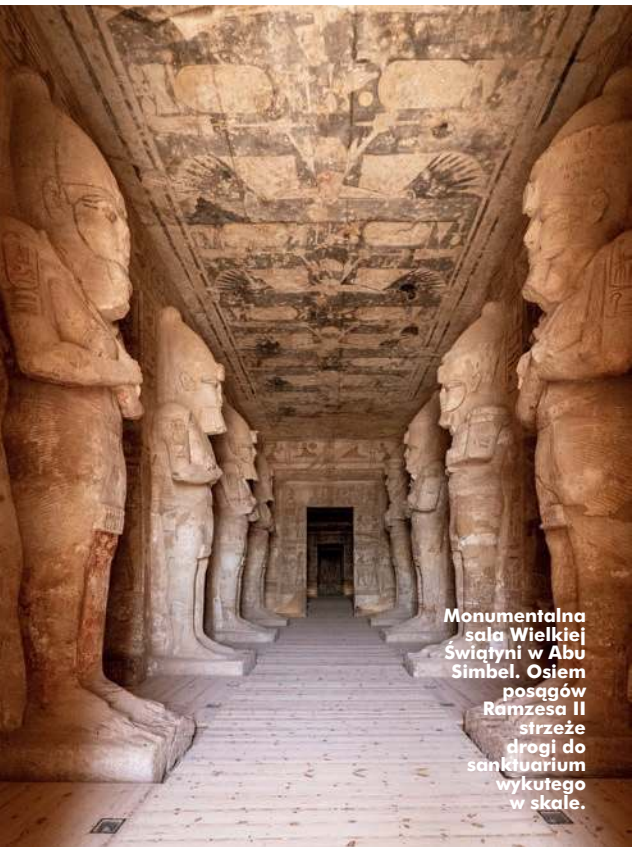
W Luksorze lokalni artyści od pokoleń ręcznie wyrabiają pamiątki z alabastru i marmuru.

GETTY IMAGES, ADOBESTOCK





Wielka Świątynia Ramzesa II w Abu Simbel, wykuta w skale nad brzegiem Jeziora Nasera, jest jednym z najbardziej imponujących przykładów inżynierii XIII w. p.n.e.



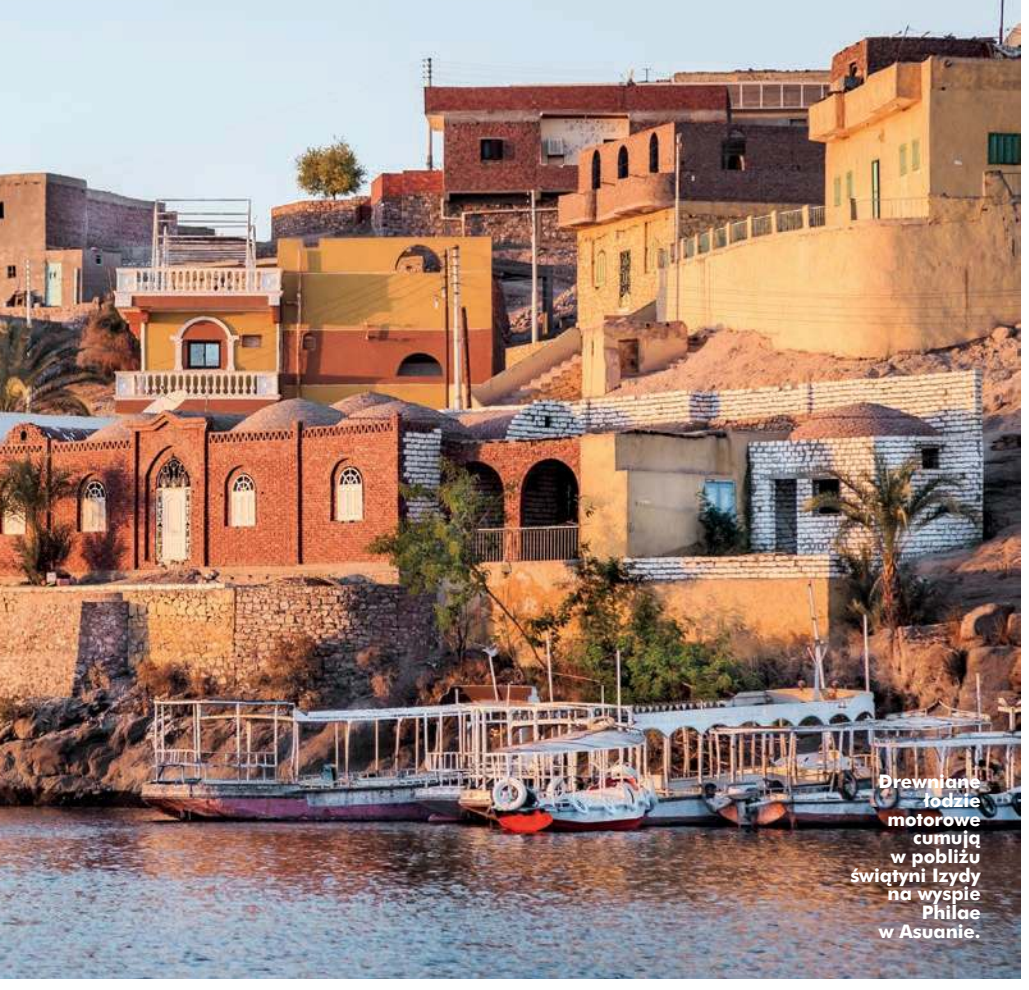
Monumentalna sala Wielkiej Świątyni w Abu Simbel. Osiem posągów Ramzesa II strzeże drogi do sankiuarium wykutego w skale.





Tradycyjna piekarnia na gwarnym targu w Asuanie oferuje świeży chleb eish baladi, który obok słodkich wypieków stanowi podstawę diety mieszkańców Nubii i Górnego Egiptu.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Drewniane łodzie motorowe cumują w pobliżu świątyni Izydy na wyspie Philae w Asuanie.

ADOBESTOCK, GETTY IMAGES(3)

tu osobne pomieszczenia, z licznymi drzwiami prowadzącymi do środka. Wchodzę do ciężkiego, masywnego budynku i zatrzymuję się przy ścianie zalanej rzeką hieroglifów przedstawiających ludzkie postacie z krokodylą głową – Kom Ombo to jedyna znana egipska świątynia, w której czczono boga krokodyla Sobka. Kult był ponoć sposobem na wkupienie się w łaski tych pływających w Nilu gadów, śmiertelnego zagrożenia dla ówczesnych żeglarzy czy rolników. Nie mam pojęcia, na ile okazał się skuteczny, w niewielkim muzeum na zewnątrz świątyni odnajduję jednak ponad 40 zmumifikowanych krokodyli. Najwyraźniej zadbano o ich życie pozagrobowe, które wedle ówczesnych wierzeń możliwe było tylko przy zachowaniu fizycznego ciała.

KAMIENI POD DOSTATKIEM

Zejścia na ląd pozwalają nam swobodnie przesuwać się w czasie. Na statku jesteśmy zanurzeni w teraźniejszości – zwiedzając zabytki, cofamy się o tysiące lat. Liczba mijanych świątyń, grobowców i pozostałości miast pokazuje, jak ważny dla funkcjonowania Egiptu był Nil. Budynki stawiano w pobliżu rzeki, gdyż spływały nią wszystkie potrzebne do życia artykuły. Wodą transportowano też bloki skalne potrzebne do wznoszenia coraz większych budowli. Przekonuję się o tym przedostatniego wieczoru, gdy cumujemy w zwężeniu rzeki. Schodzimy po trapie do pozostałości świątyni Gebel el-Silsila poświęconej faraonom: Horemhebowi, Setiemu I, Ramzesowi II i Merenptahowi. Oprócz miejsca kultu znajdował się tu także jeden z większych w kraju kamieniołomów. Z piaskowca wycinano bloki potrzebne do postawienia m.in.: słynnych budowli w Luksorze. W wieczornym świetle przechadzam się po wykutych w skale

Gigantyczne trzciny, szerokie korony papirusów, sterczące w niebo palmy. Za nimi rozległe pola arbuzów i melonów.



Zmumifikowane gady wystawione w Muzeum Krokodyli w Kom Ombo są świadectwem dawnego kultu boga Sobka, którego starożytni Egipcjanie czcili jako władcę wód Nilu.

korytarzach, mając nad sobą wysokie ściany, zaglądam do podziemnych galerii i wpatruję się w hałdy odpadów z kamieniołomu. Dłuta trzymane tysiące lat temu przez robotników zostawiły na skalnych ścianach sieć linii. Na przestrzeni stuleci zmieniały się technologia wydobycia oraz dostępne narzędzia, a każda modyfikacja umożliwiała pracownikom inny sposób pracy. Przy odrobinie uwagi da się odczytać te zmiany po głębokości i szerokości zagłębień zostawionych przez dłuta. Gdzieniegdzie można też znaleźć napisy i graffiti, a archeolodzy co jakiś czas wydobywają kolejne artefakty – kilka lat temu spod piachu wychynął niedokończony kriosfinks (lew z głową barana) mający ponad 3 tys. lat i 3,5 m wysokości. Rzeźba

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Partia domina na ulicy w Luksorze. To popularna gra towarzyska w egipskich miastach.

powstawała za panowania Amenhotepa III. Jego śmierć najwyraźniej skłoniła kamieniarzy do porzucenia pracy, a niedokończona figura pozostała na zawsze w kamieniołomie.

DOM NUBIJCZYKÓW

Ostatniego dnia dopływamy do Asuanu, miasta, którego gwar po kilku dniach spędzonych na pokładzie brzmi dla mnie niczym kakofonia dźwięków dudniących w głowie. Portowe miasto to dom Nubijczyków pochodzących od plemion Kenzi i Faadicha, na ulicach ponadpółmilionowej metropolii można więc usłyszeć dialekt niosący w sobie elementy staroegipskie i suahili. Asuan znany jest jednak przede wszystkim z Wysokiej Tamy, która grodzi w tym miejscu Nil. Jej postawienie bezpowrotnie zmieniło krajobraz Egiptu. Budowa zakończyła się w 1971 r., kosztowała astronomiczną kwotę 1,2 mld dol. i wymagała pracy ponad 24 tys. robotników. Betonowy gigant – 120 m wysokości, 3600 m długości – pozwolił krajowi zyskać potężne źródło energii oraz ponad tysiąc hektarów pól uprawnych. Stworzone przez spiętrzenie Jezioro Nasera miało jednak zalać sporą część terenów, na których stały starożytne świątynie i grobowce. Zanim skończono napełnianie zbiornika, podjęto więc bezprecedensową akcję ratowania zabytków – część z nich postanowiono rozebrać i zrekonstruować w miejscach zabezpieczonych przed wodą. Największym wyzwaniem okazało się przeniesienie świątyń wybudowanych przez Ramzesa II w Abu Simbel. Leżą one ok. 230 km na południe od Asuanu i choć można się tam dostać statkiem, z braku czasu wybieram transport drogą lądową.

KAMIENNI BOGOWIE

Główna świątynia w Abu Simbel została wykuta w litej skale, a u jej wejścia ustawiono cztery kamienne postacie poświęcone bogom: Amonowi, Horusowi, Ptahowi i samemu Ramzesowi. Mają po 20 m wysokości, a same ich twarze liczą w przekroju poziomym ponad 4 m. W 1968 r. kamienny zabytek został pocięty na ogromne bloki i przeniesiony w nowe miejsce, znajdujące się 60 m wyżej od pierwotnego położenia świątyni. Konstrukcję pieczołowicie złożono na sztucznie usypanym i podpartym filarami wzgórzu. Udało się nawet zachować takie samo ustawienie budynku względem słońca, aby – jak chcieli starożytni – w dwa dni w roku światło padało na płaskorzeźby wewnątrz. Jadąc na miejsce, zastanawiam się, czy zmiana lokalizacji nie uczyniła z tego miejsca jedynie teatralnego rekwizytu – kamienne bloki przestały przecież być czystym śladem przeszłości, to nie starożytni je ostatecznie postawili, lecz współcześni specjaliści. Jednak gdy staję przed kamiennymi kolosami, przestaje to mieć znaczenie. Kunszt architektoniczny i artystyczny twórców tych dzieł rozwiewa wszelkie wątpliwości – Abu Simbel wciąż pozostaje wrotami do świata starożytnego Egiptu. Ruszam więc przed siebie, by je przekroczyć. ■

Główna świątynia w Abu Simbel została wykuta w litej skale. U jej wejścia ustawiono cztery kamienne postacie poświęcone bogom.

GETTY IMAGES (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Gigantyczne, bogato zdobione kolumny hypostylu (wielkiej sali) w świątyni Chnuma w Esnie.

eprasa.pl/3fc2bCard



TEKST **MONIKA WITKOWSKA**

FIORDY, TROLLE I WIATR

LOFOTY NAJPIĘKNIEJSZE SĄ OD STRONY MORZA, NAJLEPIEJ Z POKŁADU JACHTU. ODBIJAJĄCE SIĘ W WODZIE KOLOROWE DOMY Z GÓRAMI W TLE TO GOTOWE KADRY NA POCZTÓWKI.

eprasa.pl f3fe2b0a1d



Archipelag Lofotów w norweskim regionie Nordland – krajobraz fiordów i gór wyrastających prosto z Morza Norweskiego należy do najbardziej spektakularnych w Arktyce.

23 REJSY MARZEŃ
NORWEGIA



Bielik zwyczajny polujący w wodach Trollfjordu to jeden z najbardziej ikonicznych symboli dzikiej przyrody archipelagu Lofotów.





Rejs w głąb wąskiego Trollfjordu to spotkanie z surową naturą Północy, gdzie pionowe ściany gór zamykają horyzont nad spokojną taflą wody.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Tarasy nad wodą w Henningsvær to miejsce, gdzie między łodziami i magazynami rybnymi toczy się towarzyskie życie archipelagu.

Żeglowanie jachtem to najlepszy pomysł na poznawanie Lofotów. Odpada problem przemieszczania się, no i dach nad głową też jest zapewniony. Co roku kilka jachtów pod polską banderą w północnej Norwegii pływa, a ponieważ większość rejsów ma charakter komercyjny, zgłosić się na nie może praktycznie każdy, bez względu na żeglarskie doświadczenie. Plusem jest też i to, że odcinki do pokonania pomiędzy portami są tak naprawdę niedługie, tak więc w razie złej pogody mamy gdzie ją przeczekać. A po kilku godzinach na wodzie znajdzie się i czas na wycieczki lądowe.

SMAK SZTOKFISZA

Nasz jednomasztowy Duch Wiatru nie jest duży – ma 11,5 m, co w ciasnych, zastawionych łodziami portach szybko doceniamy. Edyta, która jest skiperką, na wymianie załogi w Tromsø nie zamierza tracić czasu: – Robimy zakupy, tankujemy paliwo, wodę i wypływamy. Do Lofotów mamy jakieś dwa dni drogi – informuje. Kilka godzin później oddajemy cumy i klucząc labiryntem fiordów, z każdą zostawioną za rufą milą zbliżamy się do wymarzonego celu. – Pogoda to prawdziwa ruletka! Trafisz na dobrą, to się w Lofotach zakochasz, jeśli na złą – pomysł wakacji tutaj zapewne będziesz jeszcze długo przeklinał – śmieje się sprzedawczyni ze sklepiku, w którym kupuję pamiątkowy magnes. Mamy szczęście – przez większość rejsu świeci słońce, a mimo że Lofoty położone są już ponad 250 km nad kołem podbiegunowym, temperatury, na jakie trafiamy (jest końcówka lipca), bardziej przypominają tropiki niż Arktykę. W rezultacie nie dość, że opalamy się na pokładzie, to jeszcze zaliczamy morskie kąpiele! Wody wokół archipelagu, ze względu na Prąd Zatokowy zwany Golfsztromem, z założenia są w miarę ciepłe, przez co nawet zimą nie zamarzają. Ma to duże znaczenie dla hodowli łososi – to jeden z najważniejszych lokalnych biznesów; charakterystyczne konstrukcje rybnych farm stanowią częsty element krajobrazu przy brzegach wielu wysp. Jednak symbolem Lofotów są zupełnie inne ryby, a mianowicie dorsze, zimą i wczesną wiosną wielkimi ławicami przypływające z Morza Barentsa na tarło. Przez wieki nauczono się, aby nic z tych ryb się nie marnowało – jedzono ich mięso, głowy przerabiano na paszę dla zwierząt, a olej z wątroby – na tran. Ten ostatni teraz kojarzony jest z suplementem diety, ale były czasy, że wykorzystywano go także jako olej do lamp. Dumą Lofotów były i są suszone dorsze zwane sztokfiszami. O ich masowej produkcji świadczą stojące na brzegach drewniane rusztowania zwane stock (stąd nazwa „sztokfisz", od angielskiego stockfish). Ryby suszy się wiosną – za jakość naturalnego procesu odpowiadają wiatr i unosząca się w powietrzu rozpylona sól morska. Większość z nich wysyłana jest potem na eksport – głównym odbiorcą są Włochy, ale także USA, Chorwacja czy Szwajcaria. Skoro to taki rarytas, próbuję i ja... No cóż, jestem daleka od zachwytu. Wolę grillowaną wersję czarniaka (gatunek dorsza), którego podczas postoju na kotwicy złowiły nasze załogantki.

Hestøya według starożytnych wierzeń była miejscem stajni, w której Thor, bóg burzy i piorunów, trzymał swoje konie.



Fishburger z łososiem i krewetkami pokazuje, że na Lofotach nawet street food opiera się na tym, co tego samego dnia wyłowiono z arktycznych wód.

STAJNIA THORA

Rozrzucony na Morzu Norweskim na przestrzeni 112 km archipelag Lofotów tworzy sześć albo siedem (zależy, na jakim źródle się opieramy) głównych wysp i mnóstwo małych. Największą z nich, mającą 40 km długości, jest Austvågøya, na której ulokowało się mające status stolicy miasto Svolvaer. Na główkach portu wita nas Żona Rybaka – pomnik zawiniętej w chustę kobiety z ręką uniesioną w symbolicznym geście pozdrowienia. Pobyt w zabudowanej

SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES (2) : POPRZEDNIE STRONY: GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



dość nowocześnie, liczącej 5 tys. mieszkańców „metropolii" wykorzystujemy na wypad do znajdującego się w Borg, miejscu wykopalisk archeologicznych, Muzeum Wikingów. Jego chlubą jest rekonstrukcja liczącego 83 m, najdłuższego z dotychczas odkrytych domostw, należących tysiąc lat temu do miejscowego wodza. Warto wiedzieć, że wiele nazw spotykanych na Lofotach wywodzi się jeszcze z czasów wikińskich. Na przykład Hestøya to po polsku „Wyspa Konia". Według starożytnych wierzeń było to miejsce stajni, w której czczony przez wikingów Thor, bóg burzy i piorunów, trzymał swoje konie.

Odgłos rozbijających się o skały fal to według legend tętent galopującego rumaka należącego do budzącego respekt bóstwa. Przy okazji pora wyjaśnić, skąd się wzięła nazwa Lofoty? Tu znowu „winni" są wikingowie. Jedną z wysp, której kształt przypominał im ślad wielkiego kota, nazwali „Łapą Rysia", co w języku staronordyckim brzmiało: Lófót (*ló* to „ryś", *fótr* – „stopa"). Potem nazwa przeszła już na cały archipelag, a wspomniana „łapa" na obecnych mapach figuruje jako Vestvågøya, czyli „Zachodnia Wyspa".

WYSPIARSKI FUTBOL

Kolejny postój robimy w Henningsvær. Cumujemy na końcu urokliwego kanału otoczonego zadbanymi kolorowymi domkami, z których większość stanowią sklepy, galerie albo knajpki. W niektórych opisach spotykam się z określeniem, że to Wenecja Lofotów. I trochę racji w tym jest, bo miejscowość zajmuje kilka połączonych mostami wysepek. Na jednej z nich pomiędzy skały i morski brzeg wpasowano boisko do piłki nożnej. Świat dowiedział się o nim za sprawą spotu reklamowego nakręconego dla UEFA (Europejskiej Unii Piłkarskiej). Od tej pory jest to kolejna atrakcja turystyczna archipelagu. No bo kto nie chciałby zobaczyć jednego z najpiękniej położonych boisk na naszej planecie?

GETTY IMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Widok z góry Mannen na plażę Haukland pokazuje Lofoty w pigułce – turkusową zatokę, zielone łąki i postrzępione granitowe szczyty.

Henningsvær to także dobra baza wypadowa w góry, a konkretnie na położony tuż za miasteczkiem szczyt Festvågtind (541 m n.p.m.). Jego wysokość może specjalnie nie imponuje, ale trzeba pamiętać, że wejście odbywa się z poziomu morza. Ja po pewnym czasie czuję, że jestem mocno zasapana. Idziemy w największym upale, a ścieżka jest naprawdę stroma i momentami mocno eksponowana. Widok z góry wart jest wysiłku – trawiaste wysepki odcinają się kolorem od błękitu wody, tworząc pobudzające wyobraźnię wzory. – Jak dla mnie to drzewo – patrząc w dół, stwierdza jakiś chłopak. – A dla mnie przełamane serce – jego koleżanka ma ewidentnie romantyczne podejście do tematu. Ja tymczasem... Cieszę się chwilą i nie dziwię się opiniom, że Lofoty to jedno z najbardziej fotogenicznych na Ziemi miejsc.

TROLLE CZY SYRENY?

Do moich ulubionych miejsc odwiedzonych na Lofotach zaliczam Trollfjorden, czyli „Fiord Trolli". Wpływamy do niego około drugiej w nocy, co przy letnich, białych nocach o tej porze oznacza poświatę zachodu słońca, który szybko staje się wschodem. Plusem tej pory dnia jest i to, że nie ma licznych w ciągu dnia łodzi z turystami – wcinającą się w góry zatokę mamy wyłącznie dla siebie, możemy upajać się ciszą i zachwycać harmonią natury. Fiord ma prawie 2 km długości, ale zwęża się do zaledwie 100 m. Nam, na małym jachcie, nie brakuje miejsca do manewrów, za to pływające wycieczkowce niemal ocierają się burtami o skały. Żartujemy, że trzeba uważać, aby nie wskoczyły na pokład trolle – znane z norweskich legend, słynące z długich nosów i wielkich uszu stwory, które wobec ludzi potrafią być złośliwe. Porą aktywności mieszkających jakoby w jaskiniach trolli mają być noce – jeśli któreś z nich nie zdążą ukryć się przed wschodzącym słońcem, zamieniają się w kamienie. Uśmiecham się, bo może to właśnie tłumaczy, skąd w Norwegii,

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
NORWEGIA



Czerwone drewniane domki rybackie w Hamnøy, wzniesione na palach nad wodą u stóp Festhæltinden, tworzą jeden z najbardziej ikonicznych pejzaży.



W restauracji na wyspie Sakrisøy rzędy suszonych dorszy wiszą pod sufitem niczym żyrandole, przypominając, że to rybołówstwo od wieków kształtuje życie na Lofotach.

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK

również na Lofotach, tyle samotnych głazów. Swoją drogą ciekawe, jak jest z aktywnością trolli latem, w czasie gdy słońce świeci przez całą dobę? Trolle to jednak istoty lądowe, a my jako żeglarze bardziej narażeni jesteśmy na wszelkiego rodzaju kreatury morskie, których w wierzeniach mieszkańców Lofotów również nie brakuje. Najbardziej obawiano się draugenów – bezgłowych duchów marynarzy, którzy na morzu stracili życie, a pojawiając się w łodziach i wrakach, byli zwiastunami śmierci na morzu. Dla odmiany sympatią darzono syreny, które miały rybakom pomagać i ostrzegać przed niebezpieczeństwami.

STOPEM DO Å

Żeglowanie na Lofotach pozornie wydaje się proste, bo główny szlak żeglowny jest dobrze oznaczony, ale w rzeczywistości czyha tu całkiem sporo pułapek, takich jak pływy, prądy morskie, kamienne mielizny, zmienne, często bardzo silne wiatry czy wiry. Z tych ostatnich słyną okolice wysepek Moskenesøya oraz Værøy, gdzie od niepamiętnych czasów postrachem ludzi morza był Maelstrom. Według opowieści wir był tak silny, że wciągał zarówno statki, jak i wieloryby, a szczególny rozgłos zyskał po tym, jak w swojej książce *Dwadzieścia lat podmorskiej żeglugi* opisał go Juliusz Verne. Teraz dawne historie traktuje się z przymrużeniem oka, ale... większość żeglarzy wspomniane miejsce na wszelki wypadek omija. Ja akurat korekty trasy żałuję. Choć może mniej mi chodzi o wiry. Bardziej o to, że to jeden z najlepszych w świecie punktów do obserwacji maskonurów. Do portu w Reine wchodzą już chyba wszystkie jachty. Internetowe opinie o tym, że to najpiękniejsza wioska świata, uznaję za mocno przesadzone (ach, ten marketing), ale zgadzam się – ładnie tu jest. Liczne tu rorbu, jak nazywa się tradycyjne, przeważnie czerwone domki budowane na palach, to klasyka Lofotów. I te skaliste, wyrastające wprost z morza góry w tle – takie panoramy nigdy mi się nie znudzą. Również i z tego portu idę na górski spacer – tym razem celem jest Reinebringen (484 m n.p.m.). Moją uwagę zwraca poprowadzona w dużej mierze mostami droga, słynna E10 przecinająca wszystkie ważniejsze wyspy. Robię sobie zresztą autostopowy wypad do samego jej końca, którym jest wioska o jakże oryginalnej, bo jednoliterowej nazwie Å (czytaj: „o"). Dociekam, czy to coś znaczy, ale nie – to po prostu ostatnia z 29 liter norweskiego alfabetu, co na koniec drogi pasuje idealnie. Do zdjęcia z osobliwą tabliczką na wjeździe czeka kolejka chętnych. Na szczęście szybko się przekonuję, że powodów, aby tu dotrzeć, jest więcej – na przykład bardzo ciekawy skansen przedstawiający życie na Lofotach przed wiekami. A jak się tu mieszka obecnie? W tej kwestii odpowiada mi kierowca, który podwozi mnie na jacht w drodze powrotnej. – Połowy dorszy? Proszę pani, to już passé. Teraz żyjemy z turystyki! ■

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
SZWECJA, DANIA



XVII-wieczna portowa dzielnica Nyhavn w centrum Kopenhagi słynie z kolorowych kamienic i tętniących życiem barów. W kanale cumują zabytkowe statki.



TEKST **IZA KLEMENTOWSKA**

SPOTKANIE Z SYRENKĄ

PŁYNĄC DO KOPENHAGI, NIE SPODZIEWAŁAM SIĘ WIELKICH EMOCJI. MYLIŁAM SIĘ. NATURA POTRAFI ZAFUNDOWAĆ NAJLEPSZY SPEKTAKL.

Wchodząc na pokład promu Świnoujście––Kopenhaga via Ystad bezwiednie szukałam szalup. „To nie Titanic", myślałam, ale i tak wolałam się upewnić, że łodzi ratunkowych wystarczy, by zmieścić wszystkich pasażerów. Wyjściu z portu towarzyszyło głośne buczenie pokładowej syreny, jakby załoga informowała morze, że nadchodzimy.

ARKA NOEGO

– *Kaptan informira* – usłyszałam nagle komunikat, który rozległ się nad dźwiękiem uderzających o talerze sztućców i brzękiem kieliszków w promowej restauracji. Rozejrzałam się po współpasażerach i dostrzegłam niewyraźne miny. Co oznaczały, jeszcze nie wiedziałam. Nawet gdy zabrzmiał komunikat po polsku. Głos spikera coś przerywało, jak światło stroboskopowe na dyskotece, i do uszu dobiegały tylko urywki słów. Po godzinie wiedziałam już, co oznaczał komunikat. Prom nie sunął – jak wcześniej – po gładkim morzu, jak przypuszczałam, wpadając na pomysł tej podróży, lecz powoli zaczynał tańczyć niczym ruchoma i huśtająca się na wszystkie strony boja. Wyruszając ze Świnoujścia, płynęliśmy jak po rozciągniętej, śliskiej tkaninie i jedyne, z czym wtedy skojarzył mi się widok morza, to jedwab obszyty piankową koronką. Latarnia morska w Świnoujściu już dawno zniknęła na horyzoncie, płachta wody była przed i za nami; uznałam, że tak miło i posuwiście będzie już do końca. Zupełnie nie biorąc pod uwagę ciągłej zmiany rzeczy i materii wszechświata. Kiedy statek zaczął kołysać się na coraz bardziej wzburzonych falach, pożałowałam nieco, że nie wybrałam się do Kopenhagi samolotem. Koszt byłby podobny, a na miejsce dotarłabym w dwie godziny. Ale po podwójnym piorunie w samolot, którym podróżowałam do ogarniętej burzą Czarnogóry, postanowiłam na jakiś czas dać sobie spokój z lataniem. Ciało zbyt dobrze pamiętało stres sprzed kilku miesięcy. Chciałam też rozkoszować się podróżą, powoli obserwować zmieniający się dystans między punktem A a punktem B. Tymczasem już na wstępie natura zafundowała mi niespodziankę. Czułam się jak w wesołym miasteczku, nie mając żadnych gwarancji na szczęśliwy koniec. Do Szwecji było daleko, kapitan co chwila informował, że włączone są stabilizatory, w co trudno było uwierzyć. Nie wyobrażałam sobie, jak w takim razie prom zachowywałby się, gdyby nie były włączone. Nie pomagał również fakt, że płynęliśmy za dnia. Widok za oknem podskakiwał, więc najlepszym rozwiązaniem było położyć się i po prostu czekać na to, co będzie. Cokolwiek. Problem polegał na tym, że nie wykupiłam sobie kajuty, lecz zwyczajny, przypominający nieco samolotowy fotel, którym rzucało jak podczas lotu do Czarnogóry. Tymczasem do szwedzkiego Ystad mieliśmy jeszcze jakieś pięć godzin. Na szczęście po godzinie wyjrzało słońce, niebo się rozchmurzyło, morze szumiało już tak, jak powinno, a pasażerowie wylegli na pokład. Wspólna przygoda zachęciła wszystkich, żeby nawiązać nowe kontakty. Siedzieliśmy więc na pokładzie, obserwując łagodne fale. Sieć telefoniczna ani internet nie działały, można więc było odciąć się od świata i zawęzić go jedynie do powierzchni promu.

> Miałam ochotę ją uwolnić. Tkwiąc na kamieniu, nie może wskoczyć do swego naturalnego środowiska i tylko smętnie spogląda w toń.



Mała Syrenka to postać z baśni Hansa Christiana Andersena. Jej posąg dłuta Edvarda Eriksena jest symbolem Kopenhagi.



Restauracja La Banchina na wyspie Refshaleøen w Kopenhadze ma własną strefę do pływania.

SHUTTERSTOCK.KIM WYON,DITTE ISAGER,APELOGA VISIT DENMARK ; POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Tradycyjna pieczona wieprzowina z przyprawami to danie popularne w Kopenhadze.



Malowniczą starówkę Ystad warto zwiedzać również na rowerze.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

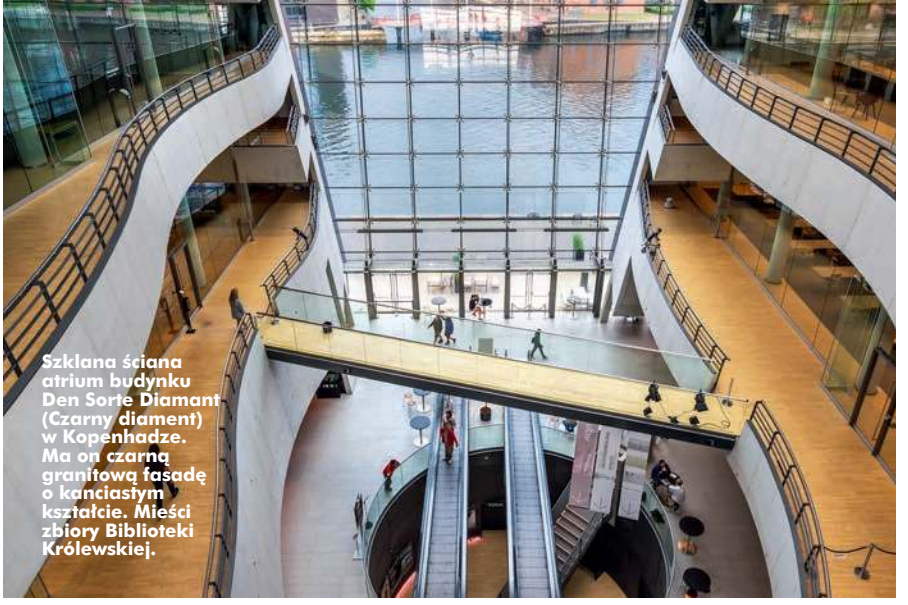
23 REJSY MARZEŃ
SZWECJA, DANIA



Öresund – Most nad Sundem – łączy duńską stolicę Kopenhagę ze szwedzkim Malmö.



Historyczne centrum szwedzkiego portu Ystad. Codziennie dopływają tu promy ze Świnoujścia.



Szklana ściana atrium budynku Den Sorte Diamant (Czarny diament) w Kopenhadze. Ma on czarną granitową fasadę o kanciastym kształcie. Mieści zbiory Biblioteki Królewskiej.

To jest jak arka Noego, zauważył ktoś z moich współpasażerów.

ŚWIETLISTE MORZE

W końcu na horyzoncie ukazał się ląd. Dobijaliśmy do Szwecji. Ystad przywitało nas kolorowymi domkami, jakich w tym kraju pod dostatkiem. Niskie, żółto-czerwono-niebieskie, okryte uroczymi dachami z ceglanej dachówki jak czapkami. Nie dane było nam, pasażerom promu, zmierzającym do Kopenhagi, zagubić się pośród gęstej, ale bardzo uporządkowanej zabudowy, bo musieliśmy dostać się do autobusu, który w cenie promowego biletu wiezie prosto do centrum Kopenhagi przez most Øresund łączący brzegi Szwecji i Danii.

Nie byle jaki to most. Ma prawie 8 km, zewsząd otacza go morze, a człowiek już nie buja się na falach, tylko sunie prosto, przecinając tę wodną połać jakby bobslejem po zmarzlinie. Oko rejestruje tylko pluski i słoneczne błyski na wodzie, więc gdy znów zobaczyłam ląd, tym razem Kopenhagę, byłam zdziwiona, że to już koniec. Powoli się ściemniało, z daleka widziałam światła miasta – wyglądało jak kolejne, świetliste morze.

Nie dostrzegłam pomnika słynnej Syrenki inspirowanej baśnią Hansa Christiana Andersena, bo choć siedzi ona sobie na kamieniu niedaleko portu, to jednak autobus wjeżdża do centrum miasta oddalonego nieco od przystani promowej.

Następnego poranka zaopatrzyłam się w mapę i rower, którym ruszyłam wzdłuż najsłynniejszego sztucznego wodnego kanału w Nyhavn – Nowym Porcie. Wykopali go w XVII w. szwedzcy jeńcy. Pełnił rolę portu handlowego i rybackiego. Dziś to jedno z najbardziej znanych miejsc w Kopenhadze, w którym historia łączy się z nowoczesnością.

Objechałam nabrzeże z pięknie odrestaurowanymi kolorowymi kamienicami w odcieniach żółci, czerwieni i błękitu. Wiele z nich pochodzi z XVII i XVIII w. Liczne kawiarnie, restauracje i bary serwują przysmaki lokalnej i międzynarodowej kuchni. W wodach kanału cumują historyczne drewniane statki.

Rower prawie sam doprowadził mnie do pomnika Syrenki. Maleństwo – raptem 1,25 cm. Wydała mi się nieco zagubiona i porzucona, bo choć to miejsce odwiedza wielu turystów, jej posąg znajduje się na wylocie z miasta. Przytwierdzona do kamienia, wskoczyć do swego naturalnego środowiska nie może, więc tylko smętnie spogląda w mętną toń.

Jednak gdy stałam obok niej, dotarło do mnie, że w Kopenhadze woda właściwie się nie kończy. Nie ma dzielnicy, przez którą nie przepływałby choćby niewielki strumyk. Miałam ochotę wyrwać Syrenkę z nabrzeża i przenieść w jakieś bardziej przyjazne miejsce. Wtedy na horyzoncie dostrzegłam zieleń. Gęstą, majaczącą jak fatamorgana, ale rzeczywistą.

Wsiadłam na rower i w niecały kwadrans, jadąc wzdłuż – oczywiście – wody, dotarłam do dzielnicy Christiania położonej wśród zieleni. Niegdyś znajdował się tu garnizon wojskowy, ale w latach 70. przejęli go hipisi i próbowali stworzyć tu mały raj na ziemi. Sprzyjały temu położenie i lokalna przyroda. Rosło mnóstwo drzew, była też woda zapewniająca im oczyszczenie – również duchowe. Opuszczone domy, które pozostały, mógł zasiedlić każdy, kto chciał. Wolność, muzyka i natura przyciągały tu jednak nie tylko hipisów, ale i handlarzy narkotyków. Niestety. Bez trudu znaleźli w Christianii klientów.

Dziś pośród przepięknie pomalowanych domów z muralami w abstrakcyjne, buddyjskie i hipisowskie wzory można jeszcze poczuć atmosferę totalnej wolności sprzed lat. Wielu wędrowców, niepotrafiących odnaleźć się w technologicznej, scyfryzowanej rzeczywistości, wciąż znajduje tu schronienie. Choćby na moment. Usiadłam na ławce pośród chaszczy z widokiem na jeden z tutejszych kanałów i przez chwilę zastanawiałam się, czy może nie warto byłoby tu zostać. Ciągnęło mnie jednak na otwarte morze. W Kopenhadze miałam tylko jego namiastkę. Nie chciałam tu ugrzęznąć jak Syrenka z pomnika.

KSIĘŻYC NA FALI

Dwa dni później wsiadłam z powrotem do autobusu, który przez most Øresund przewiózł mnie do Ystad. Kopenhaga powoli znikała za horyzontem, znów z każdej strony otaczała mnie woda. Mimo obaw czułam, że jestem u siebie. Wchodząc nocą na prom do Świnoujścia, trochę żałowałam, że nie będę widziała morza, które znów wydawało się lekko zaniepokojone – kiwało statkiem na boki, podrzucało nim. Wreszcie w ciemności dostrzegłam księżyc odbijający się od fal i ten widok pozostał aż do świtu, kiedy na czerwonawym horyzoncie błysnęła latarnia. ■

SHUTTERSTOCK(3)

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
NORWEGIA



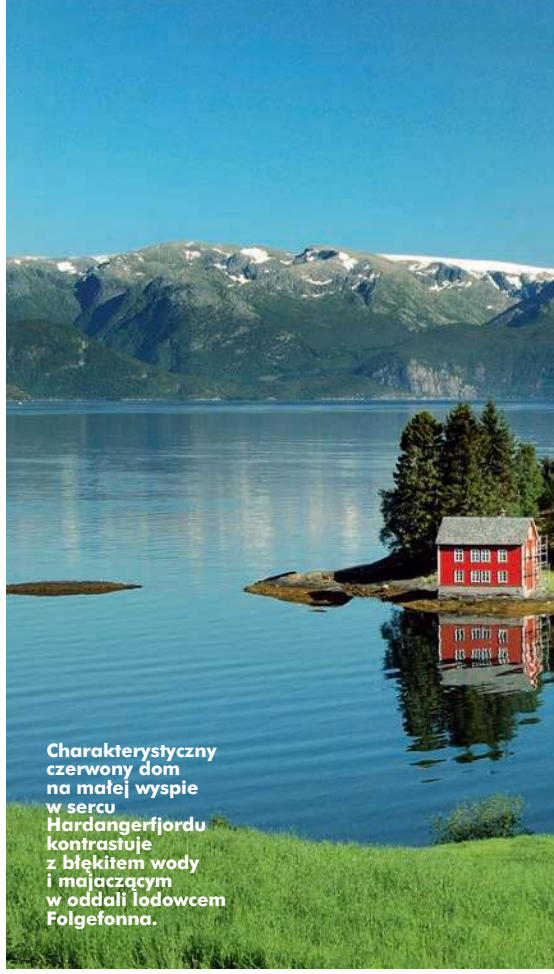


Skalna półka Preikestolen ma wymiary ok. 25 x 25 m. Liczba osób ją odwiedzających szybko rośnie, teraz jest to ponad 300 tys.

TEKST **BARBARA ŻUKOWSKA**

MORZE Z WIDOKIEM NA GÓRY

WBIJAMY SIĘ DZIOBEM STATKU W NORWESKI KRAJOBRAZ PEŁEN SKAŁ, WYSP I WODOSPADÓW. PŁAWIMY SIĘ WE FIORDACH.



Charakterystyczny czerwony dom na małej wyspie w sercu Hardangerfjordu kontrastuje z błękitem wody i majaczącym w oddali lodowcem Folgefonna.

Który to jest Preikestolen? Zadzieramy głowy, wpatrując się w granitowe uskoki. Za lewą burtą przesuwają się poszarpane szare klify. Kilka ich nierówności może pretendować do bycia słynną skalną półką zawieszoną wysoko nad Lysefjordem. Nagle nad jedną ze skał pojawiają się kolorowe punkciki. Są mniejsze niż łebki od szpilek, bo odległość ponad 600 m w pionie robi swoje. Kolorowe kurtki tych, którzy odważyli się wyjrzeć zza krawędzi klifu, zdradzają, gdzie znajduje się skalna ambona. I uświadamiają mi skalę krajobrazu. Półka z poziomu wody wygląda niepozornie w szeregu skał. W drugą stronę też to działa. Ci, co patrzą z góry na nasz statek – a jest to porządny trzymasztowy szkuner – widzą na wodach fiordu śmiesznie małą łupinkę. Płyniemy na silniku. Fiordy, choć w niektórych miejscach całkiem szerokie, nie nadają się do żeglowania dla większych jednostek. Ale po tym, jak rankiem tego dnia wyszliśmy z portu w Stavangerze, kapitan wezwał wszystkich na pokład. Żagle w górę! – padła komenda. To był chrzest świeżo zmustrowanej załogi, która miała spędzić na statku tydzień i która w sporej mierze składała się z takich nowicjuszy jak ja. O żeglowaniu nie wiedziałam nic, a z żeglarskiego słownictwa mgliście kojarzyłam kilka pojęć. Złapaliśmy liny i wspólnymi siłami postawiliśmy 600 m² żagli STS Kapitana Borchardta. Widok naszego szkunera, nawet bez żagli, wabi wszystkich na wodzie i lądzie. Stale kręcą się wokół nas motorówki, jachty, skutery, by przyjrzeć się z bliska szacownemu staruszkowi. Kapitan Borchardt jest najstarszym żaglowcem pływającym pod polską banderą, w tym roku kończy sto lat! Pierwotnie był oceanicznym statkiem towarowym, pływał pod różnymi nazwami. Do dziś na rufie widnieje jego pierwsze imię: Nora.

Wchodzę na tę półkę z pewnymi obawami. Po pierwsze, jest na niej wyraźne pęknięcie, więc kiedyś w końcu odpadnie...



Świeże langustynki, krewetki i kraby serwowane w portowych restauracjach w Norwegii smakują najlepiej.

SALTO MORTALE

Chcę to mieć jak najszybciej za sobą, myślę sobie. Idę w wielojęzycznym tasiemcu chcącym zdobyć Preikestolen. Poprzedniego wieczora zacumowaliśmy w miasteczku Jørpeland, skąd autobusem można dojechać do początku szlaku prowadzącego na skalną ambonę. Ekipę z mojego statku zostawiłam gdzieś w tyle, żeby jednak pobyć trochę samej w obcym tłumie. Szlak długości niecałych 4 km przypomina trochę szalony rollercoaster, raz biegnie w górę na skalne grzbiety, raz w dół na torfowiska – na bardziej stromych podejściach tworzą się korki. Pod koniec wyprowadza na skały pozbawione wszelkiego cienia. Słońce praży bez litości. Nie spodziewałam się w Norwegii tak potwornej patelni! Na samym Preikestolenie kłębią się dziesiątki osób, z psami, z dziećmi. Wchodzę na tę półkę z pewnymi obawami. Po pierwsze, jest na niej wyraźne pęknięcie, więc kiedyś w końcu odpadnie. Mam nadzieję, że nie w tym momencie. Po drugie, również kwestią czasu wydaje mi się, żeby ktoś tu niechcący kogoś trącił, popchnął.

SHUTTERSTOCK(3), GETTYIMAGES , POPRZEDNIE STRONY: GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Figurka trolla przy nabrzeżu w Stavangerze to jeden z wielu symboli nawiązujących do bogatej skandynawskiej mitologii i lokalnego folkloru.

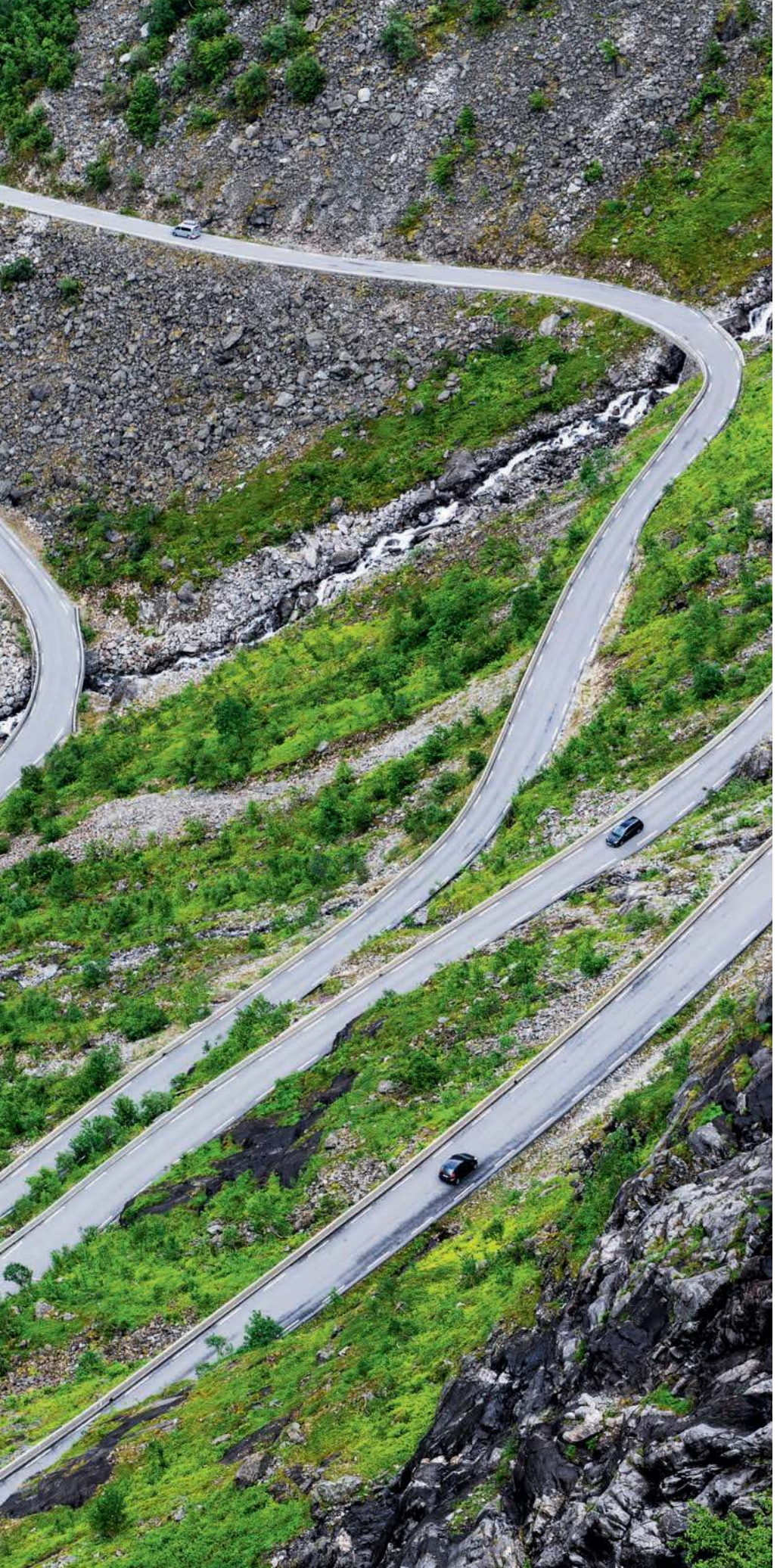


Tętniąca życiem ulica Øvre Holmegate w Stavangerze słynie z kolorowych drewnianych domów, w których mieszczą się kawiarnie i galerie.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Słynna trasa Trollstigen przecina górzysty krajobraz kaskadą jedenastu ostrych zakrętów, będąc majstersztykiem norweskiej inżynierii drogowej.



ADOBESTOCK

Byłoby to najbardziej widowiskowe salto mortale – niezamierzony skok do Lysefjordu. Do krawędzi klifu sunę na czworakach, wreszcie pełznę na brzuchu. Wystawiam głowę. Co za przepaść! W dole po granatowych wodach płyną łupinki statków, ciągnąc za sobą białe smugi. W drodze powrotnej odkrywam, że można pójść odnogą szlaku prowadzącą nad Preikestolen. Skwapliwie korzystam z tej opcji. Mam pod sobą półkę w całej okazałości, ze spacerującymi po niej ludzikami. Wiatr szarpie wściekle ubraniem, włosami, aparatem, obok jacyś Polacy klną soczyście na te okoliczności przyrody. Proszę ich, żeby zrobili mi zdjęcie. Ale mają miny! Szlak biegnący górą okazuje się wspaniały. W jego dalszej części nie widać już wprawdzie za wiele fiordu, ale za to otwiera się widok na wybrzeże pełne wysp i zatok. W ten krajobraz wdziera się nagle dźwięk helikoptera. Później dowiem się, że jakiś nieostrożny turysta spadł kilka metrów ze skał podczas robienia zdjęć. Niżej szlak łączy się z głównym i znowu maszeruję w tłumie, tym razem schodzącym z Preikestolenu. Do góry idą pojedyncze osoby i to one wybrały słuszny wariant – pójść pod prąd wracających, zobaczyć ambonę w wieczornym słońcu, w ciszy i samotności. Też bym tak chciała, ale wtedy nie złapałabym ostatniego autobusu, żeby wrócić na noc na statek.

W INNEJ BAJCE

Dzwoni budzik. Podrywam się gwałtownie, walę głową w sufit i opadam na koję. Razem z Ewą zaczynamy wachtę o czwartej rano. Wychodzę na pokład. Stoimy w Norheimsundzie, miasteczku w Hardangerfjordzie, drugim pod względem długości w Norwegii. Z nabrzeża rozciąga się widok na odległe góry i płaskowyż Hardangervidda, który słynie z surowego alpejskiego klimatu. Zimą panują na nim tak trudne warunki, że polarnicy i podróżnicy przygotowują się tam do swoich wypraw. Z Nordheimsundu można

zobaczyć zaledwie skraj lodowca. Wygląda dość niewinnie. Świt barwi go na delikatne odcienie różu i szarości. Gapię się na to świetlne widowisko, słucham ostrygojadów, które z wrzaskiem przelatują nad mariną. I czekam na zmienników, którzy powinni się pojawić o piątej, żeby zacząć swoją wachtę. Nie przychodzą. Jestem na nich trochę zła, a trochę się cieszę. Szkoda czasu i widoków na sen. Wyśpię się kiedy indziej. Życie na żaglowcu ma swój rytm. Wyznaczają go wachty, a czas odmierzają „szklanki" wybijane co pół godziny na mosiężnym dzwonie – sercu statku zawieszonym na pokładzie. Kiedy nie pełnimy akurat wachty nawigacyjnej i mamy wolny czas, możemy się wyspać, pogapić na obrazki za burtą. Na estetyczne norweskie domki, na skały i wodospady, tak spektakularne jak na przykład Furebergfossen, który mijamy w drodze do osady Sundal. Tam stajemy na kotwicy, można popłynąć pontonem na ląd, można się wykąpać. Woda ma wprawdzie 14°C, ale i tak jest sporo chętnych. Zdarzają się chwile magiczne. Jak wtedy, kiedy zachodzące słońce, co w maju w Norwegii następuje koło 23, zalewa pokład ciepłym, miękkim światłem. Wszystko tonie w czerwieniach i pomarańczach, na pokładzie siedzi zaledwie kilka osób, a statek cierpliwie płynie swoim kursem. Albo wtedy, gdy po raz pierwszy wchodzę po wantach na bezanmaszt. Odkrywam inną bajkę. Po pokładzie przesuwają się małe ludzkie sylwetki. Słyszę każde słowo, ale jednocześnie jestem poza ich zasięgiem, zawieszona między wodą a niebem. Na górze wreszcie jestem sama. Pokład ma piękny niebieski kolor, otacza go malachitowa woda zatoki. Później jeszcze kilka razy uciekam na wanty albo na bukszpryt, żeby zwyczajnie pobyć sama, ale też spojrzeć na świat z innej perspektywy.



Droga na Preikestolen prowadzi m.in. drewnianą kładką przez torfowisko Krogabekkmyra.

GRA MUZYKA

Pogoda nas rozpieszcza. Przesadza nawet, bo kto to widział, żeby na norweskim niebie przez tydzień z rzadka pojawiały się chmury, a żadna z nich deszczowa. Chowamy się przed słońcem za ciemnymi okularami, czapkami i w cieniu nadbudówek Borchardta. Płyniemy na grocie i foku, ale wieje tak słabo, że statek zdaje się stać w miejscu. Wskaźniki pokazują jednak prędkość 2,5 węzła. Silnik wyłączony, panuje cisza. To będzie rekordowy rejs, bo okaże się, że z 69 godz. żeglugi zaledwie trzy przepłyniemy pod żaglami. Morze lekko faluje, woda wydaje się ciężka, oleista. Na horyzoncie majaczy coś dziwnego. Sprawdzam przez lornetkę. Z wody wyłaniają się zarysy fantastycznych poszarpanych klifów albo może futurystycznego miasta? Są piękne i przerażające jednocześnie, jak nie z tego świata. Otwieram usta ze zdumienia. Miraż! Rozgrzane powietrze odbija jak lustro pasek lądu i buduje nad horyzontem przedziwne konstrukcje. Kilka godzin później cumujemy w Stavangerze, dokładnie między jego ścisłym centrum a starówką. Miasto zachłystuje się tym niespodziewanym latem w maju. Jest północ, ledwie zapada zmrok. Stoliki wystawione przed knajpy, gra muzyka, są sukienki, spodenki, gołe plecy i ramiona. Norwegowie nie zamierzają spać i ja też nie. Schodzę z pokładu, żeby zobaczyć stare miasto. Jest białe i słodkie jak bita śmietana. Drewniane domy stoją porządnie przy brukowanych ulicach, pomalowane na biało, przystrojone ogrodami. Nikt tu nie ma zasłon i firanek, a ja nie mogę się oprzeć, żeby przez okna nie zaglądać do środka. Pięknie się mieszka na tutejszej starówce. W dole starego miasta, po drugiej stronie portu, widać nasz statek. Woda niesie śmiechy, śpiewy i krzyki. To ostatnia noc na pokładzie Borchardta. Rozpadł się codzienny rytm. Nie ma wacht, nie ma wybijanych szklanek, kuk nie strzela z pustej torebki po cukrze. Jeszcze przez chwilę cieszymy się wodniackim życiem, zanim ostatecznie zejdziemy na ląd. ■

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK(2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Nowoczesne murale w portowej dzielnicy Stavangeru pokazują, jak sztuka uliczna potrafi ożywić historyczną przestrzeń miasta.



Rejs po głębokich wodach Hardangerfjordu pozwala w pełni poczuć potęgę tego drugiego co do długości fiordu w Norwegii.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST **TOMASZ KAŁUŻA**

BAŁTYCKIE LEGENDY

ŻONA NIE BYŁA ZACHWYCONA. ZAMIAST EGZOTYCZNYCH WAKACJI WYMYŚLIŁEM REJS PO ZIMNYM BAŁTYKU. ALE ZA TO JAKIM ROMANTYCZNYM.

eprasa.pl/f3fc2b0a1d



Słynne kredowe klify w Sassnitz na półwyspie Jasmund, na Rugii, to wielka atrakcja tej wyspy. Niestety podlegają ciągłej erozji.

eprasa.pl/3fc2b0a1d

Tydzień, może 10 dni w podróży, kilka portów po drodze. Niemiecka Rugia, Rønne na duńskiej wyspie Bornholm, potem skok do Szwecji, powrót w inną część Bornholmu – ze dwie doby w Nexø, trochę czasu na otwartym morzu i wielki finał w Łebie. Wybrałem jacht, który dobrze znam; Cartera 30, popularną wśród żeglarzy jednostkę produkowaną przed laty w Stoczni im. Leonida Teligi w Szczecinie na licencji Dicka Cartera. Choć z dzisiejszej perspektywy nie jest szczytem wygody, ciągle jest morskim jachtem w pełnym tego słowa znaczeniu. Akurat na nas dwoje.

SZÓSTKA NA DOBRY POCZĄTEK

– Wiesz, że na naszej trasie żyją potwory, mają łyse głowy z trzema włoskami na czubku? – nie mam pojęcia, jaką lekturę moja żona zabrała na jacht, ale skoro opowieści o morskich stworach miały jej ubarwić podróż, to czemu nie? Jacht wyczarterowaliśmy od prywatnej osoby i odebraliśmy na szczecińskim Gocławiu. Załatwiam wszystkie formalności, sprawdzam stan łódki i jej wyposażenie (to niezwykle ważne przed taką wyprawą), przepakowujemy zapasy i wypływamy na Odrę w kierunku Świnoujścia. Asia studiuje mapy, w portach zamierza jak najwięcej zwiedzać, ja nastawiam się po prostu na żeglugę. Początkowo płyniemy leniwie, jednak słoneczne popołudnie okazuje się zmyłką. Wiatr na Zalewie Szczecińskim wzmaga się i zaczyna dochodzić do solidnej „szóstki", wieje nam prosto w nos, na silniku pokonujemy coraz wyższe fale. W całkowitej ciemności wpływamy w Kanał Piastowski, żeby o północy dotrzeć do przystani Jachtklubu Cztery Wiatry w Świnoujściu. Jest świetnie położony, widać z niego oświetloną latarnię morską, przedsmak naszej przygody. Asia z niepokojem obserwuje pogodę, nie jest fanką żeglowania, wiem, że te wakacje nie zrobią z niej wilka morskiego, ale może choć trochę przekonają do Bałtyku. Na szczęście kolejny ranek wita nas błękitnym niebem. Przed południem mijamy słynny wiatrak na główce falochronu – to Stawa Młyny, jedyny w Polsce znak nawigacyjny o tym kształcie – i wychodzimy w morze. Kilkanaście minut później stawiam żagle. Jacht ożywa. Kładąc się w łagodny przechył, nabiera prędkości, jakby ciesząc się z tego, że robi to, do czego został stworzony. Fala, zwykle przy wejściu do portu spiętrzona, teraz łagodnieje, a samo morze jeszcze przed chwilą mętnozielone, nabiera koloru ultramaryny. Dla mnie rejs



Fru Petersens Cafe w wiosce Østermarie na Bornholmie słynie z domowej kuchni.

> Jacht ożywa. Kładąc się w łagodny przechył, nabiera prędkości, jakby cieszył się, że robi coś, do czego został stworzony.

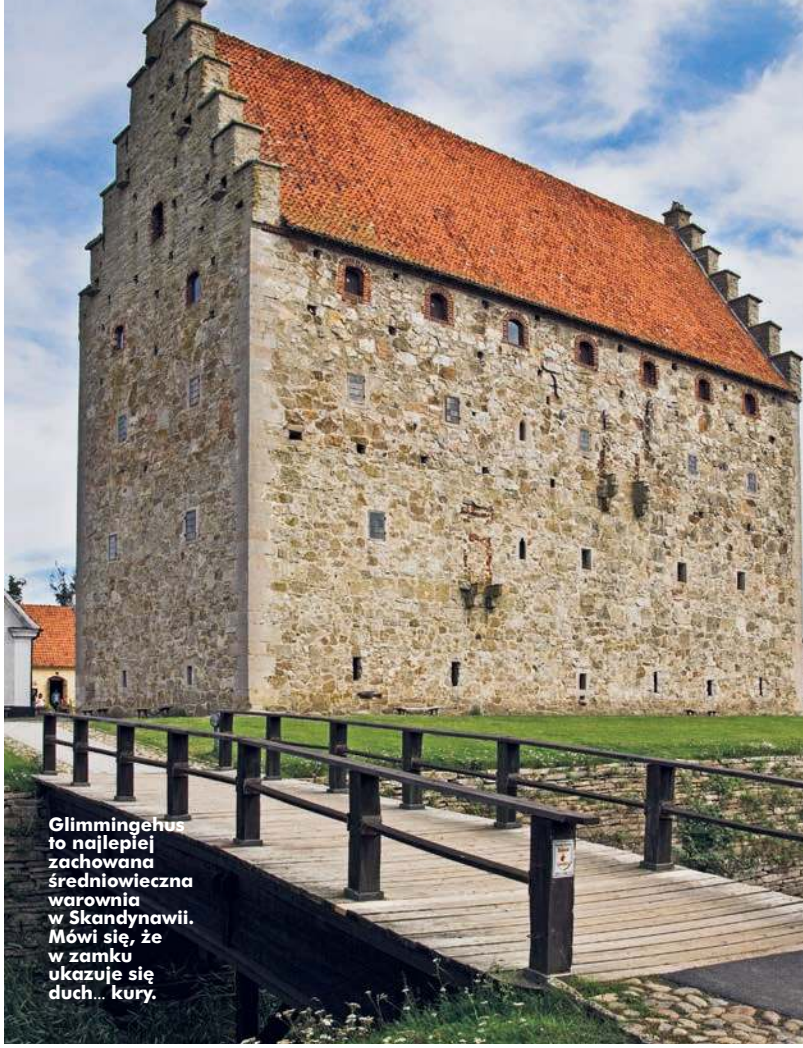

Wśród lokalnych potraw na wyspie Bornholm nie może oczywiście zabraknąć śledzi.

SHUTTERSTOCK(3), BRUNO EHRS, NICLASS JESSEN VISIT DENMARK ; POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

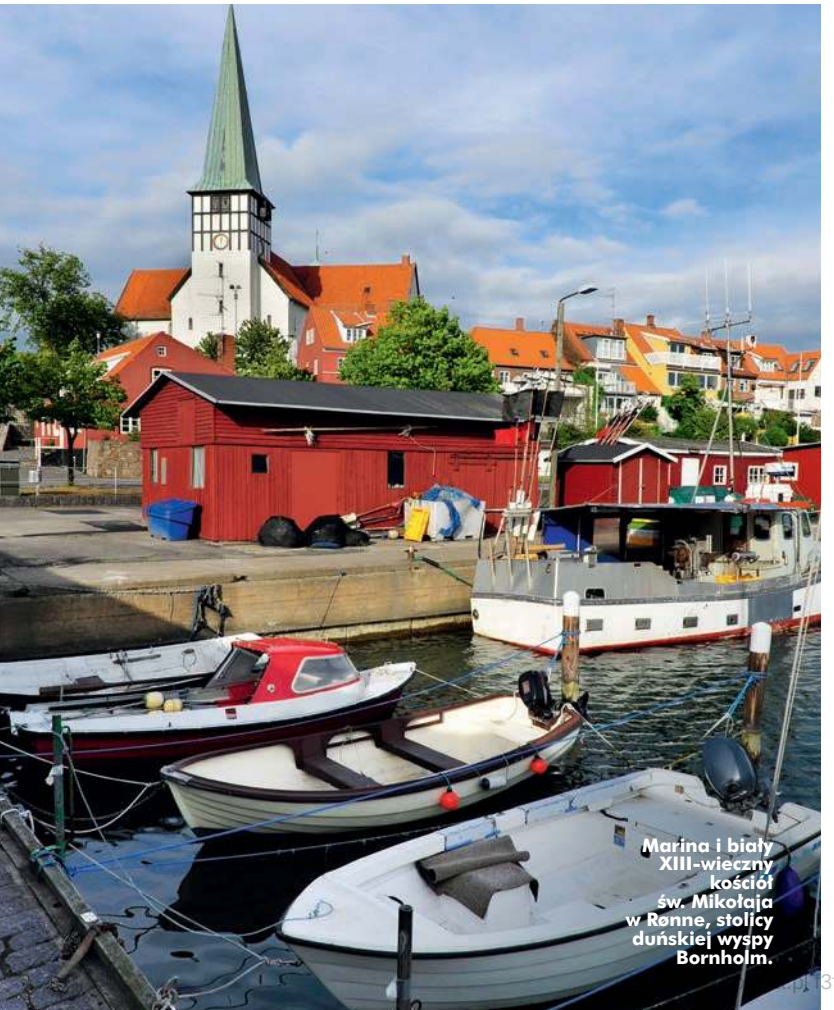
eprasa.pl f3fc2b0a1d



Kąpielisko w porcie Hasle na Bornholmie to betonowa wyspa unosząca się na wodzie.



Glimmingehus to najlepiej zachowana średniowieczna warownia w Skandynawii. Mówi się, że w zamku ukazuje się duch... kury.



Marina i biały XIII-wieczny kościół św. Mikołaja w Rønne, stolicy duńskiej wyspy Bornholm.

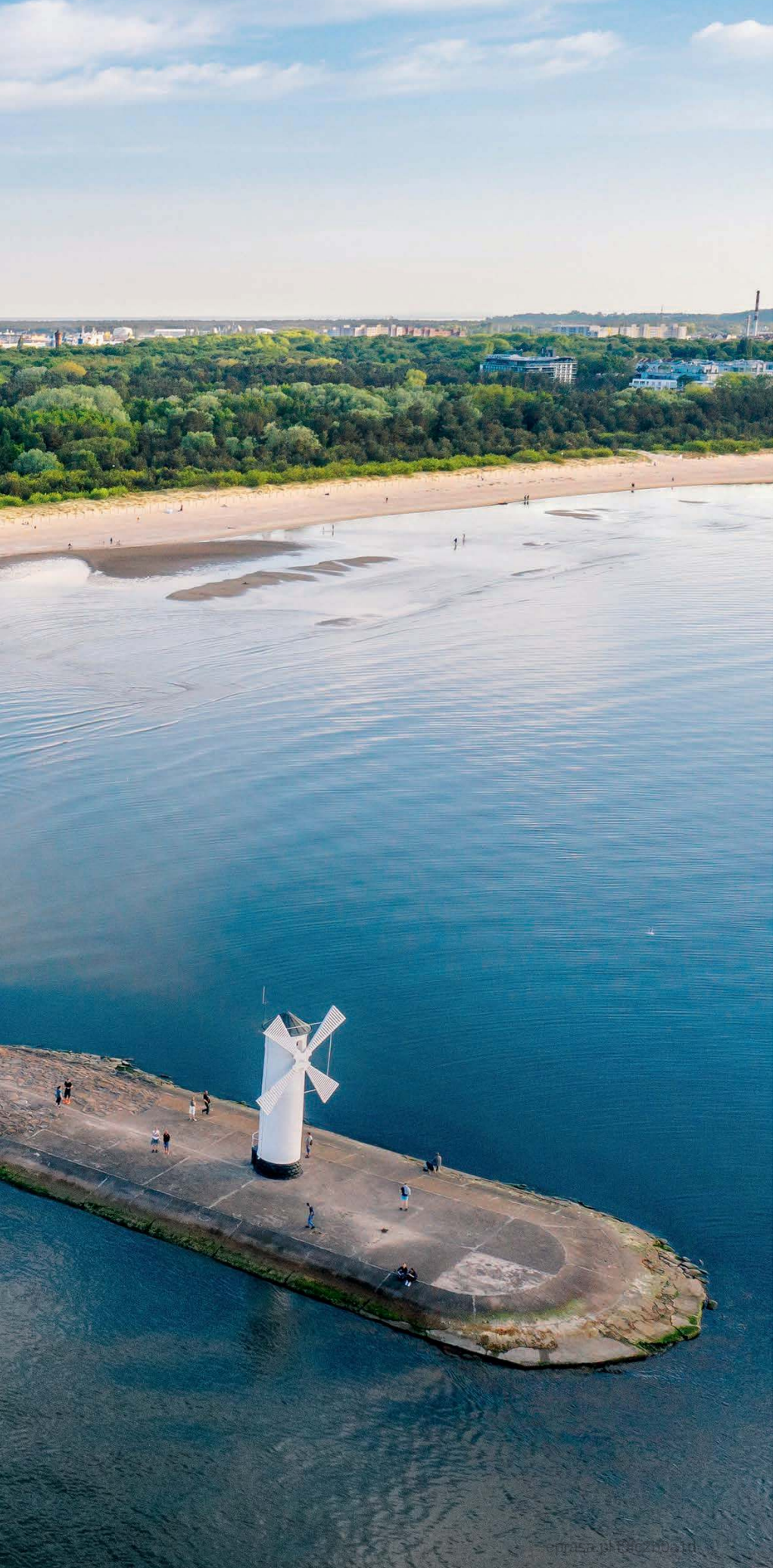


Pas wybrzeża pomiędzy Dueodde i Nexø na wyspie Bornholm to jedne z najpiękniejszych piaszczystych plaż w Danii.

23 REJSY MARZEŃ
POLSKA, NIEMCY, DANIA, SZWECJA



Stawa Młyny to znak nawigacyjny w kształcie wiatraka na końcu Falochronu Zachodniego w Świnoujściu.



URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA ZACHODNIOPOMORSKIEGO

właśnie się zaczyna. Asia, chcąc trochę zapanować nad lękiem przed wielką wodą, robi przegląd morskich „żyjątek", jakby chciała się jeszcze bardziej przestraszyć. *W XVI w. rybacy wyłowili tutaj „morskiego biskupa", dziwne stworzenie z podłużną głową przypominającą kształtem mitrę. Oglądał go nawet Zygmunt Stary. Ale potem wrzucili to „coś" znowu do Bałtyku* – czyta mi, trochę niepewnie trzymając się zrębnicy zejściówki. Płyniemy ostrym kursem na północ, zmierzając ku Rugii, wyspie mitów, najważniejszemu miejscu kultu religijnego nadbałtyckich Słowian. Rugia, największa wyspa Niemiec i Pomorza, jeszcze w XIX w. tłumnie odwiedzana była przez Polaków. Wincenty Pol widział w niej „jeden wielki gabinet starożytności słowiańskich", z oddaniem opisywał święte jeziora i gaje, starodawne mogiły i uroczyska. Arkona, skalisty przylądek wyspy, był w czasach Słowian największym targiem na Bałtyku. Asia jest przekonana, że sprzedawano na nim również dziwaczne morskie stworzenia. I rzeczywiście, Rugia od strony morza wygląda jak kadr z *Gry o tron*. Na horyzoncie pojawiają się wysokie kredowe klify półwyspu Jasmund. Stopniowo podmywa je morze, z jachtu dokładnie widzimy, jak drzewa nad nimi tracą oparcie i osuwają się na plażę.

W TRZEWIACH POTWORA

Przybijamy do brzegu w Sassnitz, malowniczym rybackim porcie. Po załatwieniu formalności idziemy powłóczyć się po mieście i nareszcie wypić zimne piwo. Zaczyna się przedpołudniowa krzątanina i miasteczko żyje swoim codziennym, leniwym rytmem. Żeglowanie daje wielkie nadzieje, to nie tylko wolność, ale także nieograniczone możliwości jedzenia świeżych ryb. Akurat trafiamy na kuter Heimat, który przez właścicieli został zmieniony w bar. Kupujemy pieczone śledzie (pycha!) i z pełnymi brzuchami zaczynamy zwiedzanie.

23 REJSY MARZEŃ
POLSKA, NIEMCY, DANIA, SZWECJA



Widok z drona na drewniane molo Seebrücke w Sellin na wyspie Rugii. Ma blisko 400 m długości. Na jego końcu znajduje się pawilon z restauracjami.



Urokliwe uliczki w Rønne z ich kolorowymi domkami zachęcają do spaceru i do fotografowania.

W Sassnitz zostajemy tylko na dobę, dlatego skupimy się na największej, zaraz po kredowych klifach, atrakcji miasta. To HMS Otus, brytyjski okręt podwodny z czasów zimnej wojny. W 1991 r., w czasie wojny z Irakiem, dostarczył do Kuwejtu brytyjskich komandosów SAS. Wkrótce potem wycofany ze służby, odkupiony przez prywatną osobę, stał się pływającym muzeum. Jego obła czarna sylwetka to zapowiedź wędrówki przez wąskie wnętrze. Przeciskając się przez kadłub, uświadamiam sobie, że pływało na nim, w trwających wiele tygodni misjach, prawie 70 osób. Z ulgą uwalniamy się z tej wielkiej metalowej puszki i wracamy na jacht. Trzydzieści minut później Sassnitz pozostaje już tylko wspomnieniem. Po trzech godzinach, już po zachodzie słońca, za rufą żegna nas latarnia morska Arkona.

POFALOWANA KRAINA

Gdy dopłynęła w okolice Bornholmu, morze całkowicie ucichło i nagle przed statkiem ukazała się postać – tylko głowa z ramionami, samych rąk nie można było dostrzec. Wyglądała jak człowiek, ale zamiast włosów miała „świńską szczecinę” – żona czyta mi wspomnienia z XVII w. dotyczące podróży pewnej szwedzkiej księżniczki. Rozkoszujemy się leniwą nocną żeglugą, nad ranem wiatr ustaje, a morze robi się gładkie jak rozlana oliwa. Zastanawiam się, co czuła księżniczka, kiedy nagle przed nosem wyskoczyło jej to „coś”? Żagle w dół, odpalam motorek. Dwie godziny pyrkania i o świcie dopływamy do Rønne na Bornholmie. Marina leży w centrum miasta i jak na mój gust za duży tu ruch. Zaliczamy spacer na molu, czekoladowo-bananowe lody i plażę. Trzeba zebrać siły przed rejsem do Szwecji. Rønne dzieli od Simrishamn, dokąd zmierzamy, ok. 40 mil morskich. Wiatr jest tak słaby, że nawet nie próbujemy postawić żagli, pokonując całą trasę na włączonym silniku. Po południu jesteśmy już u wejścia do portu. Dookoła śliczne szwedzkie domki, kolorowe uliczki. Dla mnie żeglowanie może się odbywać bez zawijania do portu, ale żona nastawiła się na zwiedzanie. Przed południem oglądamy dolinę Bäckhalladalen słynącą z pofalowanych „dywanów” prekambryjskiego piaskowca. Potem wracam na jacht, Asia natomiast łapie autobus i jedzie do zamku Glimmingehus, akurat odbywa się w nim turniej rycerski. Średniowieczna warownia uważana jest za najlepiej zachowaną w Szwecji, przez wieki napadał ją, kto tylko mógł, nigdy nie niszczył. Duńczycy wiedzieli, że się nie opłaca, bo pewnego dnia wrócą, Szwedzi nawet po przegranej liczyli na rewanż, więc wciąż potrzebowali potężnego zamku. Asię ciągnie do Glimmingehus, ponieważ tam straszy, ale wolę jej nie mówić, że w zamku ukazuje się jedyny na świecie duch... kury. Tym bardziej że właśnie przygotowuję na jachcie rosół...

WĘDZARNIA ALCHEMIKA

Nad ranem te same rutynowe zajęcia. Przygotowanie jachtu, opłaty, wreszcie upragnione rzucenie cum. Wracamy do Polski z przerwą w Nexø na wschodnim wybrzeżu Bornholmu. Tym razem płyniemy z wiatrem, który nieco przybrał na sile. Asia czyta o drapieżnej syrenie, która wabiła marynarzy zmierzających na duńską wyspę. Nexø to największy port rybacki Bornholmu, a przy tym położony bardzo malowniczo. To chyba najładniejsza część wyspy. Rosną na niej nawet rośliny typowe dla krajów śródziemnomorskich. Panuje tu atmosfera wakacji, są plaże, rozległe pola i łąki, sielskie krajobrazy toną w słońcu.
My również wyruszamy na wędrówkę wzdłuż wybrzeża, po dwóch godzinach marszu docieramy do Svaneke nazywanego słonecznym miastem ze względu na największą liczbę słonecznych dni w roku w kraju. Tu działa jedyny na wyspie browar, a także Pięć Sióstr, czyli słynna wędzarnia z pięcioma przypominającymi piec alchemika kominami. Tutejsze śledzie to nie są zwykłe śledzie, to „złoto Bornholmu” – podczas wędzenia ich skórka nabiera złotego koloru. Do zachodu słońca biesiadujemy, degustując bornholmskie ryby, owoce morza, ciemny chleb i lokalne piwo. Na łódkę zabieramy dwa kilogramy wędzonych śledzi. Zrobiłem coś dla żony, teraz będzie czas dla mnie. Kolejne trzy dni żeglujemy po otwartym morzu, bez zawijania do portów. Jesteśmy sami z rozgwieżdżonym niebem, nieprzewidywalnym Bałtykiem i potworami, które opisywali dawni podróżnicy. Towarzyszy nam zapach wody i wędzonych ryb. Nie dzieje się kompletnie nic. Aż do momentu, kiedy prognoza pogody zapowiada sztorm. To sygnał do ostatecznego odwrotu. ■

GETTYIMAGES.SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST WIKTORIA MICHAŁKIEWICZ

LABIRYNT 30 TYSIĘCY WYSP

ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI TO LABIRYNT, W KTÓRYM ŁATWO SIĘ ZGUBIĆ, ALE JESZCZE ŁATWIEJ ODNALEŹĆ SPOKÓJ.



Viggsklappen to mała grupa wysepek i szkierów położona w zewnętrznej części archipelagu.

epress.pl/3ic2b0a1d



Tu będzie idealnie! – krzyczy kapitan motorówki, jednocześnie wyłączając silnik. W tym samym momencie budzę się z błogostanu zagwarantowanego przez podmuchy ciepłego wiatru i promienie słoneczne padające na twarz. To dwa składniki szwedzkiego lata, których nikt nie traktuje jako oczywistości, a jak już się pojawią, są okazją do prawdziwego świętowania. Zwłaszcza przez mieszkańców Sztokholmu. Mrużąc oczy wśród mieniącej się wody, staram się zidentyfikować naszą przystań, ale lekko oszołomiona absolutną ciszą, zauważam jedynie kilka zaokrąglonych skałek wystających z wody. Andreas, kapitan łodzi i przewodnik wycieczki, chyba dostrzega zagubienie na mojej twarzy, bo zaraz z dumą wskazuje na najbardziej wypłaszczoną z nich. – Zobacz, tutaj jest i stół na piknik, i doskonałe zejście do wody! – mówi. Chociaż w moich oczach to całkiem zwyczajna wysepka, wiem już, że Szwedzi mają jakiś szósty zmysł. Rzeczywiście, w ciągu kilku minut Andreas cumuje łódź, a kamienne formacje zmieniają się w udekorowany obrusem granitowy stolik, na którym pojawiają się morskie specjały. Krewetki, chrupkie pieczywo i kalles kaviar – pasta z kawioru, której smak każdy Szwed zna od dziecka. Po sjeście na wygrzanych skałach „schodkami" wyrzeźbionymi przez wodę komfortowo schodzimy do morza. Celebrujemy wielki dzień: pierwszą kąpiel na otwartym morzu, w sercu sztokholmskiego archipelagu.

Latem, gdy dzień jest tu niesamowicie długi, do późnych godzin wieczornych Szwedzi przesiadują na „prywatnych" wyspach.



Lokalna ryba serwowana w jednej z restauracji na Archipelagu Sztokholmskim.

KRAJOBRAZ TYSIĄCA WYSP

Nasza wysepka to tylko jedna z tysięcy możliwości na spędzenie popołudnia w tych okolicach. Latem, gdy dzień jest tu niesamowicie długi, do późnych godzin wieczornych Szwedzi przesiadują na „prywatnych" wyspach. Tak jakby natura dostosowała się do ich potrzeby posiadania przestrzeni dla siebie. Każda grupa przyjaciół i każda rodzina mogą wybrać kamień na wolne popołudnie, nie zakłócając spokoju innym grupom, które tłumnie wypływają w morze. Sygnałem są zawsze pierwsze oznaki lata. Na szczęście miejsca jest tu pod dostatkiem. Archipelag Sztokholmski, który kształtem przypomina wachlarz, rozpościera się od szwedzkiej stolicy w stronę Morza Bałtyckiego i ma ok. 530 km^2 powierzchni lądowej. Obejmuje do 30 tys. wysp i wysepek rozrzuconych na morzu:

ANNA HALLAMS(2), EMMIE BOLMSTEDT, HENRIK TRYGG(2)/VISIT STOCKHOLM

eprasa.pl f3fc2b0a1d

W Szwecji masz prawo rozbić namiot na jedną noc w dowolnym miejscu, o ile nie zakłócasz prywatności mieszkańców i dbasz o naturę.



Hovgården na wyspie Adelsö to dawna siedziba królewska, z której władcy sprawowali nadzór nad pobliską Birką – kluczowym portem handlowym wikingów



Wyspa Sandön wraz ze swoją główną miejscowością, Sandhamn, to jeden z najpopularniejszych punktów na mapie Archipelagu Sztokholmskiego.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
SZWECJA



Na wyspie Röder przetrwała dawna osada rybacka, która dziś służy głównie jako miejsce wypoczynku.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

HENRIK TRYGG(2)/VISIT STOCKHOLM

Szwedzi traktują swoje wyspy z jednakowym szacunkiem, a każda odmiana ma swoją nazwę. Im dalej w morze, tym są mniejsze.



Borówki to „czerwone złoto północy". Z zebranych owoców robi się dżemy, które później podaje się do słynnych klopsików lub jako dodatek do owsianki.

od latarni Landsort na wyspie Öja, na południowym zachodzie, po Arholmę na północnym wschodzie.
– Im bliżej lądu, tym wyspy są bardziej rozległe, porośnięte sosnowym lasem. Im dalej w morze, tym stają się mniejsze, niczym wystające z wody kamienie – tłumaczy Andreas. Ale Szwedzi traktują swoje wyspy z jednakowym szacunkiem, a każda odmiana ma swoją nazwę. – Ta, na której siedzimy, to kobbe – mówi między kęsami kanapki z krewetkami w śmietanowym sosie z koperkiem, czyli piknikowej wersji tosta skagen.
– Ale tamta, bardziej podłużna, to haru – wskazuje na jedną sąsiednich formacji.
– Większa to ö, a kilka „sklejonych" ze sobą wysepek to skär. Mieszkańcy dalekiej Północy mają swoje określenia na rodzaje śniegu, my mamy cały



Ten zabytkowy wiatrak na wyspie Utö pochodzi z 1791 r. i jest jednym z najczęściej fotografowanych obiektów w całym archipelagu.

słownik wyspiarski – dodaje. Od lekcji szwedzkiego wolę zwiedzanie w praktyce, najlepiej z perspektywy pokładu, bo każda wyspa to mały kosmos. Wśród skał bujają się zacumowane w maleńkich marinach łódki, woda niesie śmiech rozbawionych grupek i plusk przy każdym skoku. Do niektórych skałek przyklejone są pomalowane na rdzawoczerwony kolor domki, a między drzewami wiszą barwne hamaki. W innym miejscu ktoś rozłożył na pomoście matę do jogi i wykonuje kolejne skłony „powitania słońca". Dla wielu mieszkańców Sztokholmu archipelag jest ucieleśnieniem letniej sielanki. Nic dziwnego, że wielu traktuje swoje łódki z namaszczeniem, polerując je od wczesnej wiosny w oczekiwaniu na letnie wycieczki.

MAGICZNY SEZON

Na szczęście nie trzeba być kapitanem, żeby cieszyć się naturą. Wskakuję na prom przy stacji Slussen i płynę prosto do Fjäderholmarna – najbliższych wysp archipelagu. W ciągu 30 min tej przeprawy mam wrażenie, że znalazłam się w świecie z książek Astrid Lindgren. Pięć maleńkich wysepek składających się na tę część archipelagu dostarcza atrakcji na cały dzień: od gofrów z konfiturą malinową w Gula Villan, przez wycieczkę po lokalnych zakładach rzemieślniczych, aż po plażowanie. Do niedawna to tutaj kończyła się sztokholmska trasa turystyczna. Zmieniło się to dzięki inicjatywie Michaela Lemmela, współzałożyciela federacji ekstremalnych wyścigów pływackich, i Marie Östblom, której pasją jest zrównoważona turystyka. Dzięki nim 21 wysp połączono nowym Szlakiem Archipelagu Sztokholmskiego, który liczy aż 270 km. Trasy zaprojektowane są tak, żeby nie niszczyć okolicznej natury. Kolejna przygoda zaczyna się w Årsta, na południe od Sztokholmu. Prom płynie ponad godzinę, która szybko mija, kiedy wpatruję się w wielki błękit – spokojną taflę morza aż po horyzont. Prom przybija do przystani Spränga Brygga na wyspie Utö. Tutaj można poczuć esencję szwedzkiego lata. Albo „magicznego sezonu", jak Szwedzi nazywają te kilka miesięcy w roku, kiedy słońce wydobywa ukryte zimą soczyste kolory. I rzeczywiście dzieje się tu magia: drewniane pomosty z widokiem na słońce zachodzące nad wodą w Persholmen tuż po sesji w saunie. Wygrzewanie się na plaży w malowniczej zatoczce Barnens Bad. Spacery piaszczystą plażą Storsand... Wyspę można obejść pieszym szlakiem, który w całości liczy ponad 16 km. Kiedy patrzę na te obrazy, rozumiem, dlaczego to miejsce upodobała sobie sławna szwedzka aktorka Greta Garbo. Tak jak wyspa Fårö słynie dzięki Ingmarowi Bergmanowi, Utö reklamuje się Garbo. Ale i tak największą gwiazdą jest tu natura. ■

VISIT STOCKHOLM (3)

eprasa.pl f3fc2b0a1d

Szkiery – niskie, gładkie, granitowe wyspy o zaokrąglonych krawędziach – to pamiątka po lądolodzie, który tysiące lat temu dosłownie je oszlifował.

Szwedzi traktują sauny nie jako luksus, ale jako sposób na połączenie się z naturą i regenerację.

epiasa.pl f3fc2b6a1b



TEKST **KATARZYNA KACHEL**

PŁYWAJĄCY DOMU

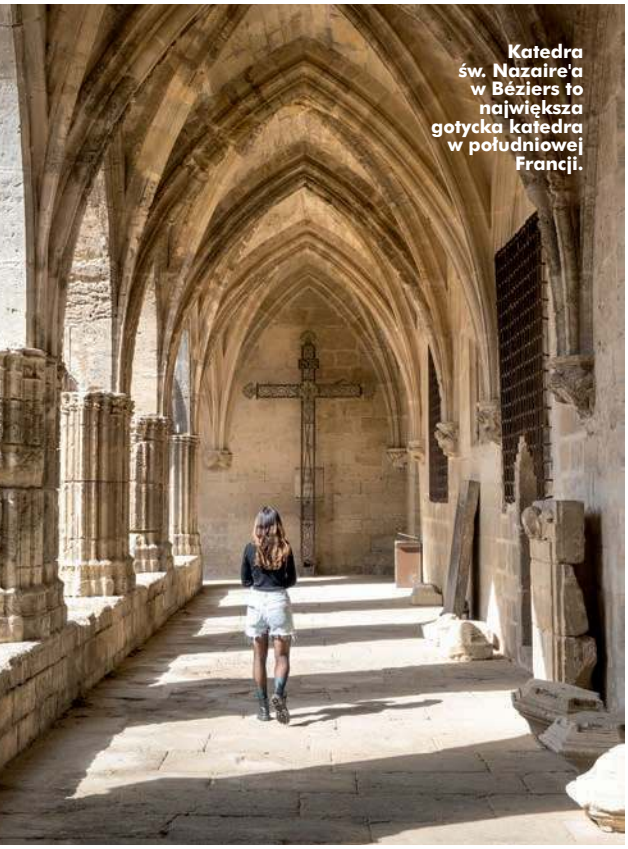
Z WODY WIDAĆ WIĘCEJ, DLATEGO WSIADŁAM NA BARKĘ I KANAŁEM POŁUDNIOWYM PRZEPŁYNĘŁAM LANGWEDOCJĘ.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Carcassonne, położone na wzgórzu warowne miasto, przetrwało w stanie bliskim oryginalnemu.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Katedra św. Nazaire'a w Béziers to największa gotycka katedra w południowej Francji.



Śluzy Fonseranes to kaskadowy system ośmiu komór i dziewięciu wrót na Kanale Południowym w pobliżu Béziers.



Woda uspokaja, wprowadza w niemalże medytacyjny rytm przerywany tunelami.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Przeprawiamy się przez dziewięć śluz, nocujemy tam, gdzie nam się podoba, najlepiej w miejscach, w których nikt nie zakłóca muzyki świerszczy i cykad.



Cassoulet to tradycyjne danie mięsno-fasolowe z południowej Francji, duszone powoli z dużą ilością ziół.

Bez specjalnego wstępu Nikolas zaczął mi opowiadać o leniwych rozgrzanych miasteczkach, wolnym nurcie wody i platanach z łuszczącą się korą przypominającą szorstką skórę węża, którą pewnie chciałyby wymienić na nową. Była czwarta po południu, kiedy pochylałam się nad wielkim garem cassoulet, pełnym białej fasoli, mięsiwa i ziół, w maleńkiej Le Restaurant w Tuluzie, i czwarta z minutami, kiedy mój przypadkowy znajomy zaczął mnie przekonywać, że południową Francję trzeba zwiedzać z wody, bo tylko wtedy zrozumie się filozofię i styl życia ludzi, którzy tu mieszkają. Ich nieśpieszność, wielkie zamiłowanie do lokalnych smaków i życie zgodne z naturą. Sam mieszkał na łodzi, która od lat była jego domem i jedyną przestrzenią, jakiej potrzebował. Czasami wpuszczał do niej ludzi, których akurat spotkał na swojej drodze. – Chcesz? – usłyszałam, kiedy w garnku tej tłustej i sycącej langwedockiej potrawy podlanej winem pokazało się dno, a ja zeskrobałam jeszcze co nieco z jego powierzchni. Chciałam, choć przecież przyjechałam tu, żeby zobaczyć Arles, miejsce, w którym znudzony Paryżem van Gogh namalował swoje największe dzieła. Prowansję z pięknymi lawendowymi polami, łagodnymi pagórkami oraz kawą w słynnej kawiarni z tarasem – siadywał na nim Vincent i czasami rozkładał sztalugi. Na szczęście nie należę do osób przywiązujących się do planów, dlatego kiedy podał mi kask i wziął do ręki mój plecak, nie protestowałam. Droga zabrała nam około dwóch godzin. Port Cassafières, gdzie dojechaliśmy, to wielka przystań, na której mieszają się języki, zwyczaje, kultury i kolory skóry. Usiedliśmy w promieniach zachodzącego słońca, a Nikolas pokazał mi na mapie naszą trasę, która miała wieść przez Béziers, Capestang, Homps, Trèbes prosto do średniowiecznego miasta Carcasonne. Przez najpiękniejsze miejsca Langwedocji, do których mieliśmy dotrzeć kanałem du Midi, czyli Południowym. Po drodze, jak tłumaczył mój przewodnik, kilkadziesiąt śluz, czasami wielopiętrowych, które niczym ruchome schody albo winda pozwolą nam wyrównywać poziomy wód. Kanał Południowy to jedno z najbardziej okazałych osiągnięć epoki nowożytnej, które utorowało drogę rewolucji przemysłowej we Francji, i prawdziwy majstersztyk technologiczny. Był spełnieniem planów starożytnych Rzymian

ADOBESTOCK,SHUTTERSTOCK,GETTY IMAGES (2). POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Urokliwe otoczenie Kanału Południowego w Tuluzie zachęca do pieszych i rowerowych wędrówek.



Widok z lotu ptaka na trzystopniową śluzę w Trèbes na Kanale Południowym.

Cumujesz przy brzegu i już jesteś na lądzie. Nie szukasz noclegu na portalu, nie musisz mieć restauracji, w której zjesz w miarę tanio, bo ucztujesz na barce.



Starania konserwatorów pozwoliły zachować wiele zabytków Carcassonne.

o połączeniu Morza Śródziemnego z Atlantykiem i wielkim marzeniem barona Pierre'a Paula Riqueta, inżyniera i poborcy podatkowego, który tym odważnym pomysłem zaraził samego Ludwika XIV, Króla Słońce. Przy budowie sieci mostów, tuneli i akweduktów pracowało 12 tys. robotników, a koszty sięgnęły aż 50 mln franków w złocie. Kanał został otwarty pod koniec XVII w. i pełnił funkcje gospodarcze. Dziś jest najpopularniejszą drogą wodną Francji, którą odwiedzają nawet Australijczycy i Hindusi. Spotykamy ich w kolejnych śluzach. Bo czas śluzowania, wypełniania się kamiennych korytek wodą, to przecież doskonały moment, by zamienić kilka słów o podróży, polecić sobie miejsce na nocleg i dobrą knajpkę.

ŻYCIE W PŁYWAJĄCYM DOMU

Wyruszamy zwykle z samego rana, kiedy pierwsze promienie słońca zaczynają lizać rufę. Pływający dom Nikolasa nosi imię Amandine i jest zgrabną bareczką, w której spokojnie można gotować (mesa), wziąć prysznic, a na pokładzie przy drewnianych stolikach urządzić kolację. Jak proste jest takie życie, okazuje się już po kilku godzinach pływania. Cumujesz przy brzegu i hop, już jesteś na lądzie, nie szukasz noclegu na portalu, nie zaliczasz kolejnych muzeów, nie musisz mieć restauracji, w której zjesz w miarę tanio, bo ucztujesz na barce. Babcie w chustkach tłumaczą mi na migi, gdzie kupię jeszcze ciepłe bagietki i croissanty. Brzeg usiany jest maleńkimi rodzinnymi winiarniami, w których zaopatrujemy się w butelki genialnego trunku z lokalnego szczepu mauzac, w cydr i muskaty. Właściciele proponują jeszcze lokalne sery, szparagi, ostrygi i pomidory. Można także kupić mydła, szampony, oliwę. Nie liczymy czasu, odmierzają nam je śluzy i popołudniowe spacery w sennych miasteczkach, po których przechadzają się jedynie koty. Wąskie uliczki tworzą labirynty. Maleńkie kościółki i targi, gdzie można kupić lokalne wyroby wędliniarskie, ale i zjeść zupę rybną czy pastę z dorsza, zachwycają bezpretensjonalnością. Rolnicy owijają nam pęta kiełbasy w szary papier. Gryzę ją od razu, jest soczysta, znakomita, a mięso na wpół surowe, w sam raz dla wygłodniałych żeglarzy. Wszak woda zwiększa apetyt. Przeprawiamy się przez dziewięć imponujących śluz, nocujemy tam, gdzie nam się podoba, najlepiej w miejscach, w których nikt nie zakłóca muzyki świerszczy i cykad i gdzie w spokoju można pomyśleć o życiu. Przybijamy do miejscowości Poilhès i kierujemy kroki prosto do restauracji pomalowanej na różowo. Nazywa się Vinauberge. Nikolas wie, że można się tu napić genialnego wina z pobliskiej winnicy, zjeść szparagi i tartę morelową posypaną kruszonką z pistacji. Następnym punktem jest Capestang z potężną kolegiatą św. Stefana i witrażami, które przepuszczają światło do surowych wnętrz. Jej kamienna wieża wzbija się wysoko w niebo. Warto się na nią wdrapać, by z jej szczytu obejrzeć krajobraz okolicznych wsi i miasteczek. Woda uspokaja, koi niczym najlepszy opatrunek, wprowadza w niemalże medytacyjny rytm przerywany tunelami, przez które zgrabnie przeciska się Amandine. Są tak wąskie, że wystarczy podnieść rękę, by poczuć kamienne wyżłobienie i pomyśleć, że ktoś kilkaset lat temu walczył tu z naturą, by wydrzeć jej kawałek skały czy brzegu. Przepływamy przez Homes i Trèbes, nad którym góruje wieża kościoła św. Szczepana, przez kolejne mosty, zachwycamy się szczytami Pirenejów, kiedy na horyzoncie ukazują się 52 wieże średniowiecznej twierdzy. Jest potężna, majestatyczna, a ja już wiem, że dobrze zrobiłam, rezygnując z kawy w Arles. ■

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK(2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST **MICHAŁ CESSANIS**

RODZINNA PRZYGODA NA MORZU

POPŁYNĄŁEM W REJS PO MORZU ŚRÓDZIEMNYM. NIE SAM, LECZ Z RODZICAMI, I DO TEGO WIELKIM WYCIECZKOWCEM. TO BYŁO DLA NAS ZUPEŁNIE NOWE PODRÓŻNICZE DOŚWIADCZENIE.



Ze wzgórza La Garde w Marsylii, na którym wznosi się XIX-wieczna bazylika Notre Dame de la Garde, jest najlepszy widok na miasto oraz port.

23 REJSY MARZEŃ
HISZPANIA, WŁOCHY, FRANCJA



W restauracji Teppanyaki na statku dania przygotowywane są na oczach gości.



Piazza Navona to jeden z najbardziej znanych barokowych placów w Rzymie. To tutaj zobaczycie m.in. Fontannę Czterech Rzek z obeliskiem.



Jedna z restauracji na statku, w której podawane były śniadania.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Rowerzyści z Palmy de Mallorca lubią przejażdżki nadmorską promenadą Passeig Marítim z widokiem na katedrę La Seu.



Bouillabaisse to słynna aromatyczna zupa rybna wywodząca się z Marsylii, przygotowywana z różnych gatunków ryb morskich i owoców morza.

Ten rejs był marzeniem rodziców na 50. rocznicę ślubu i pewnie gdyby nie oni, sam bym się na niego nie zdecydował. Bo trudno było mi sobie wyobrazić – podróżuję przecież zawsze na własną rękę, decyduję o tym, co, gdzie i kiedy będę robił – spędzenie ośmiu dni w wielkim pływającym hotelu. Do tego te stereotypy, które we mnie siedziały: że to nuda i tylko dla seniorów, i że w tłumie pasażerów. Fakt, na naszym rejsie nie było ich mało, bo ponad 6 tys., ale wśród seniorów było sporo ludzi młodszych, także rodzin z małymi dziećmi. A atrakcji nie brakowało, dlatego o nudzie nie było mowy. Najciekawsza była jednak perspektywa codziennych pobudek w innych miejscach Europy i ich odkrywania.

STATEK PEŁEN ATRAKCJI

Wypływaliśmy z Barcelony, by w kolejnych dniach zawinąć do portów: Palma de Mallorca, Palermo, Civitavecchia – skąd odchodzi pociąg do Rzymu – Savona i Marsylia, by powrócić do stolicy Katalonii. Statek, którym płynęliśmy, Costa Smeralda, miał 19 pokładów, na których oprócz kabin pasażerskich znalazło się kilkanaście restauracji i tyle samo barów. Do tego centrum spa, siłownia, boisko sportowe, promenada ze sklepami, dwa teatry, w których wieczorami odbywały się przedstawienia i najróżniejsze pokazy, także operetkowe i tańca latino, co podobało się zwłaszcza rodzicom. Choć muszę przyznać, że popołudnia, kiedy wracaliśmy z codziennych wycieczek, najchętniej spędzaliśmy na ostatnim pokładzie na hamakach nad basenem tylko dla dorosłych. Był oddalony od aquaparku, w którym wodnym szaleństwom oddawały się dzieci oraz ich rodzice. A wieczorami, ubierając się w stroje koktajlowe, chodziliśmy na kolacje do restauracji, w której przydzielony mieliśmy stolik. W każdym porcie na naszej trasie organizowane były dodatkowo płatne wycieczki, z których korzystali rodzice, było to dla nich wygodne – mieli transport i przewodnika. Ja zaś w tym czasie podróżowałem tak, jak lubię, po swojemu. Doświadczając, a nie odhaczając – mając po jednym dniu w każdym z miejsc, i tak bym nie zobaczył wszystkiego.

ROWEREM PRZEZ PALMĘ

Najpierw miejskim autobusem mającym przystanek w porcie, a potem wypożyczonym rowerem ruszyłem przez Palmę de Mallorca, największe miasto Majorki i stolicę Balearów, co okazało się niezwykle proste. Miejscowi rowerzyści lubią przejażdżki nadmorską promenadą Passeig Marítim z widokiem na katedrę La Seu. Jest jedną z najwyższych katedr świata, budowaną przez niemal 400 lat, znaną nie tylko ze swej zachwycającej architektury (ostatnie dekoracyjne

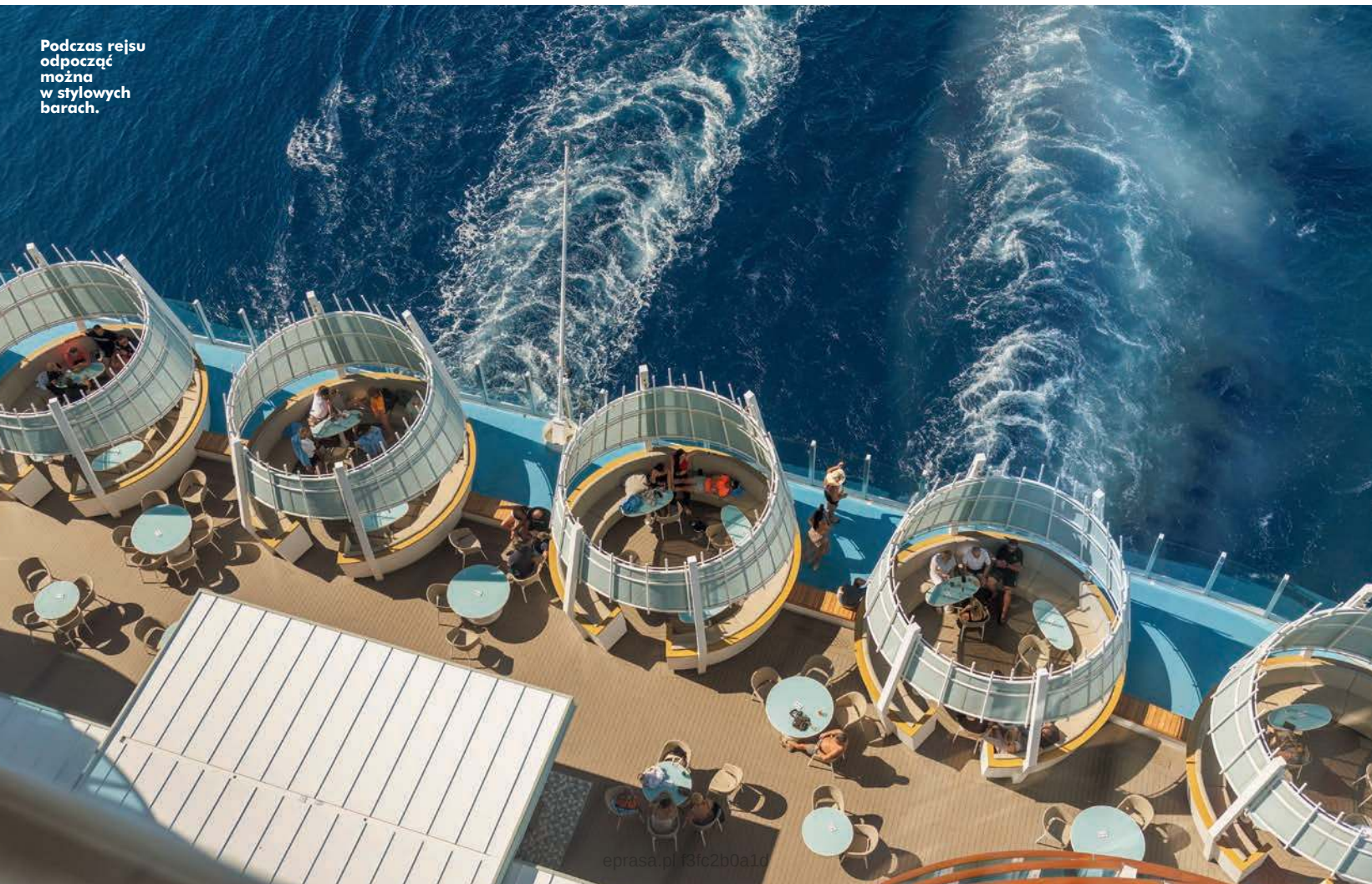
ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK,MATERIAŁY PRASOWE(2); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
HISZPANIA, WŁOCHY, FRANCJA



Futurystyczna bryła MuCEM, Muzeum Cywilizacji Europy i Morza Śródziemnego w Marsylii.



Podczas rejsu odpocząć można w stylowych barach.

eprasa.pl/3fc2b0a1d



Costa Smeralda to pierwszy na świecie statek zasilany płynnym gazem LNG, z zerową emisją zanieczyszczeń.

elementy dodał tu Antoni Gaudí), lecz także z Ojo del Gótico, „Oka Gotyku", największej wśród gotyckich katedr Europy witrażowej rozety – o średnicy niemal 14 m, złożonej z 1236 kawałków szkła. Jeszcze większe wrażenie świątynia robiła, gdy patrzyłem na nią z Parc de la Mar, będąc niemal u jej stóp. To park ciągnący się wzdłuż murów miejskich, do którego poprowadziła mnie nadmorska promenada. A potem odkrywałem malownicze uliczki Palmy, secesyjne kamienice i place. Dojechałem m.in. do Plaza Major, kulturalnego i handlowego serca Palmy, i do Plaça de Cort, przy którym stoi ratusz miejski. Lecz to nie on przykuwa uwagę podróżników, lecz rosnące tu drzewo oliwne, którego wiek szacowany jest na 800 lat. Miałem też czas, by pojechać do położonego na wzgórzu gotyckiego zamku Bellver, jedynej w Hiszpanii fortecy na planie koła, gdzie znajduje się muzeum miejskie i z której rozciąga się piękny widok na zatokę Palmę. Potem znów zjechałem do historycznego centrum, prosto do Mercado del Olivar – hali targowej. Zajadałem się hiszpańskimi dojrzewającymi szynkami, majorkańską kiełbasą (sobrasadą), serami, oliwkami. Na moim talerzyku znalazły się też uwielbiane przeze mnie pimientos de padrón – podsmażane na oliwie zielone papryczki posypywanymi morską solą. Późnym popołudniem wróciłem na statek.

PALERMO DLA SMAKOSZY

Wizyta w hali targowej w Palmie była przedsmakiem tego, co czekało na mnie na Sycylii, a z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Miałem w głowie obraz Palermo jako miasta o wielkiej historii, z mnóstwem pałaców (na czele z Palazzo dei Normanni, który był siedzibą królów Sycylii) oraz kościołów (tych jest ponad sto, a wśród nich ten najważniejszy – Cattedrale di Palermo, z której dachu można podziwiać panoramę miasta). Miasta wielu stylów architektonicznych, ale też upału i włoskiego harmidru. Nie miałem jednak świadomości, jakie pyszne to miejsce. Spacerując Via Maqueda, główną ulicą historycznego centrum, wachlując się papierową mapą, doszedłem m.in. do monumentalnego Teatro Massimo z XIX w., największego teatru operowego we Włoszech, przed którym postój mają konne bryczki. Dalej był Piazza Vigliena, plac znany bardziej jako Quattro Canti (plac „Czterech Kątów"). Stoją tu cztery barokowe pałace z początku XVII w. Ich elewacje są niemal identycznie. Znajdują się na nich m.in. figury czterech hiszpańskich królów Sycylii oraz świętych patronek miasta. Uprzedzam jednak, że to miejsce niezwykle zatłoczone i głośne (przy dwóch pałacach grały jednocześnie dwa zespoły muzyczne). Znacznie spokojniej było na położonym kilka kroków dalej Piazza Pretoria z najbardziej znaną fontanną na Sycylii, choć tego dnia nieobleganą przez turystów. To Pretoria z XVI w., zbudowana we Florencji, lecz odkupiona przez władze Palermo w 1587 r., które chciały upiększyć miasto. Ozdobiona kilkunastoma nagimi figurami nimf, syren i olimpijskich bogów wśród pruderyjnych mieszkańców wywoływała na początku nie zachwyt, lecz oburzenie – zaczęli ją nazywać Fontana della Vergogna, czyli „Fontanną Wstydu". Dziś jest podziwiana, podobnie jak otaczające ją budynki – Palazzo Pretorio, w którym urzęduje burmistrz Palermo, czy neoklasycystyczny Palazzo Bonocore, gdzie oglądać można kolekcję sztuki sycylijskiej. Najwięcej czasu spędziłem jednak na Mercato del Capo. Pomyślicie, że to z łakomstwa, ale ja będę twierdził, że to przez rozleniwiający upał miałem ochotę zasiąść w jednym z barów na tym targu i zjeść coś dobrego. Tym bardziej że sycylijski street food jest wymieniany wśród dziesięciu najlepszych na świecie. Tak więc najpierw na moim talerzu wylądowały krokiety ziemniaczane z miętą, a potem roladki z sardynek i gotowana ośmiornica. Na szczęście zostawiłem sobie nieco miejsca na arancini, sycylijskie smażone panierowane ryżowe kulki nadziewane mięsem i mozzarellą, którymi mógłbym się zajadać bez końca. Jednak koniec przyszedł wraz ze zjedzeniem na deser cannolo, chrupiącej rurki wypełnionej kremem z serem ricotta. Jakie to wszystko było pyszne! Ale po takich doznaniach zdecydowanie potrzebowałem odpoczynku.

JA ZOSTAJĘ NA STATKU

W Rzymie byłem kilka razy, dlatego tym razem na wycieczkę pociągiem z portu Civitavecchia pojechali do niego rodzice. Ich marzeniem były zdjęcia przed fontanną di Trevi i na Schodach Hiszpańskich, wśród ogromnych donic z kwiatami, jakie na nich ustawiono. A potem mocne espresso w jednej z kafejek w pobliżu Panteonu i zobaczenie Zamku Świętego Anioła.

GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d

Po godzinnej podróży elektrycznym składem dotarli na stację San Pietro w Watykanie, zaledwie chwilę spaceru od placu św. Piotra, by sprzed bazyliki ruszyć na zwiedzanie Rzymu i zobaczyć tych kilka obowiązkowych punktów w mieście zakochanych. Zjedli także pizzę w restauracji Sugo przy Via di Propaganda 22, która im smakowała, i prosili, abym ją wam polecił. A co ja robiłem w tym czasie? Zwiedzałem... statek. To był dobry moment, by na spokojnie, z mapką, jaką otrzymałem przy zaokrętowaniu, lepiej poznać wycieczkowiec (sporo pasażerów wybrało się tego dnia na różne zorganizowane wycieczki). Także poopalać się na górnym pokładzie, skosztować włoskich deserów i drinków z palemką, pospacerować szklaną kładką widokową nad ostatnim pokładem, by spróbować wzrokiem objąć cały statek. A po południu skosztować, a jakże, pizzy w pizzerii Pummid'Oro. Byłem więc tak samo zadowolony z mojego dnia na statku jak rodzice ze zwiedzania Wiecznego Miasta.

Miałem w głowie obraz Palermo jako miasta o wielkiej historii. Nie miałem jednak świadomości, jakie pyszne to miejsce.



Tradycyjne sycylijskie cannoli wypełnione kremową ricottą i kandyzowanym cedrem to jeden z najsłynniejszych deserów wyspy.

GENUA Z GÓRY NA DÓŁ

Wczesnym rankiem zacumowaliśmy w Savonie. Tym razem z rodzicami (mieli już przesyt zorganizowanych wycieczek) pojechaliśmy autobusem do Genui, największego miasta Ligurii, by najpierw z góry, a potem z dołu nieco je poznać. Zaczęliśmy od Spianaty Castelletto, tarasu zawieszonego nad historycznym centrum, z widokiem na miasto będące niegdyś włoską potęgą morską. Wjechać tu można secesyjną windą z Piazza Portello w pobliżu Via Garibaldi, jednej z najważniejszych ulic z okazałymi pałacami z fasadami ze stiuku i marmuru należącymi dawniej do majętnych kupców. Zachwycał się nimi m.in. flamandzki malarz Peter Paul Rubens, który na początku XVII w. opublikował zbiór rysunków tych eleganckich budynków, wyznaczając kanon arystokratycznych rezydencji w całej Europie. Patrzyliśmy na dachy starych domów, średniowieczne wieże i barokowe kopuły świątyń. À propos nazwy tego miejsca, Castelletto to po włosku mały zamek. Nazwa dzielnicy na wzgórzach Genui zawdzięcza ją twierdzy stojącej niegdyś w tym miejscu (pierwsze o niej wzmianki pochodzą z X w.), lecz rozebranej w XIX w., by zrobić miejsce pod kamienice w rozrastającym się mieście. Gdyby nie fakt, że mieliśmy mało czasu, to w spokojnym, zielonym Castelletto, zajadając focaccię polaną oliwą i posypaną grubą solą (ten popularny w całych Włoszech placek swoje korzenie ma właśnie w Ligurii), moglibyśmy zostać dłużej. Ale czekał na nas Piazza de Ferrari, główny plac Genui z wielką fontanną, przy którym stoi Palazzo Ducale, Pałac Dożów Genui, a potem dom, a właściwie XVII-wieczna replika domu Krzysztofa Kolumba przy Piazza Dante, w którym zgromadzono pamiątki po pochodzącym stąd żeglarzu. Po przejściu przez Porta Soprana, średniowieczną bramę miejską prowadzącą na stare miasto, i po wypiciu kawy w podłym barze, nieco już zmęczeni pojechaliśmy odpocząć do Boccadasse. To dawna wioska rybacka, a dziś dzielnica Genui z małym portem, kamienistą plażą i kolorowymi domkami. W jednej z tutejszych lodziarni oddaliśmy się chwili przyjemności i zjedliśmy gigantyczne porcje lodów.

POCZTÓWKA Z MARSYLII

Przyznaję, że w Marsylii, stolicy regionu Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże, naszym ostatnim przystanku podczas rejsu, zobaczyliśmy mniej, niż chcieliśmy. Może dlatego, że po tylu wrażeniach w innych miastach mieliśmy coraz mniej miejsca na kolejne? A może dlatego, że poprzedniego wieczora na statku zatraciliśmy się w tańcu w filmowym barze Mastroianni? Byliśmy co prawda w bazylice Notre Dame na wzgórzu La Garde, podziwialiśmy też Łuk Triumfalny postawiony w 1784 r. dla uczczenia Ludwika XIV i upamiętnienia pokoju paryskiego (1783 r.), a później XIX-wieczny pałac Longchamp (tutaj mieszczą się Muzeum Sztuk Pięknych i Muzeum Historii Naturalnej). Byliśmy też w MuCEM – Muzeum Cywilizacji Europejskiej i Śródziemnomorskiej, którego nowoczesną bryłę połączono z zabytkowym Fortem św. Jana z XVII w. A w pobliskim sklepiku zrobiliśmy zapasy mydła marsylskiego (lawendowego i oliwkowego) na cały rok. Listę miejsc do odwiedzenia mieliśmy oczywiście znacznie dłuższą, ale rodzice, podobnie jak ja, też wolą doświadczać, niż odhaczać. Dlatego resztę czasu spędziliśmy przy stoliku w restauracji La Daurade przy placu Thiars, kosztując ryb, owoców morza i szampanem wnosząc toasty za szczęśliwe życie. I było nam razem tak dobrze, że omal nie spóźniliśmy się na statek odchodzący do Barcelony. ■

GETTY IMAGES (2), ADOBESTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Czerwone kopuły XII-wiecznego San Giovanni degli Eremiti, perły arabsko-normańskiego Palermo wpisanego na listę UNESCO.



Stragany z lokalnymi owocami i warzywami wypełniają targ Ballarò w Palermo – jedno z najbarwniejszych miejsc w mieście.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
HISZPANIA, PORTUGALIA



TEKST **MATEUSZ KUBIK**

Z PRZYJAZNYM WIATREM

ŻEGLARSKA PODRÓŻ WOKÓŁ PÓŁWYSPU IBERYJSKIEGO DOSTARCZA EMOCJI. PŁYNĄ Z NAMI DELFINY, A W GWARNYCH PORTACH CZEKAJĄ WINO I ŚWIETNA KUCHNIA.



Widok na schody na San Juan de Gaztelugatxe, skalistej wyspie w Zatoce Biskajskiej w Kraju Basków. 237 schodów prowadzi do kaplicy wzniesionej przez templariuszy.

23 REJSY MARZEŃ
HISZPANIA, PORTUGALIA



Wiatr dmie w białe żagle jednego z licznych jachtów w Zatoce Biskajskiej.



Cataplana to tradycyjna portugalska potrawa z owocami morza, rybami i warzywami.



Azenhas do Mar, nadmorska wioska na wybrzeżu Portugalii, jest malowniczo położona na klifie.

Podróż zaczynamy jeszcze we Francji, w porcie St. Malo. Przygotowujemy jacht, przeprowadzamy niezbędne naprawy, montujemy nową śrubę i wypływamy. Przed nami Zatoka Biskajska. Tu nigdy nie można być pewnym, na jakie warunki się trafi. I rzeczywiście, nad Biskajami szaleją niż za niżem, a my musimy precyzyjnie wstrzelić się w okno pogodowe. Inaczej zamiast przyjemnej podróży będziemy mieli potwornie ciężką walkę| z przeciwnym wiatrem i stromą falą. Na szczęście udaje się – dzięki dostępowi do map pogodowych przez telefon satelitarny. Płyniemy szybko, bez przeszkód, a towarzyszą nam nieodłączne delfiny – ich wesołe stada niemal co wieczór pojawiają się obok naszej łódki.

NIEBIESKA POŚWIATA

Cztery dni później wita nas widok na Wieżę Herkulesa, starożytną latarnię wzniesioną przez rzymskie imperium, po dwóch tysiącach lat wciąż prowadzącą statki ku brzegowi. Jesteśmy w La Coruñi, galisyjskim porcie – miejscu żeglarskich spotkań i odpoczynku przy tapasach i winie. Możemy tu odpocząć, zebrać siły na dalszą drogę – wzdłuż wybrzeża Portugalii. Marina jest położona przed wejściem do głównego portu, w zatoce we wschodniej części miasta. Cumujemy przy wygodnym pomoście, żeby nabrać paliwa i wykonać niezbędne naprawy. Wszystko zachęca, żeby przyjrzeć się miastu. A jest naprawdę malownicze, głównie za sprawą światła. Mocnego, kontrastowego, z lekko niebieską poświatą. Nie widziałem takiego nigdzie indziej. Może miało ono wpływ na twórczość młodego Pabla Picassa, który uczył się w tym mieście i węglem szkicował portrety przechodniów? Sama marina jest nieco oddalona od centrum, można więc z niej ruszyć na spacer przez port promowy, prosto na główną promenadę, albo przejść wzgórzem na północ, do Wieży Herkulesa, żeby potem zejść w dół. Zarówna krótsza, jak i dużo dłuższa droga doprowadzą nas w końcu w rejony centrum i do zatoki Orzán, która jest też miejską plażą. Woda najczęściej jest tam chłodna, w końcu to północny Atlantyk – ale zawsze znajdzie się kilku chętnych, żeby z krzykiem wbiec do morza i po chwili z niego wybiec. Miasto tętni życiem i pachnie jedzeniem. Ja przystaję tu najczęściej na gambas al ajillo – krewetki z czosnkiem, i kieliszek białego wina przy Calle Estrella, zagłębiu knajpek i restauracji. Lubię La Coruñę. To miasto, w którym zawsze odpoczywam. Są tu całkiem niezłe warunki do surfingu, można też pożyczyć samochód i zwiedzić położone w pobliżu malownicze rybackie wioski albo przejść się leniwym krokiem najdłuższą promenadą w Hiszpanii – ma ponad 15 km. Warto spędzić więcej czasu w tym nienachalnie pięknym mieście, gdzie średniowieczna zabudowa płynnie łączy się z nowoczesną architekturą. Tym razem jednak La Coruña jest dla nas tylko miejscem startu, pierwszym etapem podróży z wiatrem – dalej na południe. Do Lizbony.

NAD DUERO

Wypływamy w słoneczny wrześniowy poranek. Poprzedniego dnia kupiliśmy prowiant, świeże owoce i warzywa, zatankowaliśmy wodę i sprawdziliśmy wszystko na jachcie. Pogoda ma nam sprzyjać. Trasa, która wiedzie z La Coruñi na zachód, do przylądka Finisterre, a potem na południe, do Lizbony, jest piękna – z malowniczym wybrzeżem, niezliczonymi zatoczkami kryjącymi urocze rybackie miasteczka i wysokimi brzegami. Żeglarze uwielbiają tę trasę z jeszcze jednego powodu – oferuje sprzyjające północne wiatry. Niestety często także wysoką i stromą falę. Nie na darmo jedne z najlepszych warunków do surfingu na dużych falach znajdziemy właśnie tutaj, na atlantyckim wybrzeżu Portugalii. Jest to też trasa, na której jachty muszą szczególnie uważać. Liczba rybackich kutrów operujących przy brzegu, wystawionych sieci i pływających przeszkód jest nadzwyczaj duża. Stąd kolejne dni rejsu wypełnia wytężona praca. Obserwujemy wodę wokół łodzi, starannie przygotowujemy się do mijanek z kutrami. Po cichu błagamy morskie bóstwa, by coś nie zaplątało się nam w śrubę. W nocy o to nietrudno, o czym przekonało się już wielu naszych pływających znajomych. Minąwszy przylądek Finisterre, zmieniamy kurs – na południowy. Wiatr lekko tężeje, ale nam w to graj – załapiemy się na „windę" na południe, przyjemnym baksztagowym

Pogoda nam sprzyja. Malownicza trasa wiedzie z La Coruñi na zachód, do przylądka Finisterre, a potem na południe, do Lizbony.



Menhiry Pokoju w La Coruñi to instalacja składająca się z dziesięciu granitowych monolitów. Stworzył ją galisyjski artysta Manolo Paz. Układ kamieni symbolizuje więź między pokoleniami.

SHUTTERSTOCK (3), GETTY IMAGES; POPRZEDNIE STRONY: GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Wzniesiona przez Rzymian Wieża Herkulesa w La Coruñi to jedna z najstarszych na świecie działających latarni morskich.

kursem. Wiatr, który wieje nam w plecy, jest ciepły, a jacht prowadzi się lekko i szybko. Mijamy hiszpańskie miasto Vigo i już dwie doby później zatrzymujemy się w Porto. Nie wpływamy do rzeki, czyli do centrum miasta, tylko stajemy w marinie na północy, w Leixões, na obrzeżach. Surowe portowe otoczenie kontrastuje z pocztówkową plażą, o którą uderzają potężne fale. Wokół jest kilka uroczych knajpek z doskonałym jedzeniem. Przede wszystkim zaś nie jest to miejsce turystyczne. Zwłaszcza po sezonie. Po spacerze wzdłuż portu i pokonaniu mostu można wskoczyć do tramwaju bądź autobusu i udać się na zwiedzanie. Warto też zahaczyć o kawiarnię i księgarnię z magazynami blisko pętli tramwajowej. Specjalizują się w przelewowej kawie i różnych niskonakładowych, kolekcjonerskich magazynach podróżniczych. Czasem tylko trudno jest się odnaleźć w większym mieście po całych dniach morskiej samotności; nawet jeśli to tak przyjemne miejsce jak Porto. Po czasie spędzonym na nasłuchiwaniu fal, wiatru w takielunku, pracy kadłuba, ptaków i gadania delfinów hałas, jaki produkuje miasto, bywa przytłaczający. Dlatego my nasze pierwsze kroki kierujemy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej – Serralves, które nie tylko ma doskonałą ekspozycję, ale też jest architektoniczną perełką zaprojektowaną przez jednego z najsłynniejszych współczesnych architektów – Álvara Sizę Vieirę. Tuż obok znajduje się ogromny nastrojowy park z piękną willą w stylu art déco pośrodku. Przede wszystkim jednak – jest tu cicho. Nasyceni sztuką i przestrzenią mamy czas na popołudniowy surfing. W Porto najładniejsze są okolice rzeki Duero. Na obydwu jej brzegach malowniczo układają się kolejne poziomy zabudowy. Nad rzeką warto zboczyć z trasy i poszukać lokalnych knajp, gdzie nie uświadczymy turystów. Tam, na stołach pokrytych ceratą, w towarzystwie roześmianego tłumu można zjeść miejscowe przysmaki, szczególnie bacalhau – suszonego i solonego dorsza. Spędzamy cały wieczór, szwendając się po wąskich i stromych uliczkach, próbując porto i patrząc na górujące nad rzeką rozświetlone miasto. Z żalem będziemy je opuszczać. Ale cóż, taka dola żeglarza...

JAK PAPROSZEK

Pogoda nadal nas rozpieszcza i po krótkim slalomie między sieciami ruszamy południowym kursem. Chwilowo nie ma rybaków, a my rozkoszujemy się wysoką falą i pchającym nas od rufy wiatrem. Trasa do Lizbony zajmuje nam niecałe dwie doby. Dwie wypełnione są nasłuchami radiowymi. Nasza trasa i jej termin pokrywają się z drogą regat samotników: Mini Transat. Małe, 6,5-metrowe łódki płynące na Kanary,

SHUTTERSTOCK.GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Skalne łuki na Playa de Las Catedrales nad Zatoką Biskajską w hiszpańskiej Galicji wznoszą się z piasku niczym w gotyckiej katedrze.

eprasa.pl/13fc2b0a1d



Nie sposób się oprzeć portugalskim słodyczom. Słodkie ciastka kuszą przechodniów w dzielnicy Bairro Alto.



Wzgórze Lizbony z zamkiem św. Jerzego to najwyższy punkt historycznego centrum miasta.



Latarnia morska Santa Marta i muzeum miejskie w Cascais w pobliżu Lizbony. Latarnia ma unikalną kwadratową wieżę.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Jej wyjątkowe położenie sprawia, że Lizbonę nazywa się Miastem Siedmiu Wzgórz. Słynie ze stromych ulic i wspaniałych punktów widokowych.



Ginja de Óbidos to tradycyjny portugalski likier wiśniowy. Często serwowany jest w jadalnych kubeczkach z czekolady.

a stamtąd na Karaiby, do Le Marin na Martynice, napotkały trudne warunki. My też zaczynamy się trochę spinać, bo wiatr tężeje coraz bardziej, a fala już dawno przestała być komfortowa. Jeden ze startujących ma awarię płetwy sterowej i musi zawinąć do Cascais, mariny na północ od Lizbony. Spotkamy się tam z nim za jakiś czas. Na razie walcząc we czwórkę na coraz silniejszym wietrze, pędzimy na południe. Cieszymy się, że nie nadpływamy od strony Azorów – wtedy musielibyśmy przed miastem przekraczać rutę, czyli wodny szlak dla wielkich statków. Dziesiątki ich płyną z południa i z północy, a mała łódka pomiędzy nimi jest jak paproszek. W takich miejscach jacht nie ma pierwszeństwa i musi ten niegościnny obszar opuścić najszybciej, jak się da. Nie jest to przyjemne doświadczenie.

ZEW MORZA

Dobijamy do Cascais – urokliwego miasteczka z luksusową i drogą mariną. Miło będzie wziąć prysznic i zasiąść przy stole, po którym rzeczy nie przemieszczają się chaotycznie w każdą stronę. To dobra baza wypadowa, kiedy nie ma się czasu na operację wpływania w rzekę i szukania miejsca dla jachtu w samej Lizbonie. Z Cascais można wsiąść w wygodną kolejkę i raz-dwa wylądować w centrum miasta. Na szczęście mamy trochę czasu i na korzystnym prądzie kierujemy się do mariny Alcântara, obok mostu nad rzeką Tag. Żeby wpłynąć do mariny, trzeba pokonać śluzę, a potem znaleźć miejsce w wewnętrznym basenie. Nie jest to łatwe – lizbońskie mariny są zwykle zatłoczone. Mamy farta! Zostało ostatnie miejsce dla jachtu naszej wielkości. Wklejamy się na styk między dwie inne łódki. Pora coś zjeść, idziemy więc na Time Out Market – to jedna z atrakcji Lizbony. Stylowy bazar pełen jest restauracji, barów i sklepów. Na początek ostrygi, potem – kanapka na ciemnym pieczywie ze świeżym, ledwo tylko przysmażonym tuńczykiem i odrobiną wędzonej soli. Rewelacja! Wieczór spędzamy w restauracji O Magano w dzielnicy Campo de Ourique – jeżeli tylko znajdziecie się w Lizbonie, idźcie tam koniecznie. Cicha okolica, z dala od miejskiego zgiełku. Przemili ludzie i fantastyczna, typowo portugalska kuchnia. Syci i zmęczeni zastanawiamy się, czy dojdziemy do naszego pływającego domu o własnych siłach. Następnego dnia przemierzamy typową ścieżkę turysty w Lizbonie – muzeum azulejos, katedra Sé, wieża Belém, klasztor Hieronimitów, winda Santa Justa. Ale czujemy już zew morza – przecież stąd tylko rzut beretem na Kanary. ■

GETTYIMAGES(4)

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
ISLANDIA



eprasa.pl f3fc2b0a1d



Humbaki to jedne z tych wielorybów, które możemy podziwiać w zatoce Skjálfandi.

TEKST **SERGIUSZ PINKWART**

WIELKIE PIĘKNO

DAWNIEJ BYŁY ŹRÓDŁEM POŻYWIENIA, DZIŚ SĄ PRZEDE WSZYSTKIM ATRAKCJĄ BEZKRWAWYCH MORSKICH SAFARI. SZCZEGÓLNIE NA PÓŁNOCY ISLANDII, W UROCZYM HÚSAVÍKU.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Droga wznosi się i opada. Po jednej stronie rozlewa się zielona wyżyna, po drugiej – granatowa tafla Morza Grenlandzkiego. Łagodnymi łukami jedziemy na południe, w głąb szerokiej zatoki. – Nazywa się Skjálfandi, czyli „Zatoka Wstrząsów" – wyjaśnia kierowca Oskar, po czym nagle wykrzykuje: – Wieloryby! – Podążam wzrokiem za jego wyciągniętą ręką w stronę zatoki. Na gładkiej tafli dostrzegam kilka ciemnych plam. Poruszają się powoli, pozostawiając za sobą jasny tor. Od czasu do czasu wyłaniają się na powierzchnię, a potem znowu znikają w morskiej toni. Wytężam wzrok, ale nie udaje mi się ujrzeć zbyt wielu szczegółów. Dzieli nas kilka kilometrów. A jednak już sam fakt, że je dostrzegam, świadczy o tym, jak wielkie muszą być. Wstrzymuję z ekscytacji oddech. Może wkrótce uda mi się spotkać z nimi twarzą w twarz?

Mieszkańcy obchodzą Mærudagar, czyli „Dni Cukierków", jedyny w swoim rodzaju lokalny festyn.



Zupa z homara to sztandarowa potrawa na wyspie. Jest bardzo sycąca i serwowana z dodatkiem innych owoców morza.

W ZATOCE DOMÓW, CZYLI W HÚSAVÍKU

Chwilę później dojeżdżamy do Húsavíku. Jest spokojne letnie popołudnie, nie wieje islandzki wiatr, a powietrze zaskakuje ciepłem, którego zwykle tutaj się nie doświadcza. Skąpane w promieniach słońca miasteczko wygląda jak wyjęte z folderu reklamowego. U stóp wyrastającej nad portem góry Húsavíkurfjall (417 m) pięknie wyglądają drewniane domy o kolorowych ścianach i białych okiennicach, a w wodach zatoki niczym w zwierciadle odbija się biała fasada z czerwonym szachulcem kościoła z 1907 r. To wyjątkowy dzień, nie tylko z powodu pogody. Mieszkańcy obchodzą Mærudagar, czyli „Dni Cukierków", jedyny w swoim rodzaju lokalny festyn. Nie sposób tego nie zauważyć: całe miasto przyozdobione jest kolorowymi proporczykami, chorągiewkami i plakatami. Centrum – zielonymi, północna część – pomarańczowymi, a południowa – różowymi. Główna droga prowadzi do portu. Zatrzymujemy się przy nabrzeżu. To tutaj bije serce miasta. Na scenie grają popularne islandzkie zespoły, z wesołego miasteczka dobiega śmiech dzieci. Jest głośno, wesoło i tłoczno, zupełnie jakby zgromadziła się tutaj duża część z ponad 2 tys. mieszkańców. Dziś kolor ich ubrań zdradza, z której dzielnicy pochodzą. Z każdą chwilą jest ich coraz więcej. Pozdrawiają się z uśmiechem i wygląda na to, że wszyscy

ADOBESTOCK (2), GETTYIMAGES (2); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Húsavík to jedno z najlepszych miejsc nie tylko w Europie, ale i na świecie do obserwacji wielorybów.



Ryba z frytkami to danie popularne również na Islandii.



Islandzkie konie to jedna z najczystszych ras na świecie. Przybyły na wyspę wraz z wikingami.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

się znają. Panuje luźna, przyjazna atmosfera. Dosiadam się do jednego ze stolików. – Witaj w islandzkiej stolicy wielorybów! – mówi do mnie uśmiechnięty potomek wikingów. – Nie, nie tylko w islandzkiej, ale w europejskiej! – poprawia go towarzysz zabawy. – Jeśli przyjechałeś w poszukiwaniu wielorybów, to lepiej nie mogłeś trafić. Piję pyszną kawę i zajadam słodkie ciasteczka, patrząc, jak przy nabrzeżu delikatnie kołyszą się zacumowane kutry. Dawniej przy ich pomocy rybacy polowali na wielkie morskie ssaki. Dziś służą do bezkrwawych morskich safari. Húsavík ma długą historię. Średniowieczna *Księga o zasiedleniu* (*Landnámabók*) przywołuje opowieść o szwedzkim wikingu Garðarze Svavarssonie, który opływając wyspę między 860 a 870 r., a więc jeszcze przed oficjalnym początkiem osadnictwa, miał się zatrzymać w okolicy i spędzić tutaj zimę. Garðar wybudował kilka domów i pozostawił trzech załogantów. Wiele wieków później osada rozwija się w ważny port rybacki i wielorybniczy. Rośnie liczba ludności, mieszkańcy się bogacą. W 1950 r. Húsavík uzyskuje prawa miejskie. W 1998 r. rozpoczyna się nowy rozdział w historii miasta – ruszają wyprawy w poszukiwaniu wielorybów dla turystów. Dziś przyciągają one rocznie nawet 100 tys. gości z całego świata.



GETTY IMAGES

W POSZUKIWANIU WIELORYBÓW

Na nabrzeżu Húsavíku uwijają się pracownicy portu i obsługa kutrów. Pogoda staje się bardziej „islandzka” – wiatr goni po niebie obłoki, na zmianę odsłaniając i zasłaniając płaty błękitnego nieba. Zaglądam do biura jednej z firm organizujących rejsy w poszukiwaniu wielorybów. Mam szczęście – jest wolne miejsce. – W sezonie często trzeba rezerwować z wyprzedzeniem – tłumaczy sprzedawczyni. Kupuję bilet i o ustalonej godzinie wraz z kilkunastoma innymi pasażerami wdrapuję się na pokład tradycyjnego kutra rybackiego, który przerobiony został na statek wycieczkowy. Przebieram się w czerwony wodoodporny kombinezon, który chroni nie tylko przed wilgocią, ale również zapewnia ciepło. Po chwili wszyscy jesteśmy gotowi. Możemy wypływać. – Rejsy w poszukiwaniu wielorybów odbywają się zwykle od początku kwietnia do końca listopada – tłumaczy przewodniczka i natychmiast dodaje: – O ile pozwala na to pogoda, bo zdarzają się dni, gdy wiatr i wysokie fale to uniemożliwiają. Dziś tafla wody w zatoce nie przypomina lustra, ale według

eprasa.pl f3fc2b0a1d



W zatoce Skjálfandi szanse na zobaczenie wielorybów wynoszą blisko 99 proc. A najlepszy okres na ich podglądanie to kwiecień–październik.

miejscowych armatorów warunki do rejsu są doskonałe. Szczyt sezonu oglądania wielorybów przypada na okres od maja do września. W tym czasie do Zatoki Wstrząsów wpływa najwięcej tych wielkich morskich ssaków. – Zaobserwowano tutaj ponad 20 gatunków wielorybów – wyjaśnia przewodniczka. – Wśród nich te największe: płetwale błękitne. Oprócz nich płetwale karłowate, morświny, humbaki i delfiny. Silnik mruczy, a nasza krypa delikatnie się kołysze. Port jest coraz dalej. Przed nami coraz wyraźniej wyrastają strome zbocza gór Kinnarfjöll.

CO ZA PRZEŻYCIE!

Tymczasem przewodniczka przez lornetkę przeczesuje zatokę.
– Proszę wypatrywać fontanny wody – instruuje pasażerów. Wbijam wzrok w granatową taflę. Wtem w oddali z głębiny tryska woda. Zaraz potem ukazuje się ciemny owal. – Jest, jest!

eprasa.pl f3fc2b0a1d

Húsavík jest często uznawany za miejsce pierwszej osady na Islandii. Według sag szwedzki wiking Garðar Svavarsson zimował tu już w 864 r.

GeoSea – geotermalne kąpielisko morskie w Húsavíku, położone na klifie z widokiem na zatokę i koło podbiegunowe.

eprasa.pl/1/e200a1d

– wykrzykują pasażerowie. Ruszamy w tamtą stronę i chwilę później owalny kształt wynurza się na powierzchnię. Widzę oczy, pysk i długi tułów. Wieloryb płynie wzdłuż naszej burty. Jest tak blisko. – To długopłetwiec oceaniczny, czyli humbak – tłumaczy przewodniczka. Nagle powietrze przeszywa dźwięk przypominający mruczenie krowy, a potem przeciągłe popiskiwanie, które odbija się od wzgórz i wraca zwielokrotnionym echem. Przewodniczka przykłada palec do ust i szeptem mówi: „Wieloryb śpiewa". Na kutrze zapada cisza. Te dźwięki są tak przejmujące, że zamieram w bezruchu niczym zahipnotyzowany. Na plecach czuję ciarki. Dużo dałbym za informację, o czym śpiewa nasz towarzysz. Niespodziewanie wygina ciało, ukazując głowę, a potem nurkuje. Zanim zniknie pod wodą, macha jeszcze olbrzymią płetwą ogonową. Rozlegają się oklaski i radosne okrzyki pasażerów. Przyłączam się do nich. Spotkanie z wielorybem jest wielkim przeżyciem. Spoglądam na zegarek. Jesteśmy na morzu już od dwóch godzin. Nadchodzi czas powrotu. Znów jednostajnie mruczy silnik. Popijam gorącą czekoladę i zajadam kleinura, czyli islandzkiego faworka. Trzy kwadranse później dobijamy do nabrzeża, zdejmujemy kombinezony – przydały się na morzu, i znów stoimy na twardym lądzie.



Gatanöf, łuk wyrzeźbiony w bazaltowych klifach, znajduje się na przylądku Bakkahöfði, 3 km na północ od centrum Húsavíku.

MUZEUM WIELORYBÓW

Podróż szlakiem wielkich morskich ssaków nie byłaby kompletna bez wizyty w jeszcze jednej atrakcji Húsavíku – słynnym Muzeum Wielorybów. Mieści się ono tuż obok portu, w odrestaurowanym budynku dawnej rzeźni. Zanurzam się w jego wnętrzu. Moją uwagę zwraca kolorowa mapa na ścianie. Podchodzę bliżej i odczytuję podpis: „Mapa Islandii z 1585 r. z albumu *Theatrum orbis terrarum*". Jego autorem jest słynny flamandzki kartograf Abraham Ortelius, mapę zaś przypisuje się Guðbrandurowi Þorlákssonowi, biskupowi luterańskiemu, autorowi pierwszego islandzkiego kodeksu praw i tłumaczenia na islandzki Starego Testamentu. Tym, co przykuwa mój wzrok, są stwory pływające w wodach wokół wyspy: jeden z nich ma koński pysk i smoczy ogon, inny – świński ryj pełen ostrych jak brzytwa kłów i rybie płetwy. Z czerepów niektórych z nich tryskają fontanny wody. To morskie istoty, w tym wieloryby, jak narwal opisany imieniem Nahual ze skręconym jak spirala kłem, który Islandczycy przez wiele wieków sprzedawali kupcom z Europy jako róg jednorożca. Sproszkowany miał stanowić doskonałe remedium na zatrucia i impotencję. – Wieloryby od zawsze były blisko nas – wyjaśnia pracownica muzeum. – Polowaliśmy na nie, jedliśmy je, opisywaliśmy w sagach. Przez stulecia wyrzucony przez morze osobnik mógł uratować osadę przed głodem. To potężne i piękne ssaki. Zresztą zobacz sam – dodaje i prowadzi mnie do szkieletu płetwala błękitnego. Jest olbrzymi – ma 25 m długości, a w jego wnętrzu zmieściłby się niejeden dorosły człowiek. Za chwilę stajemy przed jego mniejszym kuzynem – płetwalem karłowatym, który – pomimo nazwy – ma 7 m długości. Na piętrze podziwiam kolejne szkielety: kaszalota, grindwala, orki i humbaka, którego przed chwilą widziałem na żywo. Wystawa w muzeum opisuje również polowania na morskie ssaki. Dawniej było to niebezpieczne zajęcie, w którym człowiek często stawał do nierównej walki. Rozwój techniki sprawił, że rybacy uzyskiwali coraz większą przewagę i rozpoczął się okres łowów na masową skalę. Presja międzynarodowa sprawiła jednak, że je ograniczono. – Czy ktoś w Húsavíku poluje jeszcze na wieloryby? – pytam, zanim opuszczę muzeum. – Nie, nie! – odpowiada uśmiechnięta pracownica. – Szkielety, które widzisz, to pozostałości po hvalreki, czyli wielorybach wyrzuconych na ląd. My już tylko organizujemy bezkrwawe safari. Wieloryby to nasi bracia i siostry. Kochamy je, chyba z wzajemnością. ■

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
GRENLANDIA



Zatoka Disko to miejsce, gdzie możemy nie tylko pływać wśród gór lodowych, ale też podziwiać wieloryby.



TEKST **AGNIESZKA FRANUS**

ARKTYCZNY SPEKTAKL

GÓRY LODOWE WIELKOŚCI KATEDR, ZORZE POLARNE, WIELORYBY, A DO TEGO MIEJSCA, NA KTÓRYCH NIE STANĘŁA LUDZKA STOPA. GRENLANDIA TO WYSPA NIEUSTAJĄCYCH ZACHWYTÓW.

epresa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
GRENLANDIA



Obserwacja zorzy polarnej z pokładu jachtu Scenic Eclipse to niezapomniane przeżycie.



Sisimiut to najdalej na północ wysunięte miasto Grenlandii. Odbywa się tu Arctic Circle Race – uważany za najtrudniejszy bieg narciarski na świecie.



Prince Christian Sound to droga wodna o długości ok. 100 km. Można tu podziwiać schodzące do wody lodowce.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Opatuleni w koce, w podwójnych rękawiczkach, siedzimy ściśnięci na dziobie niewielkiej łódki zjednoczeni w zbiorowym zachwycie. Ciszę mącą jedynie coraz głośniejsze okrzyki zdumienia i potężny, fizycznie odczuwalny huk lodowych kolosów rozpadających się na naszych oczach. To jeden z tych momentów, który pozostanie ze mną na zawsze. Setki, a może nawet tysiące gór lodowych, majestatycznie dryfujących po granatowej tafli Oceanu Arktycznego niczym gwiazdy po czerwonym dywanie. Te lodowe piękności, przypominające fantazyjne domy, kopuły, katedry i łuki wysokie nawet na 100 m, tworzą nieustannie zmieniający się labirynt, w którym błądzimy coraz bardziej oszołomieni i zaskoczeni. Nigdzie indziej na świecie nie zobaczymy w jednym miejscu takiej kumulacji gór lodowych jak w zatoce Disko położonej w zachodniej Grenlandii. Co ciekawe, góry te często osiadają na mieliznach zatoki, ponieważ ich podwodna część – stanowiąca nawet 90 proc. masy, jest tak gigantyczna, że dotyka dna, więżąc te olbrzymy na całe miesiące.

SCENIC ECLIPSE. SHUTTERSTOCK (3); POPRZEDNIE STRONY: ADOBESTOCK

POGROMCA TITANICA

Ilulissat jest mozaiką kolorowych drewnianych domków, które wyglądają, jakby ktoś rozsypał garść landrynek na surowej, szarej skale. To trzecie co do wielkości miasto Grenlandii tętni życiem portu, gdzie setki kutrów rybackich kołyszą się pośród fal. Powietrze pachnie świeżo złowionym halibutem, na którego trwa właśnie sezon. Korzystając z okazji, że po wizycie w zatoce Disko wciąż mam jeszcze kilka godzin do powrotu na pokład jachtu ekspedycyjnego, na którym odbywam dwutygodniowy rejs wzdłuż wybrzeży Grenlandii, postanawiam zobaczyć jeszcze jedno kultowe miejsce. Wędrówka tam niebieskim szlakiem zajmuje niewiele ponad godzinę i obfituje w nowe zaskoczenia. Kiedy mijam pokryte darnią, rozpadające się budynki Sermermiut, dawnej osady Inuitów zamieszkanej przez ponad 4 tys. lat i opuszczonej w połowie XIX w., orientuję się, że dotarłam do celu. A jest nim punkt widokowy na krawędzi fiordu – Nakkaavik, co w tłumaczeniu znaczy „miejsce upadku". Właśnie tu dawni mieszkańcy osady, głównie starsi i niepełnosprawni, przychodzili, by popełnić samobójstwo i nie być dłużej obciążeniem dla swojej społeczności. To świadectwo tego, jak ekstremalne warunki kształtowały tutejszą kulturę. Żałuję, że nie mam już czasu, by dotrzeć do końcu fiordu Ilulissat, gdzie rozciąga się potężny Jakobshavn (Sermeq Kujalleq), najbardziej „płodny" lodowiec na półkuli północnej. To właśnie on zrzuca do wody co roku ok. 40 km³ swojej masy, co stanowi 10 proc. wszystkich gór lodowych rodzących się na Grenlandii. W zatoce Disko podziwiałam je, kiedy opuszczały fiord, zmierzając w nieznane. Tutaj suną ku wolności ściśnięte, ocierając się o siebie, taranując, trzeszcząc i wydając dźwięki niczym salwy armatnie. Przypominam sobie też słowa Kati, przewodniczki podczas rejsu łodzią po zatoce, która powiedziała, że taka góra lodowa mogłaby być źródłem wody pitnej dla średniej wielkości miasta przez rok. Pokazała nam wówczas mapę z zaznaczonymi miejscami, do których najdalej dotarły skrawki Grenlandii, zanim się stopiły – niektóre dodryfowały aż w okolice Azorów, co mogło zająć nawet 4 lata. Istnieją podejrzenia oparte na analizie prądów morskich, że to właśnie jedna z gór lodowych, które opuściły Ilulissat, zatopiła Titanica. Tymczasem kontemplując ten cud natury wpisany na listę UNESCO, mam świadomość jego kruchości – przy obecnym tempie ocieplenia być może są to ostatnie chwile, by oglądać go w takim wydaniu.



Psy grenlandzkie są czyste genetycznie, dlatego nie można ich krzyżować z innymi rasami. Słyną z niezwykłej wytrzymałości i odporności na zimno.

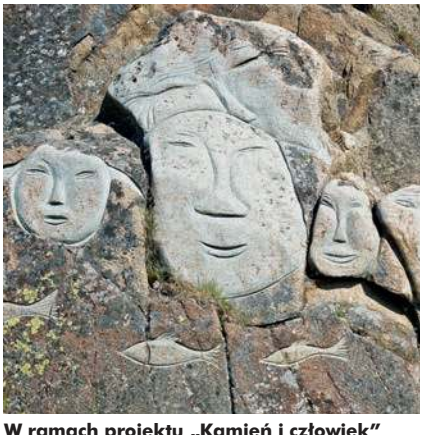
TOTALNE ZAUROCZENIE

Myśl o zobaczeniu Grenlandii dojrzewała we mnie od dawna – od dnia, w którym po raz pierwszy stanęłam na Spitsbergenie. Fascynacja jego dziką lodową pustką, tak odmienną od wszystkiego, co

eprasa.pl f3fc2b0a1d

znałam wcześniej, zrodziła we mnie pragnienie dalszego odkrywania Północy. Później przyszły nieziemskie krajobrazy Islandii, które tylko podsyciły ten głód. Gdy więc pojawiła się okazja, nie wahałam się ani chwili. Wybrałam jacht ekspedycyjny Scenic Eclipse, który na pokład zabiera zaledwie 200 gości i poza komfortem podróżowania oraz możliwością dotarcia do miejsc, gdzie rzadko kto dopływa, oferuje obecność naukowców – glacjologów, biologów i historyków, którzy dzielą się swoją wiedzą o tym zakątku świata. Można ich posłuchać podczas codziennych wykładów i wspólnych zejść na ląd, co pozwala lepiej zrozumieć znaczenie Arktyki dla światowego ekosystemu. Pierwszy z wykładów był o wikingach. To właśnie oni nazwali tę skutą lodem

Fiord w Ilulissacie to miejsce, z którego pochodzi większość gór lodowych dryfujących po północnym Atlantyku.



W ramach projektu „Kamień i człowiek" w przestrzeni miasta Qaqortoq powstało ok. 40 rzeźb, tworząc jedyną w swoim rodzaju galerię pod otwartym niebem.

i śniegiem wyspę Grenlandią, czyli „zielonym lądem", żeby zachęcić pobratymców do jej kolonizacji.

SERCE ARKTYKI

Wschodnia część wyspy, od której zaczynamy naszą przygodę, jest surowa i przejmująco dziewicza. To kraina niemal bezludna, odcięta od świata przez gęsty pak lodowy utrzymujący się nawet 10 miesięcy w roku. Na tym ogromnym obszarze mieszka zaledwie 3 tys. osób z całej 56-tysięcznej populacji wyspy. Nic dziwnego, że każda osada wydaje się tu cudem przetrwania, poza nami nie ma tu też żadnych innych statków. Niemalże jak dzieci, które nie chcą iść spać, żeby czegoś nie przegapić, nieustannie śledzimy to, co się dzieje na zewnątrz. A pojawienie się pierwszej samotnej góry lodowej witamy z entuzjazmem. Gdy tylko ją dostrzegam, wychodzę na balkon kajuty i mimo siarczystego mrozu towarzyszę jej wzrokiem, aż zniknie za horyzontem. Jej jasnoniebieska barwa – efekt tysięcy lat prasowania śniegu w lity lód – ostro odcina się od stalowego oceanu. Paleta arktycznych kolorów jest tu ascetyczna i monochromatyczna; dominują w niej wszelkie odcienie szarości i głębokiego błękitu. Wkrótce na tym surowym tle pojawiają się pierwsi mieszkańcy głębin, których uczę się rozpoznawać dzięki pokładowym wykładom.

WŁADCY GŁĘBIN

Humbaki to urodzeni artyści. Uwielbiają popisywać się przed widownią, wykonując spektakularne wyskoki, podczas których ich kilkunastotonowe ciała niemal w całości opuszczają wodę. A tuż przed zanurzeniem w odmęty machają nam na pożegnanie potężnymi biało-czarnymi płetwami ogonowymi, których kształt przypomina serce. Inne walenie są bardziej dyskretne, choć zdradzają je charakterystyczne „fontanny" – pióropusze wydychanego powietrza widoczne z wielu kilometrów. Podglądanie tej fauny to zajęcie, które nigdy się nie nudzi, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie skalę ich potęgi. Wieloryby grenlandzkie to prawdziwi matuzalemowie – mogą mieć nawet 200 lat, co czyni je najdłużej żyjącymi ssakami na Ziemi. W tych wodach żerują także płetwale błękitne, największe zwierzęta, jakie kiedykolwiek zamieszkiwały naszą planetę. Najczęściej jednak towarzyszą nam minke, płetwale karłowate, które mimo nazwy osiągają do 10 m długości i ważą do 9 ton. Są niezwykle szybkie, a rozpoznać je można po białych opaskach na płetwach.

PTASI REKORDZIŚCI

Codziennie, korzystając z zodiaków (zwrotnych pontonów motorowych), eksplorujemy wybrzeże postrzępione niczym arktyczna wycinanka. Schodzimy na ląd tylko tam, gdzie teren jest bezpieczny – wolny od śladów niedźwiedzi polarnych i tarasujących drogę kier. Jest zadziwiająco ciepło, w końcówce sierpnia temperatura osiąga nawet plus 12 stopni. Ma to oczywiście swoje konsekwencje – lód topi się tak szybko, że tutejszy krajobraz nieustannie się zmienia. – Jeszcze rok temu to miejsce było niedostępne – mówi Helen, szefowa zespołu naukowców, wskazując błękitne jeziorko otoczone wianuszkiem szczytów. Spędzamy nad nim kilka godzin, spacerując, ciesząc się stabilnym gruntem pod stopami, wypatrując ukrywającej się wśród kier lodowych foki. Moja wiedza nieustannie się wzbogaca. Poznaję zwyczaje arktycznych ptaków: wszechobecnych inteligentnych kruków, szybujących nad wodą fulmarów północnych, mew i rybitw popielatych. Te ostatnie, ważące zaledwie 125 gramów stworzonka, gromadzą się w koloniach liczących nawet kilkaset osobników i lubią sobie pokrzyczeć. Swego czasu zadziwiły świat, kiedy okazało się, że są mistrzyniami długich dystansów i jako jedyne ze skrzydlatego królestwa

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Tradycyjny kobiecy strój grenlandzki składa się z kołnierza wykonanego z tysięcy drobnych koralików, satynowego anoraka oraz ręcznie zdobionych butów z foczej skóry zwanych kamikami.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Fiord Franciszka Józefa jest sercem Parku Narodowego Grenlandii Północno-Wschodniej, największego obszaru chronionego na świecie. (trzykrotnie większy od Polski).

pokonują rocznie nawet 71 tys. km, latając między Arktyką a Antarktydą.

BYĆ JAK NANSEN

– Zrobię to ze wschodu na zachód albo zginę – miał powiedzieć słynny polarnik Fridtjof Nansen, który postanowił dokonać trawersu Grenlandii w odwrotnym kierunku niż jego poprzednicy. Mimo że od tego wydarzenia minęło ponad 100 lat, największa wyspa świata to wciąż jedno z najmniej dostępnych miejsc na Ziemi. Lodowo-śnieżna kołdra o grubości od 3 do 4 km okrywa aż 80 proc. z ponad 2 mln km² jej powierzchni. Kiedy przybywamy do zatoki Umivik, prawdziwego klejnotu Grenlandii położonego między półwyspami Fridtjof Nansen na północy i Odinland na południu, krajobraz wyraźnie łagodnieje. Strome klify i urwiste wybrzeże zastępują masy lodu schodzące do linii wody. To gdzieś stąd 15 sierpnia 1888 r. Fridtjof Nansen wraz z piątką towarzyszy wyruszyli na nartach, by dotrzeć do Christianhaab (obecnie Qasigiannguit) na zachodnim wybrzeżu, w pobliżu zatoki Disko, do której dopłyniemy za kilka dni. Wyposażeni w lekkie, zaprojektowane specjalnie na tę wyprawę sanie, z innowacyjnym jak na tamte czasy wyposażeniem, mieli do pokonania ok. 600 km. Ich podróż obfitowała w wiele zwrotów akcji,

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Wół piżmowy to żywa skamielina z epoki lodowcowej, która przetrwała na Grenlandii tysiące lat.

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

ale dzięki niezwykłemu hartowi ducha oraz odporności psychicznej samego Nansena – prawie nikt nie wierzył w powodzenie ekspedycji – dopięli swego. Jego największą motywacją, jak zaznaczał, był brak możliwości odwrotu. Zaczynając wyprawę z bezludnego wschodu, mógł iść tylko przed siebie, ponieważ cywilizacja, a więc i szansa na ocalenie, była właśnie tam. Nansen zapisał się w historii jako jeden z największych oceanografów, eksploratorów i polarników świata, został też laureatem Pokojowej Nagrody Nobla.

NAJWIĘKSZA TAJEMNICA GRENLANDII

Prawdziwe apogeum piękna to Prins Christian Sund – 100-kilometrowa droga wodna, która oddziela stały ląd od wysp najdalej wysuniętego na południe przylądka Farvel. To jeden z najbardziej malowniczych szlaków Arktyki. Płyniemy otoczeni przez majestatyczne granitowe szczyty wznoszące się na ponad 2000 m, po których spływają pocięte miliardami bruzd niebieskie lodowce. Kanał miejscami zwęża się do zaledwie 500 metrów szerokości, co potęguje wrażenie bliskości z naturą. Rano dopływamy do Qaqortoq, to pierwszy kontakt z cywilizacją od tygodnia. Miasteczko słynie z 30 rzeźb wykonanych w kamieniu w ramach projektu „Stone & Man" przez 18 nordyckich artystów pod przewodnictwem Aki Høegh, która tutaj się urodziła. Ale to nie one są moim głównym celem. W porcie wsiadam na niewielki stateczek, którym docieram do Hvalsey, wpisanych na listę UNESCO największych i najlepiej zachowanych wikińskich ruin na Grenlandii. Pada ulewny deszcz, a ponieważ mchy nasiąknęły wodą niczym gąbka, mam poczucie, jakbym spacerowała po bardzo śliskim, mokrym dywanie. Mchy są fenomenalnymi organizmami, które stabilizują cały tutejszy ekosystem. Gromadzą bowiem ogromne ilości wody, a Grenlandia to przecież największa pustynia na świecie. Niektóre gatunki na 25 gramów masy mogą zaabsorbować nawet 1 litr płynu, dlatego jest tu zaskakująco zielono. Ta zieleń prawdopodobnie zachęciła wikingów pod wodzą banity Eryka Rudego do osiedlania się na tych terenach. Wygnany z Islandii za morderstwo w 982 r. musiał znaleźć nowe miejsce do życia. Nazwał tę mroźną krainę „Zieloną Ziemią" (Greenland), stosując genialny zabieg marketingowy, by przyciągnąć osadników obietnicą krainy mlekiem i miodem płynącej. Archeolodzy odkryli tu pozostałości 14 dużych domów krytych darnią i kamienny kościół, którego ściany do dziś dumnie stawiają czoła wiatrom. I nagle wszystko się skończyło. Choć przez lata sądzono, że osadnicy żyli w symbiozie z Inuitami, dziś wiemy, że obie kultury raczej ze sobą rywalizowały. Zagadka ich zniknięcia w XV w. to splot nieszczęść. Mała epoka lodowcowa ścięła fiordy lodem, uniemożliwiając hodowlę bydła i odcinając statki z zaopatrzeniem z Europy. Jednocześnie załamał się rynek kłów morsów – grenlandzkiego „białego złota". Gdy Europa zyskała dostęp do tańszej kości słoniowej z Afryki, Grenlandia

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Nuuk, stolica Grenlandii, liczy zaledwie 19 tys. mieszkańców. Wystarczy 15 min marszu, by znaleźć się w kompletnej głuszy z widokiem na ogromny fiord.

GETTY IMAGES

straciła jedyny towar, który mogła wymienić na żelazo i drewno.

KRONIKA OSOBLIWOŚCI

Geologia to sztuka czytania historii zapisanej w kamieniu, a grenlandzka kronika należy do najbardziej fascynujących na planecie. To tutaj odkryto jedne z najstarszych skał świata – gnejsy liczące blisko 4 mld lat. Skuta lodem wyspa wciąż strzeże wielu tajemnic, ale to, co już wiemy, pozwala spojrzeć na czas z zawrotną perspektywą. Gdybyśmy całą historię Ziemi zamknęli w jednym roku kalendarzowym, skały z okolic Grenlandii pojawiłyby się już w marcu. Pierwsze ślady życia dostrzeglibyśmy dopiero w październiku, dinozaury zdominowałyby świat w grudniu, a człowiek pojawiłby się zaledwie 15 min przed północą w Sylwestra. Te wiekowe formacje odsłaniają się dumnie w okolicach Nuuk, stolicy wyspy, która jest naszym kolejnym celem. Im dalej na zachód, tym krajobraz staje się bardziej ożywiony. Na horyzoncie coraz częściej wyrastają jaskrawe skupiska drewnianych domków – znak rozpoznawczy tutejszych osad. Dawniej kolory nie były kwestią estetyki, w czasach bez nazw ulic i numeracji barwa elewacji informowała o funkcji budynku. Żółte były szpitale, domy personelu medycznego i lekarzy, czarne – posterunki policji, zieleń była zarezerwowana dla poczty i komunikacji, niebieski – dla fabryk ryb, a czerwony – dla kościołów, szkół, domów nauczycieli i duchownych. Dziś już nikt nie przestrzega tych zasad, jednak sentyment pozostał i Grenlandczycy wciąż malują swoje domy we wszystkich kolorach tęczy, dlatego widać je z daleka.

KRAINA FIOLETU

Nuuk, stolica Grenlandii i jej największe miasto, zachwyca mnie fioletowymi skupiskami dzikiego tymianku górskiego, szafirowymi dzwonkami i różową koniczyną. Choć od koła podbiegunowego dzieli nas zaledwie 250 km, przyroda tutaj wykorzystuje każdy słoneczny dzień, by eksplodować barwami. Ta determinacja udziela się też mieszkańcom, których licznie spotykam na ulicach. Jest tu wszystko, czego potrzeba: sklepy z nowoczesną odzieżą outdoorową, kawiarnie serwujące wyśmienitą kawę, muzea, galerie, markety. Szczególny gwar zastaje mnie na Kalaaliaraq – lokalnym targowisku. To towarzyskie

eprasa.pl f3fc2b0a1d



serce miasta, gdzie można spróbować przysmaków takich jak wędzone ryby, owoce morza, a nawet mattak – surowa skór wieloryba z warstwą tłuszczu. Inuici to dumni mieszkańcy tej ziemi, są potomkami ludu Thule, który przybył na wyspę z Alaski i Kanady ok. XIII w., wypierając wcześniejsze kultury. Poradzili sobie w tym surowym klimacie znacznie lepiej niż wikingowie – być może dlatego, że rozumieją naturę, szanują ją i czują się jej nierozerwalną częścią. Rdzenni mieszkańcy stworzyli unikatowy system wzajemnej pomocy, który przetrwał do dziś. Wciąż żywy jest zwyczaj dzielenia się zdobyczą: jeśli myśliwy upoluje wieloryba, mięso trafia do całej społeczności, gwarantując przetrwanie wszystkim. Z powodu braku dróg komunikacja między miejscowościami odbywa się głównie drogą wodną. Dawniej wykorzystywano do tego qajaqi (kajaki morskie), które właśnie na Grenlandii udoskonalono do perfekcji. Zimą ląd należał do psich zaprzęgów, które obecnie coraz częściej zastępują skutery śnieżne. Ale technologiczna zmiana nie osłabiła więzi z tradycją, nowoczesny sprzęt służy dziś tym samym celom co wieki temu – bezpiecznemu przemieszczaniu się przez nieprzewidywalną arktyczną dzicz.

FIORD WIECZNOŚCI

Oglądanie wschodu słońca nad fiordem Kangerlussuaq to czysta magia natury. Jest przejmująco zimno, a woda o gęstej konsystencji morskiej „kaszy" – mieszanki lodu i soli – niemal zastyga w bezruchu. Mimo mrozu nie czuję zmęczenia, choć w nocy nie zmrużyłam oka. Wszystko przez spektakl, jaki urządziły nam zorze polarne. Kapitan zbudził nas po północy, byśmy nie przegapili tego fenomenu, z którego słynie Grenlandia. Z rufy, a potem z własnego balkonu, przez kilka godzin śledziłam taniec świateł na niebie. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozsypał na nim fosforyzujący zielony pył, który opadając, układał się w fantazyjne firany. Zorza pulsowała – gasła, by za chwilę wybuchnąć z nową siłą i rozlać się po całym horyzoncie. Teraz, u kresu tego 75-kilometrowego fiordu, podziwiam kolejny cud: potężne lodowce spływające ze zboczy i strumienie tworzące kaskady wodospadów. Szmaragdowa woda kontrastuje z czernią spiczastych, stromych skał, które gdzieniegdzie przyprószył świeży śnieżny puch. Helen, nasza przewodniczka, wyjaśnia, że mamy ogromne szczęście. Gdyby

eprasa.pl f3fc2b0a1d

Grenlandia to jedno z najlepszych miejsc na świecie do obserwacji waleni. Z 15 gatunków tych ssaków trzy przebywają tam przez cały rok.

Kościół w Hvalsey to najlepiej zachowana wikińska budowla na całej Grenlandii.

mróz utrzymał się dłużej, fiord błyskawicznie skułby lód, odcinając nam drogę do samego czoła lodowca. Tymczasem przed nami wyłania się ogromny niebieski jęzor. Pożłobiony głębokimi szczelinami, szeroki na 700 m i wysoki na 50, prezentuje swój surowy majestat. Tuż przy lodowcu woda zmienia barwę na brunatną za sprawą osadów i minerałów, które lód, niczym gigantyczny pług, pcha przed sobą. Przez lornetkę podglądam, jak to miejsce tętni życiem; bogata w składniki odżywcze woda przyciąga stada ryb i ptaków. Niestety ta imponująca masa lodu w ciągu ostatnich lat skurczyła się o kilkaset metrów. To bolesna strata dla tutejszego ekosystemu. – Jeszcze niedawno lodowiec sięgał aż tutaj – mówi Helen, wskazując na wklęsłą ścianę skalną zasypaną rumoszem. Łatwo rozpoznać takie miejsce po braku roślinności, która nie zdążyła jeszcze skolonizować odsłoniętego terenu. Ale przyroda nie znosi pustki; wkrótce z pewnością i tutaj pojawią się pierwsze mchy i porosty.

MIASTO PSÓW

Mleczna biel rozlała się nad Sisimiut tak gęsto, że granica między niebem a oceanem przestała istnieć. Gdy zacumowaliśmy w Cieśninie Davisa, miasto dosłownie schowało się przed nami. Jesteśmy już za kołem podbiegunowym, 320 km na północ od Nuuk, w miejscu na co dzień pulsującym sportową adrenaliną. W marcu miasteczko staje się areną Arctic Circle Race (ACR), morderczego 160-kilometrowego biegu, który przez trzy dni wystawia na próbę najwytrwalszych śmiałków globu. Zamiast nart wybieram jednak buty trekkingowe. Towarzyszy mi Adam, Francuz, który dwa lata temu przeprowadził się na Grenlandię. Choć ma na swoim koncie jeden ACR, kręci głową na wspomnienie tamtego wysiłku – dla niego była to jednorazowa podróż do granic własnej wytrzymałości. Nasz dzisiejszy cel nie jest na szczęście tak ambitny – to siedmiokilometrowy marsz do punktu widokowego na całą okolicę. Szlak szybko wyprowadza nas na obrzeża, prosto do „miasta psów". Sisimiut zamieszkuje bowiem blisko 900 psów grenlandzkich. Dorosłe osobniki, przywiązane łańcuchami do skał, obserwują nas z mieszanką apatii i czujności. Szczeniaki natomiast biegają samopas, wnosząc odrobinę chaosu w ten zdyscyplinowany świat. – To genetyczna kapsuła czasu – mówi Adam, gdy jedno ze szczeniąt próbuje podgryzać mu sznurowadła. – Na wyspie obowiązuje całkowity zakaz krzyżowania ich z innymi rasami. Dzięki temu zachowały swoją pierwotną siłę i legendarną odporność na mróz. Ich sylwetki to arcydzieło ewolucji: krępe ciało, mocne nogi i podwójna warstwa sierści, która sprawia, że niestraszne im śnieżyce i mrozy. W zaprzęgu nie ma miejsca na demokrację – rządzi tam najsilniejszy i najbystrzejszy samiec. Adam ostrzega nas jednak przed zbytnim spoufalaniem się z dorosłymi psami. To nie są kanapowe pupile, lecz wysoko wyspecjalizowani pracownicy, u których instynkt terytorialny bywa brutalny. Dziś, w dobie wszechobecnych skuterów śnieżnych, utrzymanie stada to kosztowne hobby i hołd dla tradycji przodków. Kiedy w końcu docieramy na szczyt, czeka na nas finałowy żart arktycznej natury. Mgła, zamiast opaść, zgęstniała jeszcze bardziej. Zapierającą dech panoramę Sisimiut podziwiam więc na ekranie telefonu Adama. To Arktyka decyduje, co wolno nam zobaczyć, a czego nie.

POWRÓT DO DOMU

Po pożegnaniu z załogą statku schodzimy na ląd w Kangerlussuaq – osadzie przyczajonej na samym krańcu potężnego, 190-kilometrowego fiordu o tej samej nazwie. Do 1992 r. funkcjonowała tu amerykańska baza lotnicza Sondrestrom. Dziś w dawnych koszarach mieszkają cywile, a surowa wojskowa zabudowa – bloki z kontenerów, boisko i siłownia pod chmurką – tworzy specyficzny klimat. Ciekawostką jest fakt, że Kangerlussuaq to jedyne miejsce na Grenlandii z siecią dróg liczącą aż 40 km długości. Najsłynniejsza z nich prowadzi prosto do Punktu 660, gdzie można dosłownie wejść na lądolód. Przed odlotem udaje mi się jeszcze dotrzeć do Tacan, nieodległej stacji pogodowej, skąd rozpościera się kolejny wart zapamiętania widok. Choć wiatr urywa mi głowę i niemalże zwiewa z klifów, spędzam tu kilkanaście minut, wypatrując potężnych piżmowołów, których żyje tu kilka tysięcy. Te żywe skamieliny pamiętają czasy mamutów, a ich wełna, zwana qiviut, jest ośmiokrotnie cieplejsza od owczej. Już z samolotu spoglądam na tę część wyspy, która teraz wygląda jak kraina tysięcy jezior. Tworzą się one wszędzie, w każdym skalnym zagłębieniu, z którego zniknął lód – a chwilę później jest już tylko biel i pojawia się myśl, abyśmy mogli się nią cieszyć jak najdłużej. ■

Gdyby lód grenlandzki stopniał, poziom mórz na całym świecie podniósłby się o blisko 7 m.



Kanapka z mięsem wieloryba to lokalny przysmak serwowany na targowisku Kalaaliaraq w Nuuk.

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



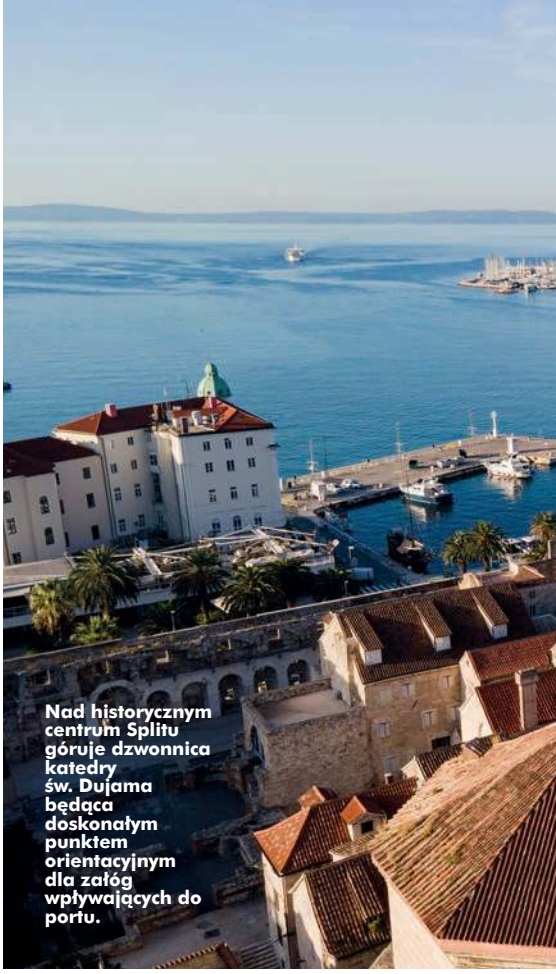
TEKST **IZA KLEMENTOWSKA**

WAKACJE POD ŻAGLAMI

PŁYNĘLIŚMY NIEŚPIESZNIE ODWIEDZAJĄC WYSPY HVAR, VIS I BIŠEVO. NURKOWALIŚMY I PODZIWIALIŚMY KRAJOBRAZ. PRZEDE WSZYSTKIM JEDNAK ZATAPIALIŚMY SIĘ W CISZY.



Wyspy Paklińskie (Pakleni Otoci) tworzą zielony labirynt zatok, stanowiąc naturalne schronienie dla jachtów płynących do portu Hvar.



Nad historycznym centrum Splitu góruje dzwonnica katedry św. Dujama będąca doskonałym punktem orientacyjnym dla załóg wpływających do portu.

Wypływając z mariny Splitu, patrzyłam na ogromne promy odpływające stąd do Włoch. Nasz niewielki, ośmioosobowy jacht wyglądał przy nich jak łupina słonecznika zabłąkana wśród skorup po orzechach kokosowych. Obserwowałam jaśniejącą w słońcu starówkę miasta, która odbijała się w morzu blaskiem piaskowca. Przed nami niebawem wyłoniło się otwarte morze i choć gdzieś w oddali dobiegał nas jeszcze turystyczny gwar, coraz bardziej zatapialiśmy się w ciszy, którą zakłócało jedynie coraz wyraźniej słyszalne pluskanie wody o burty.

Na wyspie Hvar nie ma żadnych rzek ani jezior, a roczna suma opadów wynosi mniej niż 800 mm.



Tradycyjna kolacja w Splicie to przede wszystkim świeże owoce morza i ryby podawane z lokalną oliwą i białym winem.

Ostatni raz spojrzałam w stronę Splitu. Przy głównej ulicy miasta rosły palmy, co dodawało mu nieco egzotyki, jednak kamienna zabudowa przypominała, że wciąż jesteśmy w Europie. Miasto należało niegdyś do Ilirów, potem Rzymian, czego pozostałością są spore fragmenty okazałego pałacu Dioklecjana powstałego na przełomie II i III w. Warowny obóz rzymski, wzniesiony na wzór odrobinę kopniętego prostokąta, otoczony jest grubymi, dwumetrowymi murami, z których pierwotnie wyrastało aż 16 wież. Dziś pozostały tylko cztery.

TROPIĄC RYBKI NEMO

Nie byliśmy jedynym jachtem, który wyruszył w morze tego dnia o poranku. Obok nas w bezpiecznej odległości płynęło bodaj 10 innych, które nie wiadomo kiedy wybrały swoje własne ścieżki wodne i zniknęły z naszych „radarów". Nasz jacht sunął powoli, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Zbliżaliśmy się do dwóch wysp, mniejszej Šolty oraz całkiem sporej – Brač. Kiedy minęliśmy obie, skipper zarzucił kotwicę i jak stałam, tak wskoczyłam do wody. Po chwili wyposażona w zestaw do snorklowania wypatrywałam już fauny i flory wodnej pod powierzchnią. Oczy przyzwyczaiły się do soli morskiej i zaczęłam dostrzegać przed sobą biało-żółto-niebieskie rybki. Okazało się, że to fratary i ovraty, które można ze sobą pomylić, bo wyglądają podobnie. Kiedy zeszłam niżej, zobaczyłam również niewielkie czerwonawe trlje. Za nimi pojawiły się nie tak już sympatyczne grdobiny, które płynąc w stadzie, otwierały szerokie jak piłki tenisowe szczęki i połykały wszystko, co pojawiało się na ich trasie, na przykład mniejsze od nich makrele. Świat bliżej dna był zielony. Witki nieznanej mi podwodnej strzępiastej trawy owijały się wokół koralowców, które nie występują na tym terenie znów aż tak często. Spomiędzy nich wystawały całe osiedla gąbek, tzw. porifera, a więc żyjątka morskie, bezkręgowce, które po prostu się nie ruszają. Podobnie jak ukwiały, jamochłony z rodziny koralowców przypominające nieco łąkowe dmuchawce. Podwodne życie uzupełniały kraby przesuwające się leniwie po dnie. Przez to wszystko całkiem straciłam poczucie czasu. Nagle poczułam, jak ktoś chwyta mnie za stopę i ciągnie w górę. Skipper po prostu chciał ruszać dalej. Kierunek – wyspa Hvar.

WODA, KAMIEŃ, LAWENDA

Na wyspę dotarliśmy bardzo szybko. Naszym pierwszym celem było najstarsze na Hvarze miasto – Stari Grad. Wyglądało tak, jakby zastygło gdzieś w późnej starożytności łamanej na średniowiecze. Budynki

SHUTTERSTOCK(3),GETTYIMAGES ↓ POPRZEDNIE STRONY : SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Strome wapienne klify wyspy Hvar oferują wyjątkową możliwość wspinaczki bezpośrednio nad turkusową wodą.



Ukryta między wysokimi skałami plaża Stiniva na wyspie Vis, dostępna jedynie przez wąski przesmyk od strony morza.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

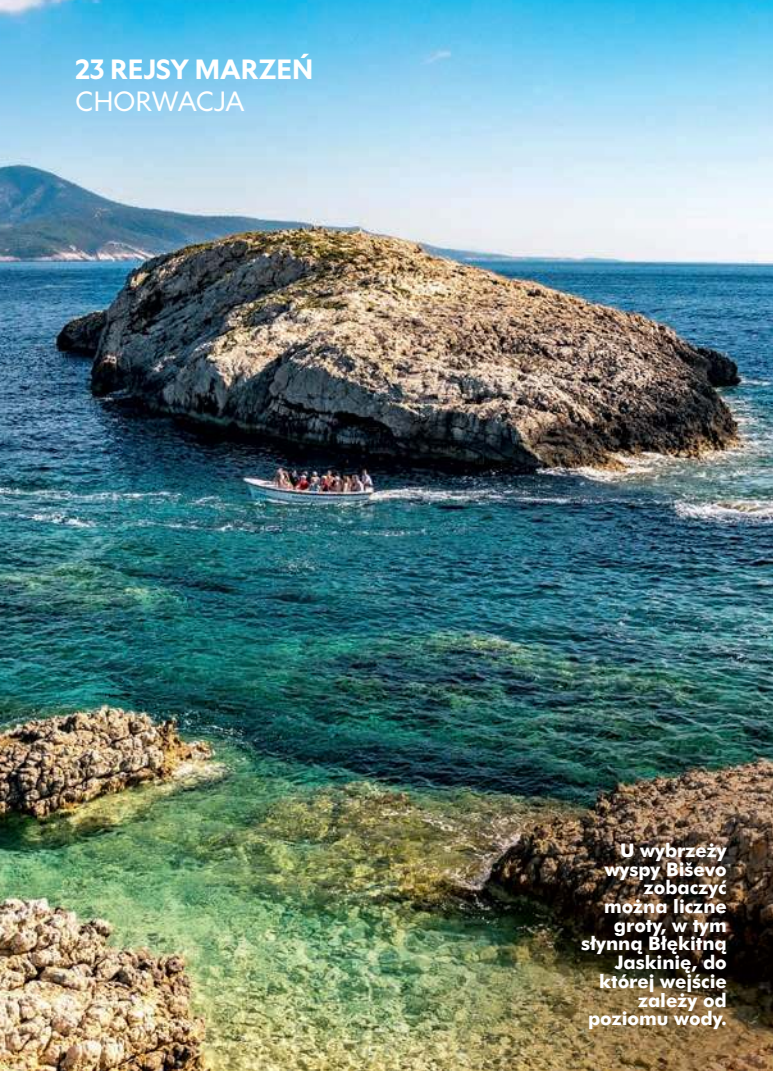
z surowego kamienia, pachnące kurzem zmieszanym z sosnowym igliwiem, sprawiały wrażenie starszych niż były w istocie. Zaczęliśmy czytać o historii miasta. Wychodziło na to, że przewinęli się przez Stari Grad Ilirowie, Grecy, Słowianie, Rzymianie na zmianę z Wenecjanami, Turcy, Habsburgowie... I każdy z nich zostawił coś po sobie. W samym jego centrum znajduje się największa perełka – pałac poety Petra Hectorovicia, z dziedzińcem, który nie jest murem, a... stawem. Z zewnątrz budynek niczym się nie wyróżnia – łukowate sklepienia są tu w wielu domach, ale ów specyficzny miniaquapark z kamienia wewnątrz imponuje i przede wszystkim daje cień i wodną mgiełkę kojącą w upalne dni. Wyspa Hvar była zamieszkana już w czasach prehistorycznych. Ślady malunków sprzed 6 tys. lat znaleziono w tutejszych jaskiniach Grapčeva i Markova. Najwcześniejsze znaki życia w Starim Gradzie pochodzą z roku 384 p.n.e., kiedy miasto zostało założone przez jońskich Greków. Nazwali je wówczas Pharos. Była to jedna z głównych kolonii rolnych, z których wywożono m.in. oliwki i figi. Następnego dnia skoro świt wyruszyliśmy do portu Hvar. Budynki były skąpane w złotym odcieniu wstającego słońca. Odciskały się na nich błyskające linie fal. Błyskotki są tu zresztą czymś powszechnym – zdałam sobie sprawę. Wyspę Hvar polubiło wiele sławnych i bogatych turystek, jak Beyoncé czy Gwyneth Paltrow, i można je spotkać nie tylko na pobliskich plażach, ale również u licznych na tutejszej promenadzie jubilerów. Coraz bardziej odchodziłam od głównych miejskich arterii. Tak dotarłam do kamiennej twierdzy Španjola z XIII w. Z murów obronnych rozpościera się fantastyczny widok nie tylko na morze, ale też na pobliskie Wyspy Piekielne. A spoglądając w stronę lądu, dostrzec można całe pola szalenie fotogenicznej fioletowej lawendy przetykane tu i ówdzie poletkami winorośli. Obiecaliśmy sobie,



Hvar kaskadowo opada ku błękitnej zatoce Adriatyku. W samym sercu tego weneckiego miasta dominuje Pjaca, największy renesansowy plac Dalmacji, oraz monumentalny gmach Arsenału z 1612 r.

SHUTTERSTOCK





U wybrzeży wyspy Biševo zobaczyć można liczne groty, w tym słynną Błękitną Jaskinię, do której wejście zależy od poziomu wody.



Wąskie kamienne przejścia w historycznej części Splitu kryją warsztaty rzemieślników i jubilerów, którzy od pokoleń tworzą tradycyjną chorwacką biżuterię.

że jak tylko wstaniemy o poranku, odwiedzimy przynajmniej jedną z okolicznych winnic. I tak się nie stało. Nie musieliśmy nawet wynajmować auta, bo z mariny szliśmy do niej niecały kwadrans. Co prawda winnica Luviji ciągnęła się ostro w górę wyspy, ale akurat punkt degustacyjny z maleńkim polem mieliśmy tuż pod nosem. Sącząc lekkie białe wino, mogliśmy z góry podziwiać całą zatokę i morze, które kusiło, żeby się w nim zanurzyć. Co zresztą zrobiliśmy niedługo później, zaraz po tym, gdy dotarliśmy do Wysp Piekielnych. Tak naprawdę była to dokładna odwrotność piekła. Tutejsze lasy sosnowe nie tylko fantastycznie pachną, ale są też źródłem smoły wykorzystywanej w budownictwie. Na jednej z wysp archipelagu, Sveti Klement, ludzie mieszkają jedynie latem. I to też nieliczni. Za to zabytków jest tu całkiem sporo. Bez problemu napotkamy tu starożytne ruiny niewielkich domków i kopców iliryjskich. Jednak tym, co najbardziej zachwyca, jest lokalna roślinność, raczej niespotykana w tej części Europy. Po dwugodzinnym spacerze wśród orchidei i innych egzotycznych kwiatów oszołomieni wskoczyliśmy wreszcie do wody. A potem co i raz odkrywaliśmy kolejne zatoczki i maleńkie jaskinie, w których woda nie tylko była jeszcze cieplejsza niż na otwartym morzu, ale przybierała czasem niezwykły zielonkawo-turkusowy kolor. Pogłębiały go jeszcze wpadające w róż kamienie na dnie. Nie bardzo chciało mi się opuszczać ten cudowny mikroświat, ale trzeba było ruszać dalej. W ciągu 2–3 godz. mieliśmy dotrzeć do wyspy Vis.

MAMMA MIA!

Morze traktowało nas bardzo łagodnie, wiatr wiał delikatnie, dzięki czemu jacht sunął powoli, jedynie nieznacznie się bujając. Usiadłam na dziobie, skupiając na sobie wszystkie krople wody podnoszone przez wiatr. Czułam w ustach ich słony smak, a po chwili mogłam wręcz zbierać z twarzy kryształki soli. Ciszę przerywały tylko okrzyki mew kłębiących się nad nami, jakby upatrywały w nas pożywienie. Kilka z nich przysiadło po pewnym czasie na dziobie obok mnie i wspólnie obserwowałyśmy przybliżającą się Vis. Na tle modrego morza mogłam wyłuskać zieloną plamę, niezbyt dużą, która wydawała się bujać na boki. Złudzenie optyczne spowodowane kołysaniem jachtu towarzyszyło mi również po zejściu na ląd – w porcie. O wyspie wiedziałam tyle, że jest dziewiąta co do wielkości w Chorwacji i że od czasu zakończenia II wojny światowej aż do rozpadu Jugosławii była niedostępna dla zagranicznych

ADOBESTOCK(2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Parowiec Brioni, który zatonął w lutym 1930 r. po uderzeniu w skały przylądka Jezera, spoczywa na dnie, pół mili morskiej od wyspy Hvar.

turystów. No i – co bardzo mnie intrygowało – kręcono tu drugą część słynnego filmu *Mamma Mia!* Jego akcja rozgrywa się wprawdzie w Grecji, ale i tu wszystko przypominało Grecję: zapach eukaliptusów kręcący w nosie, sosny, palmy, budynki i mężczyźni siedzący przy stolikach w porcie, popijający kawę, podczas gdy kobiety śpieszyły pod górkę z zakupami. Nieliczne jachty klekotały burtami w maleńkiej marinie, panował taki spokój, jakby wieści ze świata w ogóle tu nie docierały. Dało się w nim odczuć jakąś pierwotność, jakby osada została dopiero co założona przez Dionizjusza Starszego. Faktycznie doszło do tego nieco wcześniej – w IV w. p.n.e. Miasto nazywało się wówczas Issa. Potem przez wieki rezydowali tu przedstawiciele bardzo wielu nacji, zwłaszcza tych kojarzonych z żeglowaniem. Ślady po nich widać tu do dziś – są starożytne termy w starym porcie, jest zabytkowy cmentarz i dobrze zachowany amfiteatr. Gdy już odwiedziliśmy je wszystkie, ruszyliśmy w pobliskie góry. Chcieliśmy zobaczyć bunkry i schrony z czasów II wojny światowej. I się nie zawiedliśmy. Dobrze ukryte wśród zarośli, niewielkie, niemal nienaruszone. Jedne łukowate, inne podłużne, z dobrym wyciszeniem. Musiały być naprawdę znakomitym schronieniem dla żołnierzy czy partyzantów. Najciekawszy okazał się ten, do którego wpłynęliśmy pontonem. Ponoć niegdyś mogła tu się schować cała łódź podwodna. My swoją żaglówkę zostawiliśmy dalej i poprzestaliśmy na krótkiej, ale ogromnie atrakcyjnej wizycie.

MIASTO NA DNIE

Gdy tylko wróciliśmy na jacht, od razu pożeglowaliśmy na zachód, konkretnie na wysepkę Ravnik, przy której czekała nas niespodzianka – Zielona Grota. Mieliśmy szczęście, bo byliśmy w niej całkiem sami. W kompletnej ciszy podziwialiśmy więc szmaragdowe światło rozprzestrzeniające się po całej jaskini dzięki wpadającym przez specjalnie wydrążone dziury w suficie promieniom słonecznym. Woda była przejrzysta, dzięki czemu mieliśmy szansę dostrzec całe „miasto na dnie" – koralowce, langusty, kraby, mureny, skorpeny prowadziły tam własne życie, zupełnie sobie nawzajem nie przeszkadzając. Jedynymi intruzami byliśmy tam my. By nie zakłócać tej harmonii, powoli się wycofaliśmy. Ale w naszych planach była jeszcze jedna grota – Błękitna. Chcieliśmy ją znaleźć na ostatnim etapie naszej jachtowej podróży – na wyspie Biševo. Jest ona najbardziej wysuniętą w otwarte morze ze wszystkich chorwackich

eprasa.pl f3fc2b0a1d

wysp i właśnie dlatego narażona jest niemal ciągle na silne wiatry. Morze niemal nigdy nie bywa tu spokojne. To tu znajduje się jedno z najniebezpieczniejszych przejść morskich na Adriatyku, między sąsiednią wyspą Vis a brzegami Biševa.

ŚWIETLNY SPEKTAKL

Choć miejscowi od wieków o niej wiedzieli, to jednak chcieli ją zachować dla siebie, nie dopuszczając obcych do tego pięknego miejsca. Wysoką na 6 m i głęboką na 18 m jaskinię odkrył wreszcie dla świata baron Eugen Rausoonet w 1884 r. Także i tu klimat tworzą promienie słoneczne wpadające przez sekretny otwór, a całość nabiera przez to niebieskiej barwy. Przybyliśmy do Błękitnej Groty dosłownie w ostatnim momencie, bo chwilę przed godziną trzynastą. Dzięki temu mogliśmy obserwować, jak światło słoneczne powoli znika z jaskini. Kiedy wypłynęliśmy na zewnątrz, musieliśmy mrużyć oczy – tak wielki był kontrast pomiędzy mrokiem groty i niebem pełnym słońca. Przez moment kompletnie nic nie widziałam. Nasz skipper wiedział, jak sprytnie i szybko ominąć łódki, które spóźniły się na błękitny spektakl w grocie, i sunęliśmy już na północ. Po dwóch godzinach dobiliśmy do brzegu zatoki Porat. Niewielka i piaszczysta miała malutki port, w którym mogliśmy zacumować. Wyłożyliśmy się na plaży z drobnym piaskiem. Drobinki przyklejały się do ciała, które – jak mi się wydawało – wciąż się lekko kołysało wraz z przybijającymi do brzegu falami. Oprócz nas nie było tu nikogo. Zasnęłam. Kiedy obudziłam się po kilkunastu minutach, musieliśmy ruszać dalej, z powrotem do Splitu. Obserwowaliśmy morze, które nadal było bardzo spokojne. Słońce chowało się już powoli za horyzontem, dzięki czemu barwa dna zaczęła przybierać nieco różowawy odcień. A potem był już tylko uliczny gwar kurortu. ■



SHUTTERSTOCK



Choć nazwa „Wyspy Piekielne" brzmi groźnie, to wywodzi się od słowa *paklina* – czarnej żywicy sosnowej, którą lokalni szkutnicy od stuleci uszczelniali kadłuby dalmatyńskich statków.



TEKST **MICHAŁ CESSANIS**

ZRÓB SOBIE GREEKEND!

SPOKOJNE POZNAWANIE ATEN POŁĄCZONE Z REJSEM NA WYSPY SARONŃSKIE OKAZAŁO SIĘ IDEALNYM POMYSŁEM NA WEEKEND W GRECKIM STYLU.



Monumentalne wzgórze Akropolu z Partenonem oraz rzymskim teatrem Odeonem Heroda Attyka stanowi historyczne centrum Aten.

eprasa.pl/3fc



Na placu Monastiraki historia antyczna i bizantyjska spotyka się z gwarnym życiem współczesnych Aten.

Nie mogłem zacząć dnia inaczej niż kawą. Mocną, aromatyczną, parzoną po grecku, wypitą o poranku w niewielkiej kawiarni Cupaki Street Espresso przy ul. Emmanouila Benakisa, w pobliżu hotelu, gdzie mieszkałem. Umówiłem się tutaj ze znajomą przewodniczką, Olympią Gerakopoulou, pół Greczynką, pół Polką (na drugie imię ma Katarzyna – po polskiej babci), z którą wybrałem się na spacer po Atenach. – Zamów sobie podwójną kawę, naprawdę mamy na to czas. I tak zobaczysz to, co najważniejsze – zapewnia mnie Olympia.

Archipelag Saroński składa się z siedmiu wysp. Podczas jednodniowego rejsu odwiedza się trzy: Hydrę, Poros oraz Eginę.


Bajgiel z sezamem to najpopularniejsza przekąska sprzedawana na ulicy Ermou, głównym handlowym deptaku Aten.

SPACEREM PRZEZ MIASTO

Zamiast z samego rana pędzić na Akropol, my zostawiamy go sobie na popołudnie i połączymy z wizytą w Muzeum Akropolu. Tymczasem główną ulicą miasta – Panepistimiou, ruszamy w stronę najsłynniejszego miejskiego placu – Syntagma (Placu Konstytucji), przy którym stoi budynek parlamentu, a na jego tyłach mieści się rozległy Ogród Narodowy. Tutaj też znajduje się Grób Nieznanego Żołnierza, przed którym co godzinę odbywa się zmiana warty. Można wówczas lepiej przyjrzeć się ewzonom, żołnierzom Gwardii Prezydenckiej ubranym w charakterystyczne mundury – noszą plisowane spódniczki z 400 fałdami na pamiątkę 400 lat tureckiej niewoli. Po drodze na plac zatrzymujemy się przy Trylogii Ateńskiej, jak Grecy nazywają trzy potężne neoklasycystyczne gmachy stojące przy ul. Panepistimiou: to Grecka Biblioteka Narodowa, Uniwersytet Ateński i Akademia Ateńska wybudowane w XIX w. na polecenie Ottona I, pierwszego króla niepodległej Grecji. – Król zatrudnił duńskiego architekta Christiana Hansena, który miał za zadanie przekształcić Ateny, wówczas małe miasto, w metropolię. Otton I był tak zafascynowany jego pomysłami, że mianował go nawet w 1834 r. nadwornym architektem – podkreśla Olympia. Christian do pracy nad nowymi Atenami ściągnął swojego brata Teofila, także architekta. Trylogia Ateńska to ich najbardziej znane dzieło, choć Christian projektował też i domy mieszkalne, i kościoły. Z całej tej trójcy największe wrażenie robi na mnie budynek Akademii Ateńskiej, którego fronton zdobi rzeźba Narodziny Ateny dłuta rzeźbiarza Leonidasa Drosisa, przed wejściem do gmachu siedzą marmurowe figury Sokratesa oraz jego ucznia Platona, a z wysokich kolumn patrzą na przechodniów Atena i Apollo. Nie mniej zachwycający jest fresk zdobiący Uniwersytet Ateński i ukazujący starożytnych greckich myślicieli. – Ostatni z trylogii powstał budynek biblioteki narodowej. Teofil Hansen, projektując go, wzorował się na propylejach (bramie) na Akropolu. Dlatego swym stylem przypomina dorycką świątynię – wyjaśnia Olympia.

SHUTTERSTOCK(2), ADOBESTOCK, GETTYIMAGES.POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Starożytny minojski fresk z Thery w Narodowym Muzeum Archeologicznym w Atenach.



Schody w najstarszej dzielnicy Aten – Place, prowadzą przez labirynt zabytkowych domów.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Białe domki Anafiotiki u stóp Akropolu zbudowali rzemieślnicy z wyspy Anafi, przenosząc klimat Cyklad do serca Aten.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Sercem Eginy jest tętniące życiem nabrzeże, gdzie rybacy od pokoleń sprzedają poranne połowy bezpośrednio z pokładów. łodzi.

U STÓP AKROPOLU

Zanim z placu Syntagma skręcimy na najbardziej znany handlowy deptak Aten, ulicę Ermou (Hermesa) biegnącą do najpopularniejszego handlowo-knajpianego placu Monastiraki, Olympia proponuje, byśmy choć na chwilę wstąpili do, jak podkreśla, wciąż pomijanego przez wielu turystów Muzeum Benaki sąsiadującego z Ogrodem Narodowym. W tym greckim muzeum sztuki, w willi należącej przed laty do rodziny greckiego kupca Emanuela Benakisa, późniejszego burmistrza Aten, można podziwiać gigantyczną wręcz kolekcję – ponad 60 tys. przedmiotów pochodzących z okresu od III w. p.n.e. do początków XX w. Benakis wydał wiele pieniędzy na gromadzenie sztuki z całego świata. Muzeum założył jego syn Antonis, potem przekazał zbiory państwu. Mnóstwo tu biżuterii, drewnianych rzeźb, ceramiki, strojów greckich, ale także zbiorów religijnych – są ikonostasy, teksty ewangelii, szaty liturgiczne i ikony. Dla miłośnika sztuki, który ma czas na spokojne podziwianie zbiorów, to wymarzone miejsce do podróży w czasie. Nas niestety podczas tego nieśpiesznego spaceru czas jednak zaczyna powoli gonić. Na handlowym deptaku Ermou nie zabawiamy zbyt długo. Kupujemy jedynie na przekąskę daktyle nadziewane orzechami i czekoladą i ruszamy do miejsca, które zachwyciło mnie na zdjęciach w przewodniku. Rozciągająca się u stóp Akropolu dzielnica Plaka to labirynt wąskich uliczek z kolorowymi kamienicami i willami, restauracjami, antykwariatami, galeriami, kościółkami i ulicznymi sprzedawcami kwiatów. Są też grajkowie umilający swoją muzyką czas gościom klimatycznych kafejek takich jak Melina Mercouri Café przy ul. Lisiou 22 poświęcona „13. bogini", jak nazywają Grecy tę piosenkarkę, aktorkę i ministrę kultury. – Była pierwszą osobą, która oficjalnie zażądała od Brytyjczyków zwrotu rzeźb z Akropolu. Wywiózł je w pierwszej połowie XIX w. lorda Elgin, ambasador brytyjski w imperium osmańskim, które obejmowało wówczas Grecję – mówi Olympia. Przypomina też, że Melina Mercouri była także pomysłodawczynią wybieranej co roku Europejskiej Stolicy Kultury.

WIELKA HISTORIA I WIELKA KRADZIEŻ

Na Akropol wchodzimy od jego południowej strony, przemierzając deptak Dionizego Areopagity, patrona miasta, według Dziejów Apostolskich pierwszego Ateńczyka, który nawrócił się na chrześcijaństwo po kazaniu apostoła Pawła. Stoją tam okazałe kamienice należące do bogatych Ateńczyków – jeden z domów z widokiem na święte wzgórze należał do greckiego muzyka Vangelisa. Mijamy Odeon Heroda Attyka ze 161 r. uważany za najwspanialszy, ale też największy z odeonów starożytnych (obecnie

GETTYIMAGES,SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Smażony ser feta w kruchym cieście z miodem i sezamem to klasyczna przystawka serwowana w tradycyjnych tawernach Aten.

odbywają się tutaj koncerty podczas Festiwalu Ateńskiego), wspinamy się po schodach, przechodząc przez główne wejście na Akropol zbudowane ok. 437 r. p.n.e. Propyleje, i siadamy na kamieniach niemal na środku Górnego Miasta. Podziwiamy najokazalszą z budowli, jaką jest Partenon, świątynia poświęcona Atenie Dziewicy, zaprojektowana przez najwybitniejszego greckiego rzeźbiarza Fidiasza. Zerkamy też w stronę ganku kariatyd przyklejonego do Erechtejonu (jońska świątynia budowana w latach 421–395 r. p.n.e., poświęcona Posejdonowi i Atenie). – Akropol nie jest najwyższym wzniesieniem, ale za to bardzo rozległym (270 m długości i 156 m szerokości), dlatego nadawał się do zamieszkania. Było też tutaj źródło wody. Pierwsze osady powstawały tu w neolicie. W starożytności Akropol pełnił funkcje obronne. Miasto zostało zniszczone podczas wojen perskich i odbudowane w V w. p.n.e. przez polityka i reformatora demokracji Peryklesa – mówi Olympia. Przyglądam się zbudowanemu z białego marmuru pentelickiego Partenonowi, który wydaje się budowlą idealnie prostą. – Wydaje się, że jest kombinacją linii i kątów prostych, ale to złudzenie. Część podstawy jest lekko wypukła, kolumny nieco pochylono do wewnątrz. Te



SHUTTERSTOCK.ADOBESTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Turkusowe wody wokół bezludnej wyspy Moni przyciągają żeglarzy płynących z pobliskiej wioski Perdika na Eginie.



Maleńka Hydra jest ulubioną wyspą artystów. Leży 3 godz. rejsu od Aten.

krzywizny dają złudzenie idealnego pionu i poziomu, architekci chcieli osiągnąć tzw. złotą proporcję – opisuje przewodniczka. Na Akropolu nie można oglądać najsłynniejszego dzieła Fidiasza, czyli fryzu z Partenonu. Jego część znajduje się w Muzeum Akropolu, gdzie zgromadzono niezliczoną liczbę innych artefaktów odkopanych na wzgórzu podczas prac archeologicznych, a także oryginalne rzeźby kariatyd (przy Erechtejonie są ich kopie). – Niestety mamy tylko pięć kariatyd, szósta jest w Wielkiej Brytanii. Podobnie jak znaczna część Fryzu Partenońskiego ukazującego procesję z darami dla Ateny. Fidiasz pracował nad nim wraz ze swoimi uczniami. To było ogromne dzieło, miało 160 m dł., składało się z ponad 100 prostokątnych bloków, ciągnęło się tuż poniżej stropu, na wys. 12 m – wylicza Olympia, gdy stoimy przed zachowanym fragmentem w Muzeum Akropolu. Wspomniany lord Elgin doprowadził do wywiezienia z Aten aż połowy ocalałych rzeźb z Partenonu. Grecy do dziś mówią o największej grabieży, do jakiej doszło na przestrzeni wieków w ich kraju. Urzędnicy wciąż apelują do brytyjskiego rządu o zwrot zabytków, a podróżni lądujący na lotnisku w Atenach proszeni są o poparcie tej inicjatywy (aż 94 proc. turystów z całego świata jest za). Swój głos także oddałem. Wieczór spędzamy nie na Akropolu, lecz na jednym z dachów w jego pobliżu. Święta góra widoczna jest niemal z każdego punktu miasta – zabronione jest budowanie powyżej wysokości wzgórza. Wybieramy koktajl bar A for Athens przy placu Monastiraki. Mamy stąd widok nie tylko na Akropol, ale też na Zatokę Sarońską, którą lepiej poznam kolejnego dnia.

AHOJ, PRZYGODO!

Tego dnia nie było mowy o leniwym poranku przy kawie. O wschodzie słońca jestem już na nogach, a kwadrans po godzinie 7 wchodzę na pokład statku Cosmos zacumowanego w marinie w zatoce Faliro, którym popłynę przez Archipelag Saroński, by w ciągu jednego dnia doświadczyć piękna trzech z siedmiu sarońskich wysp: Hydry, Poros i Eginy. To jedna z najpopularniejszych wycieczek z Aten, o czym świadczy liczba pasażerów zajmujących wygodne kanapy w kantynie i krzesełka na górnym, otwartym pokładzie. Na statku mam wszystko, czego potrzebuję, by odkrywać moją grecką stronę natury. Mogę zamówić specjały greckiej kuchni, popróbować lokalnych win, posłuchać muzyki na żywo, a przede wszystkim – nacieszyć oko widokami na niebieską zatokę i zielone wyspy.

SHUTTERSTOCK(3)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Świątynia Afai na Eginie to jedna z najlepiej zachowanych świątyń doryckich w Grecji.



Egina zachwyca kolorowymi domami, w których dziś mieszczą się m.in. butikowe hotele.

WYSPA WODY BEZ WODY

Do Hydry, leżącej najdalej na naszej trasie rejsu, dopływamy po trzech godzinach od wypłynięcia z Aten. Po tej maleńkiej (pow. ok. 50 km^2) skalistej wyspie, na której zabroniony jest ruch samochodów, a nawet rowerów (jedynymi autami, które mogą tu jeździć, jest wóz straży pożarnej i karetka pogotowia, zaś codzienny transport towarów odbywa się na osłach), oprowadza mnie przewodnik Pedros. Nie ma tu ani wielkich hoteli, ani mnóstwa domów do wynajęcia. Większy ruch w małym porcie zaczyna się tylko wtedy, gdy dopływa kolejny statek z turystami, którzy na zwiedzenie Hydry mają nieco ponad godzinę. – Hydra oznacza nawodnienie, bo było tu wiele źródeł słodkiej wody, które jednak zniknęły w wyniku ruchów sejsmicznych. Dzisiaj woda na wyspę jest dostarczana z lądu – tłumaczy Pedros. – To wyspa kosmopolityczna, artystycznej bohemy, bardzo popularna stała się w latach 50. i 60. XX w. Właśnie wtedy zamieszkało tu wielu poetów, pisarzy, malarzy, muzyków. Mieszkał tu np. Leonard Cohen. Nakręcono tutaj także film *Chłopiec na delfinie* z Sophią Loren. Aż pięciu premierów Grecji pochodziło z Hydry, a największy gwiazdozbiór to gwiazdozbiór Hydry, Ptolemeusz umieścił go na swojej liście 48 konstelacji – z dumą podkreśla Pedros. Dodaje także, że Hydra była kiedyś morską potęgą, posiadała 150 statków handlowych i mieszkało na niej ponad 40 tys. osób (dzisiaj tylko 3 tys.). Można się tu wspiąć na górę boga miłości Erosa, gdzie stoi męski klasztor Proroka Eliasza, można też miłości poszukać w porcie albo napić się tam znakomitej kawy. Można też zajrzeć do katedry Wniebowzięcia NMP – maleńka Hydra reklamuje się jako wyspa ponad trzystu kościołów. Albo podziwiać bielone domy z czerwoną dachówką oraz XVIII i XIX-wieczne rezydencje budowane przez bogate kupieckie rody. Na to wszystko potrzeba jednak więcej czasu.

WYSPA DO NICNIEROBIENIA

Podróż z Hydry na Poros zajmuje niewiele ponad godzinę, to moment na zjedzenie obiadu w kantynie i złapanie słońca na górnym pokładzie. Pastelowe domy na Poros wznoszą się na zboczu wzgórza, na którego szczycie stoi Wieża Zegarowa. To pierwszy widok, jaki zapamiętuję, wpływając do portu. Jest ona niemal częścią Peloponezu oddzieloną od lądu zaledwie wąskim kanałem. To wyspa cytrusowych gajów i sosnowych lasów, najbardziej zielona ze wszystkich trzech odwiedzanych. W porównaniu z tętniącą życiem Hydrą Poros wydaje się wręcz

eprasa.pl f3fc2b0a1d



wyludniona. W knajpkach pusto, podobnie jak w sklepach z pamiątkami. Niektórzy pewnie by powiedzieli, że na tej wyspie nie ma co robić. Ja bym sobie tutaj z wolnym czasem poradził doskonale. Mógłbym po prostu pobyć, połazić (np. do monastyru Zoodochos Pigis i świątyni Posejdona) albo pokąpać się w morzu lub pojeździć skuterem – te można wypożyczyć w marinie. Takie nicnierobienie bardzo by mi się przydało. Jednak tym razem nici z mojego perfekcyjnego planu. Po wdrapaniu się do Wieży Zegarowej, i spojrzeniu z góry na wyspę i Peloponez, znów odbijamy od brzegu.

WYSPA PISTACJOWYCH SADÓW

Zachwycająca XIX-wieczną architekturą Egina jest największą wyspą na naszej trasie.
– W starożytności miasto Egina rywalizowało z Atenami, to tutaj także wybito pierwszą monetę w Europie, tu utworzono pierwszą marynarkę wojenną w Grecji i to Egina – a nie Nafplio, jak powszechnie się sądzi – była pierwszą stolicą walczącej o niepodległość Grecji – mówi przewodniczka Elina, która wraz ze mną wsiada do autobusu i z którą wyruszamy na krótki objazd po wyspie. Jedziemy na północny zachód, mijając pistacjowe sady na wzgórzach – tutejsze orzeszki pistacjowe uchodzą za najlepsze w całej Grecji i po nie właśnie przypłynąłem. Docieramy do położonej w sosnowym lesie ruin świątyni Afai (490 r. p.n.e.) uchodzącej za jeden z najwspanialszych antycznych zabytków Grecji, położonej ok. 12 km od miasta Egina. – To jedyna świątynia w Grecji poświęcona właśnie bogini płodności Afai czczonej wyłącznie na Eginie. Jest o 60 lat starsza od Partenonu, była wzorem dla jego architektów – wyjaśnia Elina. Opowiada też o świętym trójkącie, jaki w starożytności świątynia Afai tworzyła wraz ze świątynią Posejdona na przylądku Sunion i Akropolem ateńskim. – Do dziś uczeni zastanawiają się, jak Grecy byli w stanie obliczyć ogromne odległości pomiędzy różnymi świątyniami i tworzyć na mapach równoboczne i równoramienne trójkąty. Tajemnicą pozostaje także ich znaczenie – dodaje Elina. Oglądam pozostałości świątyni, podziwiam też ze wzgórza panoramę Zatoki Saronskiej. Mam jeszcze chwilę, by w pobliskim sklepie kupić kilka opakowań pistacji i skosztować naturalnych pistacjowych lodów. Na nic więcej nie starcza już czasu.
W drodze powrotnej do Aten na statku rozpoczyna się muzyczne show. Tancerze Yannis i Nikkos zapraszają wszystkich na parkiet. Dołączam do nich, ćwiczę kroki greckich tańców, doskonale się przy tym bawiąc.
I nabieram jeszcze większej ochoty na kolejny rejs i znacznie dłuższe odkrywanie greckich wysp. ■

Podróż z Hydry na Poros zajmuje niewiele ponad godzinę. To czas na obiad w kantynie i złapanie słońca na górnym pokładzie.



Koty wygrzewające się w słońcu stały się symbolem greckich kamiennych uliczek nie tylko na wyspie Hydra.

ADOBESTOCK(3),SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Panorama wyspy Poros ukazuje malowniczy kanał oddzielający jej brzegi od leżącego na horyzoncie Peloponezu.



Hydra to wyspa schodków. Ruch kołowy jest tutaj zabroniony.



Hydra słynie z rezydencji dawnych kapitanów, które w XVII i XIX w. wznoszono na zboczach portu.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

LENIWE DNI NA RZECE

REJS PO DUNAJU TO FANTASTYCZNA PRZYGODA. A DO TEGO BEZ POŚPIECHU.



Zamek Wyszehrad na Węgrzech. Z jego dziedzińca można podziwiać panoramę Zakola Dunaju.



Widok na parlament i most Łańcuchowy to najsłynniejsza panorama Budapesztu.

Zanim wyruszyłem w górę rzeki, spędziłem noc na górnym pokładzie kołyszącego się delikatnie w porcie statku, napawając się blaskiem rozświetlonej światłami stolicy Węgier. Siedziałem tak jak inni pasażerowie, patrząc to w kierunku Budy z olśniewającym zamkiem na wzgórzu, to w kierunku Pesztu, zawieszając wzrok na sylwetce neogotyckiego parlamentu ze smukłymi iglicami. I myślałem o najbliższym tygodniu – ośmiodniowym rejsie po Dunaju. Jutro mieliśmy ruszyć z Budapesztu, by zatrzymując się w Wiedniu i dolinie Wachau, dotrzeć w końcu do niemieckiej Ratyzbony i leżącego w pobliżu kanału łączącego rzekę z Menem.

Podczas rejsu mija się zamki na wzgórzach, zachwycające średniowieczne miasta i pełne przepychu pałace.



Strudel jabłkowy z sosem waniliowym to obowiązkowy punkt kulinarnej podróży przez Austrię.

Dunaj, jedna z większych rzek w Europie, będąca przez stulecia, ale jeszcze i dziś, ważnym szlakiem handlowym, wije się przez dziesięć krajów – Niemcy, Austrię, Słowację, Węgry, Chorwację, Serbię, Rumunię, Bułgarię, Mołdawię i Ukrainę. Większość organizowanych rejsów zahacza przynajmniej o cztery z nich. Nasz również, choć jedno z państw – Słowację – mieliśmy widzieć tylko na drugim brzegu rzeki, bez schodzenia na ląd. Na pokład niskiego dwupoziomowego rzecznego statku zaokrętowaliśmy się rankiem wraz z pozostałymi pasażerami. Patrzyłem na ich strumień zmierzający do trapu: młode pary, seniorzy i całkiem sporo rodzin z dziećmi. Rejs został tak pomyślany, by nawet najmłodsi się nie nudzili. Przewidziano animacje, opiekunów, zajęcia dla dzieciaków na lądzie podczas przystanków. Wkrótce miało się zresztą okazać, że już sama obecność na pokładzie i wpatrywanie się w to, co za burtą, skutecznie przyciąga ich uwagę. Ku mojemu zdziwieniu w kąt poszły telefony i tablety.

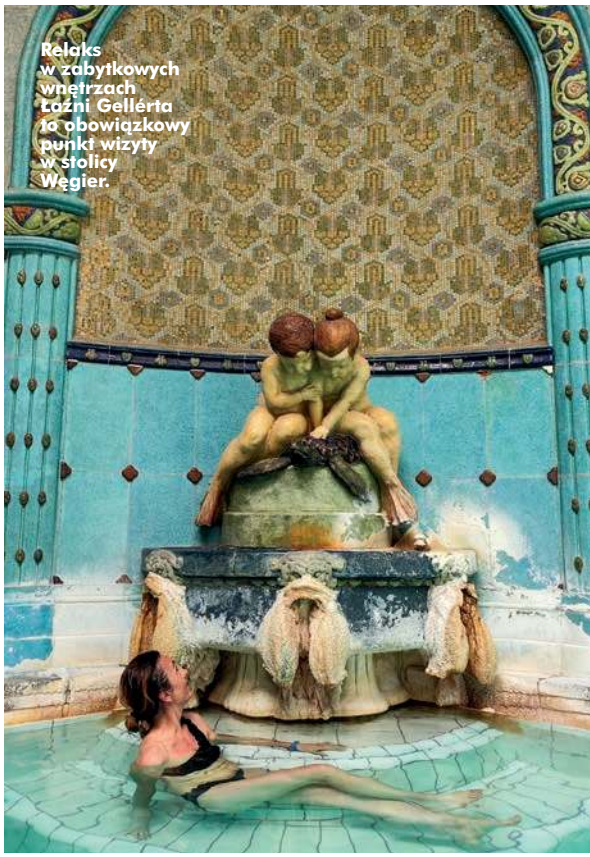
BAJKA ZA BURTĄ

Pływanie po Dunaju może chwilami zdawać się podróżowaniem po krainie baśni. Mija się zamki osadzone na nadbrzeżnych szczytach, średniowieczne miasta i pełne przepychu pałace. Rzeczne wyspy i unoszące się nad nimi ptaki, z których niejedne przysiądą na rufie promu. I wreszcie wyłaniające się nagle zza zakrętów ogromne, oszałamiające kolorami miasta. Pierwszym z nich był Wiedeń, do którego dobiliśmy w nocy, dzień po opuszczeniu Budapesztu. Kołysany ruchem wody słyszałem przez sen okrzyki marynarzy cumujących statek. Dopiero nad ranem, gdy odsłoniłem zasłonę w oknie kajuty, okazało się, że jesteśmy w austriackiej stolicy. Pasażerów podzielono na kilka grup i ruszyliśmy zobaczyć główne

SHUTTERSTOCK(4), POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d





Relaks w zabytkowych wnętrzach łaźni Gellérta to obowiązkowy punkt wizyty w stolicy Węgier.



Katedra św. Stefana oraz zabytkowa zabudowa starego miasta Pasawy położonej u zbiegu trzech rzek: Dunaju, Inn i Ilz.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
WĘGRY, AUSTRIA, NIEMCY



Średniowieczny zamek Schönbühel, wzniesiony na wysokiej skale nad brzegiem Dunaju, to jedna z najbardziej malowniczych twierdz w dolinie Wachau w Austrii.



Nowoczesne przystanie nad Kanałem Dunajskim pokazują, jak blisko rzeki toczy się życie w Wiedniu.

atrakcje: barokową architekturę, słynną operę, katedrę św. Szczepana, pałac Hofburg. Po lunchu na statku pozostało nam wolne popołudnie. Większość rodzin czmychnęła więc w okolice parku Prater, by pokazać dzieciom słynny Wiedeński Diabelski Młyn, mnie kusiło, by dołączyć do wycieczki do pałacu Schönbrunn nazywanego Wersalem Wiednia. W końcu jednak postawiłem na sztukę i wybrałem się do muzeum Albertina, a później znalazłem dla siebie kilka chwil z książką i wiedeńską kawą melange w jednej z kawiarni w stylu art nouveau.



Wnętrza Café Central wciąż pozwalają poczuć klimat historycznych kawiarni literackich Wiednia.

MOBILNY HOTEL

Dwa dni później wpływamy w ciągnącą się przez ponad 30 km dolinę Wachau. To bez wątpienia jeden z bardziej malowniczych odcinków Dunaju. Ku rzece opada niezliczona ilość klifów, u których stóp przycupnęły urocze wioski i zamki, a to wszystko otaczają pełne zieleni tarasowe zbocza, na których rośnie winorośl. Produkuje się tu jedne z lepszych rieslingów i grüner veltlinerów w Austrii, cieszy mnie więc przystanek w Krems. Szybko wskakuję na wypożyczony rower, by odwiedzić kilka winnic i napakować plecak butelkami. Tutejsze winnice związane są od wieków z opactwem benedyktyńskim Göttweig, do którego wybieramy się później na wycieczkę. Braciszkowie od zawsze mieli zamiłowanie do wina mszalnego i już kilkaset lat temu zaczęli na tutejszych zboczach zakładać plantacje winorośli. Od tamtych czasów niewiele się zmieniło – wciąż wiele z winnic należy do opactwa, nawet jeżeli ich prowadzeniem na co dzień zajmują się wynajęci znawcy winorośli. Różnica jest taka, że benedyktyńskie wino nie jest już wyrabiane jedynie na potrzeby zakonu, lecz trafia do ogólnej sprzedaży. I tak, zaopatrzeni w lokalne wino, ale też pogryzając frykasy serwowane przez kucharzy okrętowych (menu zmienia się wraz z krajami, do których docieramy), suniemy leniwie dalej w górę rzeki, ku Niemcom, spędzając czas na obserwowaniu przesuwającego się krajobrazu, a wieczorami grając w planszówki. W żaden sposób nie musimy się zajmować codziennością – pakować się, robić zakupów, gotować – bo statek jest naszym mobilnych hotelem.

NIEMCY LOKALNE

Szóstego dnia dobijamy do Pasawy u zbiegu rzek Inn, Ilz i Dunaj. Przedpołudniem przewodnik pokazuje nam wąskie brukowane uliczki miasteczka, druga część dnia jest do naszej dyspozycji. Według planu mamy wypłynąć późnym wieczorem i przez całą noc kierować się ku mecie – miastu Ratyzbona. Szybko obliczam więc, że zdążę jeszcze wypożyczyć rower i pokręcić się po okolicy. Za Pasawą rozciągają się pola i winnice, a wśród nich pojedyncze wioski. W jednej z nich zaglądam do karczmy, w której, jak się okazuje, trwa w najlepsze impreza. Przekraczam próg i trafiam na kilku mężczyzn grających na harmoniach, kobiety w bufiastych bluzkach kręcące się w tańcu i wesoły, wybuchający śmiechem tłumek piwoszy. Słowem – modelowa bawarska zabawa. Zostaję usadzony przy jednej z ław, a przede mną lądują talerz kiełbasek i pieczona wieprzowina. Atmosfera jest tak wesoła, a pieśni, na ile mogę się zorientować, coraz bardziej sprośne, że chętnie zostałbym tu na cały wieczór. Statek jednak czeka, wychylam więc w końcu kufel piwa i wracam do Pasawy. Noc jest ciepła i gdy wypływamy dalej w górę rzeki, większość pasażerów – zamiast iść spać – siada znów na górnym pokładzie. Przemieszczamy się powoli, mając w tle ledwo odznaczające się w mroku sylwetki wzgórz i mijając rozświetlone pojedynczymi światłami malutkie wioski, w których ktoś je właśnie kolacje, oporządza trzodę lub szykuje się spać. Nasłuchuję odległych dźwięków i podpatruję ten przesuwający się obok świat, uświadamiając sobie, że rejs po Dunaju pozwolił nam wszystkim znów skierować uwagę na to, co tuż obok. ■

SHUTTERSTOCK(2),GETTYIMAGES

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
RUMUNIA



eprasa.pl f3fc2b0a1d

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

W LABIRYNCIE NATURY

DELTA DUNAJU POZOSTAŁA JEDNYM Z NAJDZIKSZYCH MIEJSC W EUROPIE.



Delta Dunaju uważana jest za sanktuarium dzikiej przyrody. Zobaczyć tu można m.in. 500 gatunków ptaków, np. pelikany.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

23 REJSY MARZEŃ
RUMUNIA



Wschód słońca nad meandrującymi odnogami rzeki ukazuje ogrom i dzikość nienaruszonego krajobrazu delty Dunaju.



Zimorodek ze zdobyczą. Ten ptak potrafi wypatrzyć rybę pod wodą mimo refleksów świetlnych, a następnie zanurkować z prędkością dochodzącą do 40 km/godz.



Dzikie konie pasące się na podmokłych terenach w pobliżu lasu Letea.

eprasa.pl f3fc2b0a1d

O poranku wsiadam na stateczek, znajduję trochę miejsca na muskanych słońcem deskach pokładu i płynę powoli w dół rzeki. Otaczają mnie pękate toboły podróżnych, metalowe przedmioty nieznanego mi pochodzenia, baniaki pełne przezroczystej cieczy, garnki, zawinięte w folię materace, kozy o nogach spętanych sznurkiem i klatki z upchniętymi kurami. Płyniemy z rumuńskiej Tulczy ku miejscu, w którym Dunaj uchodzi do Morza Czarnego. Ta rzeka rodzi się niemal 3 tys. km od miejsca, w którym teraz jestem. Zaczyna bieg w Szwarcwaldzie, by przeciąć na swej drodze dziesięć krajów, minąć cztery stolice i nakreślić pomost między zachodem a wschodem. Sto kilometrów przed zniknięciem w morzu rozlewa się w warkocze kanałów, jezior i lagun. Tworzy deltę o powierzchni 3,5 tys. km². Jedno z najdzikszych miejsc w Europie. Głównym szlakiem komunikacyjnym dla 15 tys. mieszkających tu ludzi (dwie osoby na kilometr kwadratowy) pozostaje woda. Samochód, idealny do podróżowania po całej Rumunii, w delcie Dunaju staje się kłopotliwym balastem, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić. Do krańca rzeki autem nie da się dojechać. Dobre drogi docierają do Tulczy – niespecjalnie porywającej miejscowości będącej bramą delty. To tu, w miejscu, które ponad 2,5 tys. lat temu zasiedlili Grecy, Dunaj rozdziela się na trzy odnogi: Kilię, Sulinę i Świętego Jerzego. Do wiosek leżących w niższym biegu rzeki ruszają każdego dnia z Tulczy promy. Co prawda najdalej rzuconym w deltę miejscem, do którego da się dojechać lądem, jest Murghiol, ale prowadząca do niego droga to rachityczna nitka, której powierzchnia usiana jest dziurami. Jedzie się nią wolno. Trzeba wciąż hamować, omijać doły, z których auto mogłoby się już nie wydobyć, czekać, aż przez drogę przejdą stada krów lub gęsi. Wygodniej jest od razu wybrać prom. Wszedłem więc na pokład jednego z tych stateczków, które przesuwając się po nurcie niczym pionki na planszy, każdego dnia przewożą wszystkie dobra potrzebne do życia w miejscu oddalonym od świata. Zawijamy do wiosek, zatrzymując się na moment przy drewnianych przystaniach. Obsługa, nie wyjmując papierosów z ust, wyskakuje na pomost. Nie kłopocze się zakładaniem cum na pachołki i trzyma grube liny w dłoniach, gdy miejscowi wychodzą na ląd. Chwilę później kierujemy się ku kolejnym przystankom, aż docieramy do Murghiolu. Dalej można się już poruszać tylko wynajętą łodzią. Wskakuję więc na drewnianą łajbę z podpiętym potężnym dieslem z tyłu i proszę o zabranie mnie do Sfântu Gheorghe, wioski położonej w miejscu, gdzie jedna z głównych odnóg Dunaju znika w Morzu Czarnym.

SZCZĘŚLIWE KROWY

Płyniemy wijącymi się zakosami nurtem wcinającym się w mur trzcin i wierzb. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że cała cywilizacja zniknęła gdzieś za nami. Mkniemy, nie natrafiając na żadne ślady bytności człowieka. Warkot silnika płoszy jedynie czaple i błękitne zimorodki czatujące na gałęziach na ryby. Wychodząc z łuku rzeki, wpadamy na stadko krów stojące po kolana w wodzie. Nasze pojawienie się wzbudza wśród zwierząt popłoch. W głębi delty bydło, ale też i konie, hodowane jest samopas – puszczane, by szły tam, gdzie chcą, i podjadały to, co im się akurat nawinie pod pyski. Być może są to najszczęśliwsze krowy w Europie. Ich wędrówkę ogranicza rozlewająca się woda, której w głębszych miejscach nie potrafią przekroczyć. Nie trzeba więc ich pilnować, choć zagadką dla mnie pozostaje, jak na tej przestrzeni

Płyniemy wijącym się zakosami nurtem wcinającym się w mur trzcin i wierzb. Cała cywilizacja zniknęła gdzieś za nami.



Białe lilie wodne pokrywające powierzchnię kanałów to jeden z symboli tutejszej flory.

gospodarze potrafią odnaleźć swoje zwierzęta, gdy zajdzie już taka potrzeba. Gdy pokonujemy tę gęstwinę zieleni, z trudem przychodzi mi wyobrażenie sobie, że niewiele brakowało, a delta tej rzeki zamieniona zostałaby w ciągnące się po horyzont uprawy kukurydzy i ryżu. Pośród tych trzcin, podmokłych łąk, lagun i stojących w wodzie drzew pracowały już koparki i ciężkie maszyny – sypano groble, wycinano poldery, stawiano betonowe bloki mieszkalne. W latach 60. komunistyczny dyktator Nicolae Ceaușescu postanowił bowiem zamienić niemal 100 tys. ha delty w przynoszące zyski plantacje. Projekt nie został ukończony tylko dlatego, że w 1989 r. rozsypał się cały system polityczny. Po zmianie władzy Bank Światowy dał 6 mln dol., by odwrócić skutki tego

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d

szaleństwa. Zwierzęta i wytrzebiona roślinność powróciły. Miejsce, w którym druga co długości rzeka Europy uchodzi do morza, na nowo pogrążyło się w nieładzie i dzikości.

NAJLEPSZA PLAŻA RUMUNII

Sfântu Gheorghe okazuje się wioską dwóch porządniejszych ulic z odbiegającymi od nich drogami zasypanymi piachem. Wysiadam z łodzi, zarzucam plecak na ramię i wędruję obok domów otoczonych sztachetowymi płotami, pustych sklepików dumnie nazywających się supermarketami, słupów z elektryfikacją i szpalerów kwiatów przy ścianach chałup. Po raz pierwszy to miejsce wspominane jest w dokumentach z 1318 r. Wioska zawsze żyła z rybołówstwa, przez lata słynąc między innymi z wyśmienitego kawioru z jesiotra. Czarne kuleczki rybiej ikry – icre negre – sprzedawano, a to, co zostało, jedzono bez specjalnej atencji. W tej wiosce i okolicach kawior bywał równie pospolitym daniem jak u nas ziemniaki. W końcu jednak jesiotry przełowiono i ich połowów zakazano. Dziś kawior z bieługi wciąż można w delcie dostać, jego producenci zarzekają się jednak, że pochodzi on już wyłącznie z ryb hodowlanych. W obliczu kurczących się zasobów ryb mieszkańcy zaczęli szukać zarobku w obecności turystów. Nawet więc ta położona na samym krańcu Rumunii miejscowość stopniowo przeobraża się i rozbudowuje. Z myślą o zamożniejszych gościach na uboczu Sfântu Gheorghe zbudowano kompleks Green Village – drewniane bungalowy urządzone z pomysłem i smakiem. Ich pojawienie się jest krokiem ku uczynieniu delty Dunaju miejscem przyjaznym dla rodzin z dziećmi i osób ceniących ponad wszystko wygodę. Na szczęście te zmiany nie oznaczają, że do Sfântu Gheorghe zaczęły ściągać tłumy. Wciąż jest jeszcze spokojnym miejscem, mimo że ma jedną z najpiękniejszych plaż w Rumunii. Drobny, niemal biały piasek tworzy szeroki pas oblewany czystą wodą. Plaża oddalona jest od centrum o 4 km, dojście do niej zajmuje więc około pół godziny. Ta drobna niedogodność (i brak na miejscu sklepów czy barów) jest ceną, którą warto zapłacić za posiadanie do własnej dyspozycji niemal całej plaży. Nawet latem rzadko kiedy jest tu więcej niż garstka osób. Dużo liczniejsze bywają, pojawiające się tu po zmierzchu, chrząszcze *Pyrophorus*. Te niegroźne owady, podobnie jak nasze świetliki, potrafią dzięki bioluminescencji świecić zielonkawym światłem. Przemieszczają się nisko nad wodą, zamieniając pogrążone w mroku morze w zachwycającą galaktykę jarzących się punkcików.

Życie z wiosłami w dłoniach kształtowało hart ducha, a przy okazji niesamowite umiejętności.



Żółw błotny wygrzewający się na słońcu to typowy przedstawiciel fauny zamieszkującej tutejsze bagienne tereny.

MISTRZOWIE KAJAKÓW

Następnego dnia wypożyczam kajak. Skarby Dunaju poznać można bowiem tylko z wody. Dziesiątki gatunków ptaków stronią od głównych kanałów rzeki. Chcąc je zobaczyć, trzeba



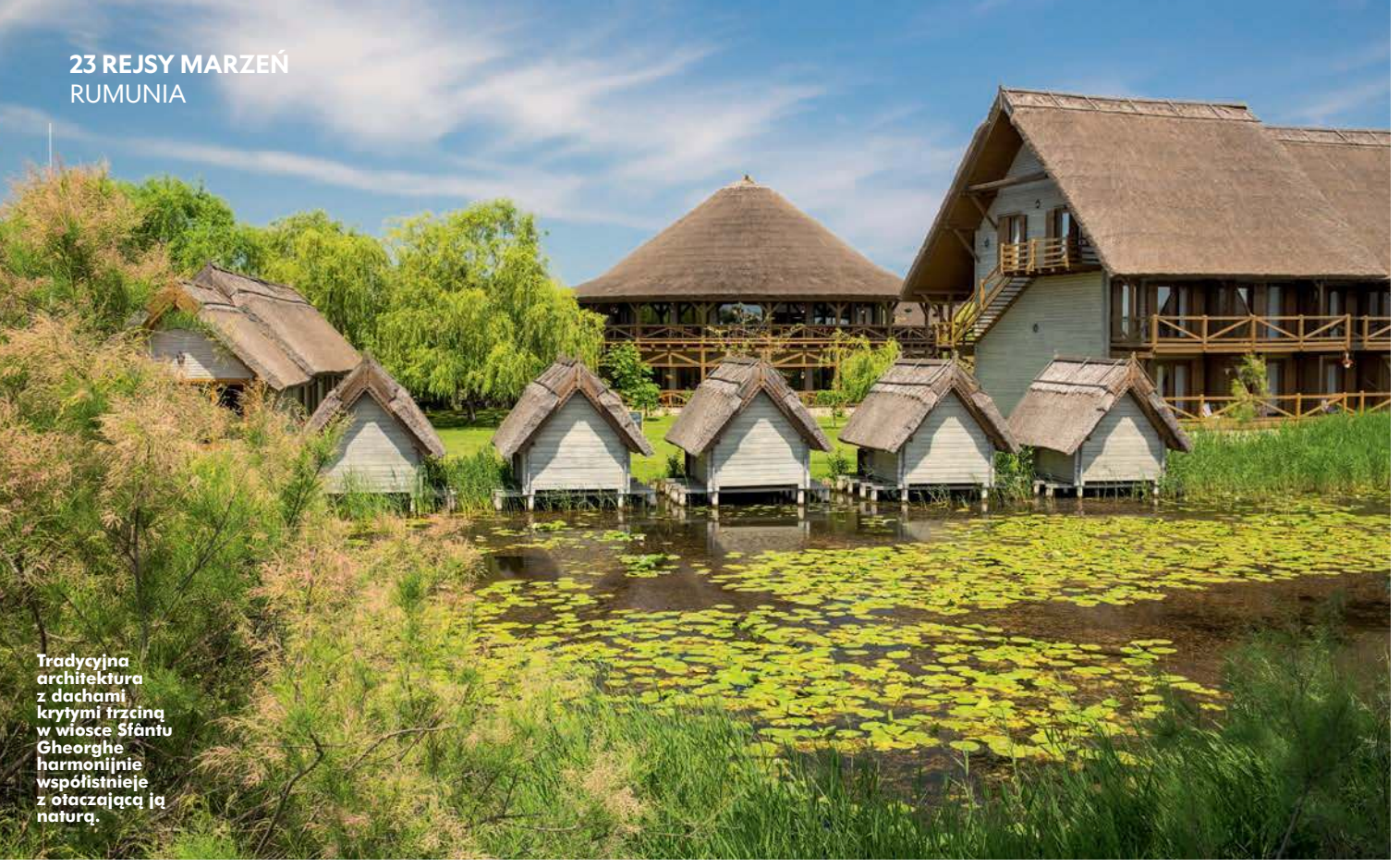
SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Zielone brzegi rzeki w regionie Dobrudży to krajobraz, w którym stepowe wzgórza przechodzą w rozlewiska.

eprasa.pl f3fc2b0a1d



Tradycyjna architektura z dachami krytymi trzciną w wiosce Sfântu Gheorghe harmonijnie współistnieje z otaczającą ją naturą.

wpłynąć w gęste zarośla, ukryte laguny, otoczone ścianą zieleni wodne trakty. Najłatwiej wykupić wycieczkę – zebrać kilka osób i wyruszyć na kilkugodzinny rejs pod okiem przewodnika. To niezły sposób, ja mam jednak ochotę na więcej ruchu i dłuższe błąkanie się po tutejszych wodach. Kajaki nie pojawiły się w rozlewisku Dunaju wraz z turystami. Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku mało która z tutejszych łodzi miała napęd silnikowy. Przemieszczanie się oznaczało wysiłek mięśni rąk – zawzięte wiosłowanie w kajaku lub drewnianej łodzi. Dotarcie z rozsianych po delcie 28 wsi do szkoły, sklepów czy poczty wymagało czasem nawet kilkugodzinnego płynięcia. Zakupy lepiej było zaplanować starannie – od tego, czy zadbałeś o zapas żywności, lekarstw, opału mogło w tym odludziu zależeć niemal wszystko.

ŻYCIE Z WIOSŁAMI W DŁONIACH

kształtowało hart ducha, a przy okazji niesamowite umiejętności wodniackie. Agafia Constantin-Buhaev, Sergei Covaliov czy Ivan Patzaichin to nazwiska nic nam niemówiące, ale Rumunom świetnie znane: to medaliści olimpijscy i mistrzowie świata w kajakarstwie. Wszyscy pochodzą ze wsi 23 Mila. Wioślarstwa nauczyli się w dzieciństwie, pływając niemal codziennie po rozlewisku Dunaju. Nie dla przyjemności czy z myślą o treningach, ale płynąc po prostu do szkoły lub pomagając rodzicom w połowach ryb.

OKO W OKO Z FLAMINGIEM

Wiedząc, że daleko mi do ich umiejętności, wbijam się w kapok i ostrożnie kieruję kajakiem w wąskie przesmyki między trzcinami, licząc na to, że GPS w telefonie pozwoli mi się jakoś wydobyć z tego wodnego labiryntu. Gdy tylko zostawiam za sobą główny kanał Dunaju, nad głową zamyka mi się zwarta ściana zieleni. Płynę w tunelu z trzcin, pośród których przechadzają się, unosząc komicznie nogi, czaple białe i purpurowe. Ślizgam się po wodzie, przesuwając się pomiędzy żółtymi liliami. Na terenie delty Dunaju żyje blisko 500 gatunków ptaków, większość ornitologów amatorów przyjeżdża tu jednak dla pelikanów. Oba występujące tu gatunki – pelikan różowy i kędzierzawy – to zawodnicy wagi ciężkiej, wzbijający się w powietrze z trudem, ale z łatwością nurkujący. Ich zwarte sylwetki, przypominające pociski, najłatwiej zobaczyć na otwartych wodach. Przebijam się więc przez trzciny, słysząc w oddali chrapliwy wrzask ptaków. Wyobrażam sobie ogromne stada pelikanów pływające gdzieś za tą zielenią, gdy jednak udaje mi się w końcu sforsować ścianę szuwarów i wypłynąć na płytką lagunę, trafiam na morze różu. Przestaję wiosłować, a przede mną brodzą w płytkiej wodzie setki flamingów. Między ich długimi nogami plączą się tegoroczne pisklęta, jeszcze niewysokie i o szarym upierzeniu. Patrzę oniemiały, czując się jak David Attenborough zaglądający za kulisy ukrytego przed nami ptasiego życia. ■

SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f3fc2b0a1d

REJSY PEŁNE SŁOŃCA



AIDA

Wyspy Kanaryjskie i Madera
rejs do serca Atlantyku

grudzień 2026 - kwiecień 2027 (8 dni)
statek: AIDAcosma
zaokrętowanie: Santa Cruz de Tenerife



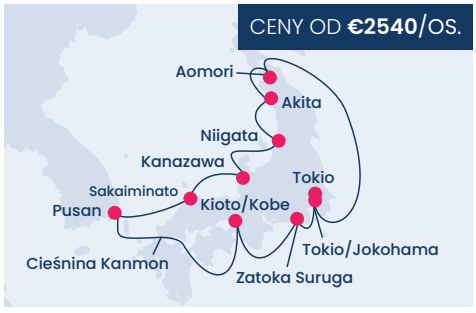
Wyspy Karaibskie
rejs do tropikalnego raju

07.01 - 21.01.2027 (15 dni) ✈
statek: AIDAperla
zaokrętowanie: La Romana



Dookoła Japoni
rejs do kraju kwitnącej wiśni

23.03 - 06.04.2027 (15 dni)
statek: AIDAstella
zaokrętowanie: Tokio



Ceny zawierają napiwki, opłaty portowe, piwo i wino do posiłków w bufetach oraz wyśmienite wyżywienie. Dotyczą kabiny wewnętrznej 2 osobowej. Istnieje możliwość rezerwacji rejsu w pakiecie z przelotem ✈ z niemieckich lotnisk. *Cena z przelotem z Niemiec.

REJSY4YOU.PL
CRUISE & TRAVEL

+48 504 950 200
www.rejsy4you.pl

eprasa.pl f3fc2b0a1d

REJSY4YOU.PL
CRUISE & TRAVEL

CZY ODWAŻYSZ SIĘ ZOSTAWIĆ CODZIENNOŚĆ NA LĄDZIE?

JEDEN REJS, KILKA MIEJSC, TYSIĄCE WSPOMNIEŃ.
POZNAJ ŚWIAT OD STRONY MORZA.



W naszej ofercie rejsy ponad 40 linii wycieczkowych, w tym:

NORWEGIAN CRUISE LINE · AIDA · MSC CRUISES · TUI Cruises · Costa · OCEANIA CRUISES · SILVERSEA

www.rejsy4you.pl
+48 504 950 200
rezerwacje@rejsy4you.pl